cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #195 10/2022

Piotr Lisiewicz
JESTEM BUNTOWNIKIEM I DLATEGO SAMOTNY STOJĘ

Tomasz Łysiak
ROSJANIE W WARSZAWIE

Hanna Shen
CHIŃSKA WOJNA NARKOTYKOWA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLSKI. FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA (2), TOMASZ HAMRAT/GAZETA POLSKA (2), ADOBE STOCK, WIKIPEDIA

POLSKA DRUŻYNA PUTINA

ISSN 1895-4960

eprasa.pl ea01a01b09

TEMAT NUMERU ▼ 4–19



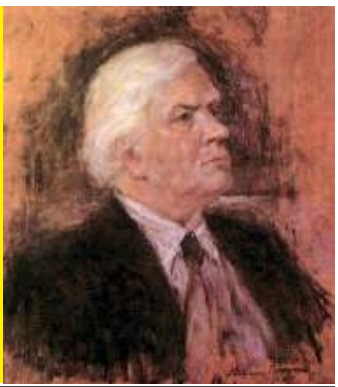
Pod znakiem „resetu" z Rosją. Wschodnia polityka rządów PO-PSL ... / 4

IDEE ▼ 20–37



Kucharzewskiego wielkie spojrzenie na Rosję / 20

HISTORIA ▼ 38–62



Jestem buntownikiem i dlatego samotny stoję / 38

ŚWIAT ▼ 68–97



Kiedy zawodzi prawo, pozostaje argument odpowiedzialności moralnej / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Przemysław Żurawski vel Grajewski
Pod znakiem „resetu" z Rosją. Wschodnia polityka rządów PO-PSL 2007–2015 4

Z gen. Andrzejem Kowalskim rozmawia Grzegorz Wszołek
Rosyjskim agentem może być każdy, jeśli tylko zainteresuje służby informacjami 10

Dawid Wildstein
Platformerscy mędrcy Syjonu 16

Ryszard Czarnecki
Partia Przyjaciół Rosji atakuje za... „prorosyjskość"! 19

IDEE

Jakub A. Maciejewski
Kucharzewskiego wielkie spojrzenie na Rosję 20

Ewa Polak-Pałkiewicz
Caryca, czyli Wielki Teatr 26

Małgorzata Matuszak
Performatorzy tożsamości 32

Krzysztof Karnkowski
Wojna w grodzieńskim tyglu 35

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jestem buntownikiem i dlatego samotny stoję 38

Tomasz Łysiak
Rosjanie w Warszawie 44

Dariusz Jarosiński
„Musimy pokutować ciężko i długo" 48

Agnieszka Kowalczyk
Kanada pachnąca żywicą i wolnością 54

Tadeusz Hołówko
Kresy fortecą niepodległościowego ruchu ukraińskiego i białoruskiego, skierowanego przeciw Rosji 60

ŚWIAT

Z prof. dr Stephanem Lehnstaedtem rozmawiają Olga Doleśniak-Harczuk i Antoni Opaliński (PR24)
Kiedy zawodzi prawo, pozostaje argument odpowiedzialności moralnej 68

Stefan Czerniecki
Zraniona twarz Buenos Aires 74

Antoni Rybczyński
Kucharz Putina idzie na wojnę. Wagnerowcy na ukraińskim froncie 81

Hanna Shen
Chińska wojna narkotykowa 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Okres połowicznego rozpadu 94

eprasa.pl ea01a01b09

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Nie można robić z Rosjan bohaterów
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... stoicki spokój
KATECHIZM INTELIGENTA 47



Marek Kalinowski
Spotkania z Korą
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 63



Krzysztof Wołodźko
Dziennik duszy, kronika Rosji
DZIENNIK LEKTUR 64



Ryszard Czarnecki
Gry geopolityczne. Czas przełomu
CZARNECKO TO WIDZĘ 73



Olga Doleśniak-Harczuk
Pogoda w sercu
Z GLOBALNEGO TYGLA 90



Marcin Wolski
Łapaj złodzieja!
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Dlaczego operacja specjalna
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Nie można robić z Rosjan bohaterów

Rosjanie uciekający przed wcieleniem do armii są z naszej perspektywy jedynie korzystnym zjawiskiem – mimo wszystko nie masowym. Czynienie z nich herosów przeciwstawiających się Kremlowi i otwieranie szeroko dla nich granic jest niesprawiedliwe, niesłuszne i niebezpieczne.

Od pierwszych dni wojny protestuję przed nazywaniem jej wojną Putina. Owszem, stoi na czele Federacji Rosyjskiej, ale posługuje się zbrodnią, ludobójstwem od początku swej państwowej kariery. Ma w tym akceptację czynną lub bierną ogromnej części społeczeństwa. Należy kibicować tym nielicznym, wręcz bardzo nielicznym grupom Rosjan, którzy na różnych etapach rządów Putina wyrażają wobec nich protest, ale dzisiejsi protestujący przed powołaniem do armii, szczerze powiedziawszy, są najmniej godni podziwu. Ogromna część z nich siedziała cicho, gdy ich poprzednicy gwałcili ukraińskie kobiety i dzieci, zabijali, torturowali czy niszczyli miasta na Ukrainie oraz grabili, co tylko się da. Dziś próbują uciekać czy protestować nie dlatego, że są przeciwnikami wojny, lecz dlatego, iż wiedzą, że ich ludobójczej armii nie idzie tak, jak się tego spodziewali, i po prostu trzęsą portkami przed konfrontacją z ludźmi walecznie broniącymi swojej ojczyzny i prawa do wolności. To, co dziś widzimy w Rosji (nie przeceniając oczywiście skali zjawiska, bo nie ma ono charakteru masowego), to najlepszy dowód na to, że Rosjanie doskonale wiedzą, jakie jest prawdziwe oblicze tej wojny. Gdyby sytuacja była inna, napad szedłby jak z płatka, protestów i ucieczek by nie było. Wręcz ustawiałyby się kolejki chętnych po swoją złodziejską dolę możliwą do zdobycia na podbijanym terytorium. Ale mimo propagandy i biadolenia ciągle aktywnych w przestrzeni rusofili, wiedza na temat tego, co dzieje się na Ukrainie, jest dość powszechna w rosyjskim społeczeństwie. Mają świadomość, iż dostają łupnia, i zdają sobie sprawę z siły Ukraińców, ale doskonale orientowali się, czego dopuściło się ich zdziczałe wojsko. Ale to im nie przeszkadzało. Zaczęło uwierać, gdy organizatorzy wojny upomnieli się o ich obecność. Można powiedzieć tak: dobrze, niech protestują, niech szarpią się z milicją, niech palą punkty werbunkowe. To jest korzystne dla Ukrainy. Ale niegodziwością jest nazywać ich bohaterami. Bo ogromna część z nich siedziałaby cicho, a być może wręcz wspierałaby zabijanie naszych wschodnich sąsiadów, gdyby nie oczekiwano od nich narażania własnego życia. Bohaterami są przede wszystkim Ukraińcy i wspierający ich walkę Polacy, Amerykanie czy Bałtowie. Rosjanie uciekający przed wcieleniem do armii są z naszej perspektywy jedynie korzystnym zjawiskiem – mimo wszystko nie masowym. Czynienie z nich herosów przeciwstawiających się Kremlowi i otwieranie szeroko dla nich granic jest, po pierwsze, niesprawiedliwe i niesłuszne, a po drugie – niebezpieczne. Rosja i Rosjanie są dziś największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa na świecie. Należy zakładać, że w tych grupach niby buntowników będzie więcej rosyjskich służb niż prawdziwie uciekających przed mobilizacją. Wpuszczanie ich na terytorium UE jest głupotą i narażaniem bezpieczeństwa całego kontynentu. Jest też po ludzku niesprawiedliwe wobec uchodźców z Ukrainy, bo nie wszędzie w Europie byli przyjmowani tak serdecznie jak w Polsce, a użalający się teraz tak wielce nalotem rosyjskich uciekinierów Niemcy powinni wywiązać się najpierw z pomocy wobec prawdziwych ofiar – są nimi wyłącznie obywatele napadniętej przez Rosjan Ukrainy. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Przemysław Żurawski vel Grajewski



Pod znakiem „resetu" z Rosją

Wschodnia polityka rządów PO-PSL 2007–2015

Kreowanie się PO na siłę antyrosyjską, która rzekomo od lat ostrzegała Europę przed zagrożeniami płynącymi z Kremla, i jednoczesne oskarżanie PiS o realizowanie celów Putina można by zbyć wzruszeniem ramion. Ponieważ jednak od utraty rządów przez tę formację minęło już siedem lat, a pamięć ludzka jest zawodna, przypomnijmy, jak było naprawdę.

eprasa.pl ea01a01b09



Ilustracja: Mariusz Tosiński, fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska (2), Tomasz Hamrat/Gazeta Polska (2), Adobe Stock, Wikipedia

eprasa.pl ea01a01509

Polityka wszystkich polskich rządów lat 1992–2007 w stosunku do Rosji realizowała koncepcje przeciwdziałania groźbie sukcesu neoimperialnej polityki Kremla. Była więc polityką powstrzymywania, a w sprzyjających momentach („kolorowe rewolucje"), odpychania wpływów rosyjskich ze wschodniej części pola bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Schyłek roku 2007 (dojście do władzy koalicji PO-PSL) był momentem strategicznego zwrotu w polityce polskiej wobec Moskwy ku, wzorowanej na niemieckiej doktrynie „zbliżenia przez powiązanie", polityce „angażowania" Rosji w europejską architekturę bezpieczeństwa i „wszechstronnej współpracy".

W pierwszym okresie rządów PO-PSL na politykę ocieplania stosunków z Rosją złożyły się: wizyta premiera Donalda Tuska w Moskwie (8.02.2008), odbyta akurat w momencie kulminacji rosyjsko-ukraińskiej „wojny gazowej", deklaracja ministra spraw zagranicznych RP Radosława Sikorskiego o rezygnacji z aktywnej polityki „jagiellońskiej" i opowiedzenie się za budowaniem strategicznego partnerstwa UE–Rosja, w którym brak było miejsca dla Ukrainy, pozycja Polski wobec kolejnej rosyjsko-ukraińskiej „wojny gazowej" 2009 roku, skutkująca fiaskiem wizyty Sikorskiego na Ukrainie (15–16.01.2009), na spotkanie z którym nie znalazł czasu żaden z liczących się polityków ukraińskich, i dalszym wychładzaniem relacji z Kijowem, aż po odmowę premier Tymoszenko przyjazdu do Warszawy na zjazd (29–30.04.2009) EPP-ED (frakcji chadeckiej Parlamentu Europejskiego, której członkiem jest PO, a Batkiwszczyna J. Tymoszenko – tzw. partią siostrzaną). Manifestowanie zbliżenia z Rosją (na przykład rozmowa Tusk–Putin na molo w Sopocie) przy okazji obchodów rocznicy wybuchu II wojny światowej 1 września 2009 roku, z jednoczesną marginalizacją obecnej tam premier Tymoszenko, skutkowało z kolei jej pośpiesznym, demonstracyjnym wyjazdem „na pilne spotkanie z Muammarem Kadafim". Nie lepiej było na kierunku gruzińskim, gdzie wykpiwano inicjatywę prezydenta Kaczyńskiego i jego podróże do Gruzji (słynny komentarz Komorowskiego do incydentu zbrojnego z udziałem prezydenta Kaczyńskiego na linii rozejmu w Osetii Południowej: „jaki prezydent taki zamach") oraz na kierunku białoruskim, gdzie doszło na przykład do kompromitującego Polskę zdekonspirowania Alesia Białackiego przez posunięcia polskiego MSZ i wieloletniego wyroku na tego opozycjonistę.

Rozbroić Polskę

W 2008 roku, kilka miesięcy po rosyjskiej agresji na Gruzję, rząd PO-PSL ze względów populistycznych zniósł pobór, nie stwarzając w to miejsce innego systemu odtwarzania rezerw osobowych Wojska Polskiego. Wydatki obronne cięto dramatycznie w roku 2009 i 2013, przez cały okres rządów PO-PSL ani razu nie realizując ustawy budżetowej w zakresie nakładów na wojsko. Likwidowano jednostki i redukowano armię. Polskie zdolności mobilizacyjne sięgnęły dna (0,27 proc. populacji przy średniej europejskiej 1,66 proc.). Mniejsze w Europie miały tylko Czechy i Luksemburg. Przez dwie kadencje nie wdrożono do służby żadnego nowego liczącego się systemu uzbrojenia, a przygotowywane pod koniec rządów PO strategie bezpieczeństwa negowały jakiekolwiek zagrożenie wojną w Europie. Jednocześnie minister Sikorski demonstracyjnie przeciwdziałał powstaniu bazy amerykańskiej w Polsce, głosząc, że nie należy „robić laski" Amerykanom. Odnośnego porozumienia Polska nie ratyfikowała, ułatwiając administracji Obamy wycofanie się bezkosztowe z całego przedsięwzięcia. Moskwa była zachwycona.

Redukując armię i tnąc wydatki wojskowe, Polska jednocześnie ustami Sikorskiego wezwała NATO do zagrożenia Rosji reakcją w razie powtórzenia scenariusza gruzińskiego na Ukrainie. Wezwanie źle przygotowane, spotkało się z milczeniem innych państw NATO i w istocie było dokonanym rękoma polskimi rozpoznaniem na korzyść Rosji intencji Sojuszu. Milczenie było odpowiedzią, i to negatywną. Na Kremlu ją zrozumiano. Lepiej było nie pytać i pozostawić Moskwę w niepewności.

Umizgi do Moskwy na koszt Litwy i Ukrainy

Decyzja rządu PO-PSL o podjęciu wysiłków na rzecz poprawy stosunków z Rosją, podjęta i wdrażana od przełomu lat 2007 i 2008, skutkowała obniżeniem temperatury rywalizacji polsko-rosyjskiej w zachodniej części obszaru postsowieckiego i w połączeniu z proklamowanym przez prezydenta Baracka Obamę w 2009 roku „resetem" w relacjach amerykańsko-rosyjskich, w znacznej mierze przytłumiła proamerykański nurt polityki polskiej w imię ocieplania relacji z Rosją. Układność rządu polskiego wobec Rosji była po 2007 roku daleko posunięta. PO-PSL wycofały weto wobec projektu przedłużenia Porozumienia o partnerstwie i współpracy (PCA) UE–Rosja, zrezygnowały z budowy przekopu przez Mierzeję Wiślaną, ze sprzeciwu wobec Nord Stream 1, jak też wobec negocjacji akcesyjnych OECD z Moskwą, zdystansowały się od Gruzji i Ukrainy, potępiły wcześniejszą politykę rządów PiS za ich antyrosyjskość, odcięły się od linii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, umorzyły 1,2 mld zł długu Gazpromowi i podpisały (Pawlak) z nim kontrakt gazowy tak kompromitujący, że aż interweniowała Komisja Europejska. Z początkiem lutego 2010 roku minister Sikorski publicznie oświadczył na ła-

eprasa.pl ea01a01b09

mach „Süddeutsche Zeitung", że nie należy wykluczać przyszłego członkostwa Rosji w NATO. Równolegle promowano trójkąt kaliningradzki (Polska–Niemcy–Rosja) i łamiąc solidarność z Litwą, wprowadzono poszerzoną strefę małego ruchu granicznego na styku z obwodem kaliningradzkim. Po raz pierwszy paszport rosyjski stał się lepszym dokumentem podróżowania do Polski niż paszport ukraiński, co w kontekście rosyjskiej akcji wydawania paszportów mieszkańcom Krymu (co było przygotowywaniem przez Kreml inwazji pod hasłem „obrony swych obywateli") było szczególnym błędem.

Polityka ta nie przyniosła korzyści, a przeciwnie – szereg upokorzeń i demonstracji wrogości Rosji wobec Polski (raport MAK o katastrofie smoleńskiej, kolejne embarga rosyjskie na handel polski, deklaracje ministra spraw zagranicznych Rosji Siergieja Ławrowa i wiceministra Andrieja Niestierienki z 2009 roku, godzące w suwerenne prawo Polski do decydowania o wojskowym wykorzystaniu własnego terytorium i w takież prawo Ukrainy i Gruzji do swobodnego wyboru sojuszy, połączone z próbą narzucenia Polsce sowieckiej wizji historii II wojny światowej, manewry Zapad 2009 i 2013 itd.). Uległość nie uchroniła rządu PO-PSL przed otwartym rosyjskim przeciwdziałaniem wobec jego sztandarowej inicjatywy w zakresie polityki wschodniej Polski i UE – Partnerstwa Wschodniego.

Katastrofa smoleńska

Punktem zwrotnym polsko-rosyjskiego „resetu" była niewątpliwie katastrofa smoleńska 10 kwietnia 2010 roku. Doprowadziła ona do daleko posuniętych i trudno wytłumaczalnych demonstracji zaufania rządu RP do instytucji Federacji Rosyjskiej, hołdów wobec bolszewików poległych w najeździe na Polskę w 1920 roku i bezkrytycznego przyjęcia rosyjskiej wersji wydarzeń z 10 kwietnia wraz z oddaniem śledztwa Rosjanom. Skoro Rosjanie zakazali otwarcia trumien ofiar, nie otwarto ich, gdyż „byłoby to źle przyjęte" w Moskwie. Kulminacją tej linii było zaproszenie przez Radosława Sikorskiego szefa rosyjskiej dyplomacji Siergieja Ławrowa w charakterze mówcy i gościa specjalnego na doroczną naradę ambasadorów polskich w dniu 2 września 2010 roku. Było to wydarzenie bezprecedensowe w relacjach między oboma krajami. Reakcja Polski pod rządami PO-PSL na katastrofę smoleńską oraz wcześniejszy udział rządu Tuska w zgodnym z wolą Moskwy rozdzieleniu delegacji polskiej na rządową i prezydencką, doprowadziły w efekcie do poważnego obniżenia prestiżu międzynarodowego Polski, szczególnie wśród jej wschodnich sąsiadów. Polska nieumiejąca się upomnieć o śmierć swego prezydenta i licznych towarzyszących mu osób z elity politycznej kraju, w oczywisty sposób traciła pozycję pożądanego sojusznika w razie sporu jakiegokolwiek innego państwa z Rosją.

Postępująca izolacja Polski w regionie 2008–2014

Rząd PO-PSL uległość wobec Moskwy i Berlina łączył z arogancją wobec mniejszych sąsiadów. Znamienna była tu wypowiedź Dalii Grybauskaitė na spotkaniu z przedstawicielami wspólnoty litewskiej w Chicago, gdzie prezydent Litwy powiedziała: „Niektórzy politycy w Polsce zdecydowali, że to Rosja ma być przyjacielem Polski, zaś mniejsze państwa, takie jak Litwa, tymczasowo mogłyby zostać kozłami ofiarnymi." Rząd PO-PSL mamiąc opinię publiczną mrzonkami o Polsce, która w klubie mocarstw zarządzała Unią Europejską, jednocześnie ograniczał współpracę Polski z sąsiadami w regionie. Stosunki z Litwą (prawda, że nie bez winy samych Litwinów) były fatalne. Podobnie, choć i tu nie bez winy Kijowa, załamywało się współdziałanie z Ukrainą. 30 września 2010 roku nastąpiło rozwiązanie Polsko-Ukraińskiego Batalionu Pokojowego – POLUKRBAT. Intensywna w poprzednich latach polsko-ukraińska współpraca wojskowa w praktyce ustała. Rok 2011 przyniósł fiasko szczytu Partnerstwa Wschodniego w Warszawie, na które poza kanclerz Angelą Merkel i kończącym premierowanie szefem rządu hiszpańskiego José Luisem Zapatero, nie przybył żaden z przywódców jakiegokolwiek dużego państwa UE, wszystkie państwa partnerskie odmówiły zaś podpisania przygotowanego przez Polskę dokumentu końcowego. Potem nastąpiły spory wokół Euro 2012 z licznymi sugestiami ze strony Warszawy co do możliwości organizowania ich bez Ukrainy (sugestię taką wysuwał m.in. ówczesny minister sportu w rządzie PO-PSL Mirosław Drzewiecki). Wschodnia polityka Polski, sprowadzona po 2009 roku do formuły Partnerstwa Wschodniego (skądinąd ważnego jej instrumentu, lecz wówczas traktowanego jako jedyny), ulegała uwiądowi, czyniąc miejsce Rosji.

W końcowym etapie prezydentury Janukowycza postępowała marginalizacja znaczenia Polski w polityce ukraińskiej i w polityce Zachodu wobec Ukrainy. Złożona przez prezydenta Bronisława Komorowskiego deklaracja uczestniczenia w szczycie w Jałcie, bojkotowanym przez większość głównych polityków europejskich, okazała się krokiem chybionym, a odwołanie szczytu przez Janukowycza było podkreśleniem małego znaczenia, jakie do spotkania z prezydentem RP przywiązywał w tych warunkach prezydent Ukrainy. Polska wytrwale wspierała stowa-

eprasa.pl ea01a01b09

rzyszenie Ukrainy z UE w ramach Partnerstwa Wschodniego, ale ostatecznie odrzucił je sam Janukowycz. Długotrwałe przekonywanie UE przez dyplomację polską co do wiarygodności prezydenta Ukrainy, w kolejnym etapie rozgrywki, wskutek kompromitacji tej postaci, doprowadziło do podważenia wiarygodności polityków polskich jako specjalistów od spraw Europy Wschodniej.

Ta linia polityczna rządu Tuska podważyła zarówno zasadę egzekwowania suwerennych praw Rzeczypospolitej w jej stosunkach z Moskwą, jak i rolę naszego kraju jako ośrodka konsolidacji politycznej państw odczuwających zagrożenie rosyjską dominacją. Podminowała zatem dotychczasową politykę Polski wobec Rosji. Dopełnieniem izolacji Polski było już w 2015 roku złamanie przez rząd Kopacz wcześniej obiecanej solidarności z Grupą Wyszehradzką w kwestii imigrantów.

▶ 2014 – koniec resetu

Sprzeciw Kremla wobec umów stowarzyszeniowych państw partnerskich Partnerstwa Wschodniego z UE, rewolucja na Ukrainie i rosyjska agresja na ten kraj z 2014 roku – były ostatecznym kresem „resetu" w relacjach między Warszawą i Moskwą, potwierdzając tezy ówczesnej opozycji (PiS) o jego iluzorycznym charakterze. Mimo to współpraca polskiej Służby Kontrwywiadu Wojskowego z rosyjską FSB, podjęta w 2010 roku, trwała co najmniej do października 2013 roku. Już zebrał się drugi Majdan, a Radosław Sikorski jako szef polskiego MSZ jeszcze publicznie bronił zasadności umowy o współpracy między SKW a FSB.

Rosyjska agresja na Ukrainie skutkowała nagłym zwrotem w retoryce rządu PO-PSL, a w ślad za tym w relacjach polsko-rosyjskich. Seria oczywistych kłamstw, publicznie głoszonych przez Kreml, z symbolicznym dla ich charakteru wizerunkiem „zielonych ludzików" zaopatrzonych w broń „w sklepie z militariami", uniemożliwiła rządzącym w Polsce dalsze podtrzymywanie tezy o Rosji jako wiarygodnym partnerze politycznym, godnym zaufania, która to retoryka dominowała po katastrofie smoleńskiej i symbolizowana była przez słynne wygłoszone z trybuny sejmowej kłamstwa Ewy Kopacz o przekopaniu terenu katastrofy „na metr w głąb" i solidarnej pracy ramię w ramię polskich i rosyjskich lekarzy nad zwłokami ofiar.

▶ Majdan – kto poparł Ukrainę, a kto się bał

W 2014 roku Majdan i rosyjska agresja dokonały radykalnej zmiany w układzie sił na Ukrainie i przetasowania w relacjach Rosji z Zachodem, w tym z Polską. Ukraińska rewolucja godności cieszyła się poparciem pełnego spektrum polskiej sceny politycznej od PiS i PO, po zaczynającego swą aktywność na tej niwie Pawła Kukiza z jedynym zdystansowanym w postaci PSL, które roztaczało przed swym elektoratem mityczne wizje rynku rosyjskiego, „chłonnego na polskie produkty rolne", i argumentowało, iż jego utrzymanie wymaga „niedrażnienia" Rosji. (W istocie rynek rosyjski z konsumentami biednymi, a więc o niskiej sile nabywczej, silnie rozproszonymi na dużym, słabo skomunikowanym obszarze, obciążony ryzykiem politycznym embarga czy to rosyjskiego na towary polskie, czy unijnego na handel z Rosją, ze skorumpowaną administracją państwową i takimiż sądami, przed którymi trzeba by rozstrzygać spory biznesowe, z silną przestępczością i panoszącymi się mafiami, wcale nie należy do atrakcyjnych i jest dla Polski mniejszym rynkiem zbytu niż rynek czeski). Najpierw we wsparcie Majdanu zaangażował się PiS. Goszczący 1 grudnia 2013 roku wśród demonstrantów w Kijowie prezes Jarosław Kaczyński wzywał nieobecnego tam wcześniej Sikorskiego do większej aktywności, nie tylko jako szefa polskiej dyplomacji, lecz także jako jednego z inicjatorów Partnerstwa Wschodniego. 6–7 grudnia w Kijowie pojawili się Jerzy Buzek i Jacek Saryusz-Wolski (ten drugi zawsze silnie zaangażowany w poparcie dla Ukrainy, a na forum Parlamentu Europejskiego będący wręcz jego głównym animatorem), obaj reprezentujący wówczas grupę eurodeputowanych z PO. PiS w swym poparciu dla Ukrainy i krytyce zaangażowania Rosji był jednak nie tylko pierwszy, lecz także znacznie bardziej radykalny od PO, której brak determinacji krytykował z pozycji opozycji parlamentarnej.

Polska jako państwo zaznaczyła swoją obecność w procesie dramatycznego zwrotu na Ukrainie najpierw pozytywnie – domagając się (choć niezdecydowanie) sankcji UE przeciw reżimowi Janukowycza, potem zaś negatywnie, gdy minister Sikorski usiłował skłonić reprezentantów Majdanu do ustępstw, kreśleniem przed nimi wizji zbrojnego zdławienia rewolucji i ich śmierci („Jeśli tego nie podpiszecie, wszyscy będziecie martwi"). Wybuch afery taśmowej w Polsce, której jednym z „bohaterów" był Sikorski, skutkował jego względną izolacją międzynarodową (okazał się rozmówcą, od którego powierzone mu poufnie informacje mogą wycieknąć do mediów) i dymisją. Równolegle, wskutek rosyjskiej agresji, dotychczasowy format rozmów na tematy ukraińskie (strony konfliktu wewnętrznego na Ukrainie plus Niemcy, Francja i Polska) zastąpiony został tzw. formatem normandzkim (Rosja, Ukraina, Francja, Niemcy), już bez Polski.

eprasa.pl ea01a01b09

Rząd PO-PSL wobec rosyjskiej agresji na Krymie i Donbasie

Stanowisko rządu PO-PSL wobec rosyjskiej aneksji Krymu i agresji w Donbasie było od początku werbalnie zdecydowanie negatywne. W praktyce jednak Polska, odsunięta od wszelkich poważnych konsultacji, zachowywała się biernie. Oficjalną wykładnią rządu RP było głoszenie hasła o fundamentalnym znaczeniu tego, by „Europa w sprawie ukraińskiej mówiła jednym głosem". Nie precyzowano jednak przy tym, co ma tym „jednym głosem" powiedzieć. Stanowisko Polski w sprawie pomocy dla Ukrainy premier Ewa Kopacz publicznie uzależniła zaś od stanowiska UE w tej sprawie. W stosunku Warszawy do Kijowa oficjalnie obowiązywało hasło „niewychodzenia przed szereg". Nie mogło to być zinterpretowane inaczej, jak tylko jako sygnał oczekiwania przez Warszawę na decyzję innych, z deklaracją gotowości do jej przyjęcia. W tej sytuacji zapowiedź nowego szefa polskiego MSZ – Grzegorza Schetyny – iż nie wyobraża sobie, by w rozmowach na temat Ukrainy, prowadzonych w Mediolanie przy okazji szczytu Europa–Azja – ASEM (16–17.10.2014), zabrakło premiera Polski, okazała się bezpodstawna. Uczynione przy tym porównanie pozycji Polski wobec Ukrainy do pozycji Francji, Włoch i Hiszpanii wobec – odpowiednio – Algierii, Tunezji, Libii i Maroka, odebrane zostało jako niezręczność – sugerowanie postkolonialnych relacji między „metropolitarną" Polską a podległą jej niegdyś Ukrainą. Sama zaś Ewa Kopacz zasłynęła fatalną wypowiedzią o kobiecie kryjącej się wraz z dziećmi w domu przed czyhającym na zewnątrz niebezpieczeństwem, co miało być alegorią stanowiska Polski wobec wojny na Ukrainie. Miary dyplomatycznych wpadek dopełniła informacja podana przez Sikorskiego, już jako marszałka Sejmu, jakoby Putin miał w 2008 roku oferować premierowi Tuskowi rozbiór Ukrainy.

Na spotkaniu premierów Polski Ewy Kopacz i Ukrainy Arsenija Jaceniuka w Kijowie (19.01.2015) padły ze strony polskiej deklaracje uruchomienia pomocy gospodarczej i humanitarnej dla walczącego kraju. Wysokość przyznanego przez Rzeczpospolitą kredytu (100 mln euro w ciągu 10 lat) była jednak żenująco niska. Trudno było w oparciu o wysiłek tej skali oczekiwać wzmocnienia pozycji Polski w negocjacjach na temat Ukrainy.

Efektem praktycznej bierności Rzeczypospolitej wobec problemu rosyjskiej agresji na Ukrainę i ograniczenia się Warszawy jedynie do jej werbalnego potępienia, było utrwalenie się marginalizacji Polski na arenie międzynarodowej. Polska nie zdobyła się nawet na taki gest, jakiego dokonała Litwa, oficjalne dostarczając Ukrainie materiały wojenne, w tym broń, choć Kijów zwrócił się do Warszawy z prośbą o tego typu wsparcie. Odpowiedzią było najpierw czekanie na decyzję szczytu NATO. Gdy zaś Sojusz uznał, że kwestia ta jest przedmiotem stosunków dwustronnych jego państw członkowskich z Ukrainą, nastąpiła seria sprzecznych deklaracji ministra Siemioniaka, zakończona ostatecznie odmową. Podjęta przez MON akcja szkolenia żołnierzy ukraińskich, z uwagi na skalę (35 przeszkolonych) i treści szkolenia, miała zaś charakter pozorny.

Korzenie polityki PO lat 2008–2015 wobec Rosji

Aktywność rządu PO-PSL na forum międzynarodowym była skoncentrowana na realizacji ambicji personalnych jego członków (stanowisk dla nich w gremiach UE i – nieco mniej – NATO). Wymagało to „płynięcia w głównym nurcie polityki europejskiej", ten zaś do marca 2014 roku nacechowany był priorytetem relacji z Rosją. Zburzenie przez Moskwę reguł gry w chwili najazdu na Krym doprowadziło do konfuzji rządzących i oczekiwania na reakcję UE – określenia przez nią nowego „koryta", jakim płynąć będzie „główny nurt" polityki europejskiej, do którego można by się dostosować. Na domiar złego premier Tusk, w obliczu najazdu rosyjskiego na sąsiadujący kraj, zrezygnował z szefowania rządowi polskiemu i wybrał stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, czym uruchomił kryzys przywództwa w rządzącej PO. Objęcie szefostwa MSZ przez Grzegorza Schetynę, zaangażowanego w rywalizację z premier Ewą Kopacz o przewodzenie partii, nie sprzyjało określeniu polityki na kierunku wschodnim. Stąd niepewność decyzyjna rządu, chaos poczynań i brak działań innych niż werbalne, z których zawsze można by się było stosunkowo łatwo wycofać. Nieudolność rządu PO-PSL była tak rażąca, że skrytykował ją nawet szef Fundacji Batorego – Aleksander Smolar. Tusk zaś – póki rządził, deklarował, że Polska nigdy nie stanie na czele oporu przeciw Rosji. Chciał zostać „dużym misiem w Brukseli", to zaś wymagało zdobycia poparcia Niemiec i Francji, one zaś dążyły do współpracy z Rosją. Ta motywacja dominuje w PO do dziś. Mogliśmy ją ostatnio obserwować przy okazji sporu w UE o zakaz wizowy dla Rosjan, w którym Sikorski, Tusk i Trzaskowski wiernie powtórzyli przekaz niemiecki. Nie przesadzajmy więc z oskarżeniami opozycji o prorosyjskość. Ona jest realna, ale wtórna. Istotą motywacji tych ludzi jest ich kariera osobista i nic więcej. Gdy wyczują, że co innego może im przynieść korzyść, natychmiast zmienią zdanie. Ten proces właśnie się dokonuje. Trzeba jednak dużej naiwności, by uwierzyć w ich szczerość. ■

eprasa.pl ea01a01b09



Rosyjskim agentem może być każdy, jeśli tylko zainteresuje służby informacjami



Nie ma konkretnego opisu do zastosowania. Każdy, kto chce pracować dla Rosjan, staje się od razu cennym nabytkiem – niezależnie od pozycji społecznej i wykonywanego zawodu. Byleby przekazywane informacje interesowały służby i potwierdzały się w rzeczywistości – taki jest sposób działania rosyjskiego wywiadu. Dla rosyjskiej bezpieki pracują ludzie różni, nawet z marginesu społecznego – nie posiadam jednolitego wzorca dla idealnego agenta. Snucie opowieści o modelowym agencie byłoby daleko niewłaściwe także z tego względu, że prowadzi do zafałszowania obrazu – z **gen. Andrzejem Kowalskim**, byłym szefem Służby Wywiadu Wojskowego w latach 2016–2020 i autorem książki „Rosyjski sztylet. Działalność wywiadu nielegalnego", rozmawia **Grzegorz Wszołek**.

fot. Krzysztof Sitkowski/Gazeta Polska

Transformacja ustrojowa w Polsce z 1989 roku jest cały czas przedmiotem dyskusji w wymiarze politycznym, gospodarczym i skutków społecznych. Pomija się jednak aspekt służb specjalnych i przede wszystkim rosyjskiej zależności, która nie zniknęła ot tak wraz z przemianami. Ostatnie wojska wschodniego imperium opuściły Rzeczpospolitą dopiero 18 września 1993 roku. Panie Generale, czy mówiąc wprost, rosyjska agentura i zależności rozpłynęły się w powietrzu, czy wręcz przeciwnie?

W czasach rozkładu komunistycznej dyktatury nastąpił splot różnych okoliczności. Wspaniałomyślnie chcielibyśmy uznać, iż ludzie funkcjonujący w systemie totalitarnym z dnia na dzień mogli wejść do instytucji systemu demokratycznego. Odpowiedź na pytanie wymaga najpierw zwrócenia uwagi, że wiedza o systemie komunistycznym zaciera się w naszym społeczeństwie. Od 30 lat TV pracuje nad tym, aby czasy PRL kojarzyły się z obrazami przedstawionymi w komediach Stanisława Barei lub w filmach Andrzeja Wajdy. Niewiele powstało filmów, które dzięki zaangażowaniu najlepszych scenarzystów, reżyserów i aktorów opowiadałyby w sposób przystępny i prawdziwy historię komunistycznej aberracji na ziemiach polskich. Dlatego też to, co istotne z czasów tzw. przemiany systemowej, wymyka się wyobrażeniom młodego pokolenia, które nie rozumie reguł komunistycznego państwa, które z natury swej było sowieckie w treści i metodzie. Budowa systemu PRL-owskiego kosztowała do roku 1956 śmierć kilkudziesięciu tysięcy Polaków. Mówimy o czasie przemiany lat 1988 –1990, a zapominamy, że pokolenie aparatczyków, które dokonało tzw. transformacji ustrojowej, było młode w czasach stalinowskich. Tam tworzyła się ich mentalność, tam chłonęli idee, od swoich ojców, którzy mordowali żołnierzy antykomunistycznego powstania, dowiadywali się, jakim wartościom trzeba służyć i nie była to miłość do Polski. Chociaż bardzo często byli dziećmi najkrwawszych katów, to jednak otrzymali szansę wejścia w struktury quasi-demokratyczne poprzez Okrągły Stół, który jako proces był kontrolowany przez ludzi partii i bezpieki. W myśleniu o PRL wszystko wraca na właściwe tory, gdy uznamy, że w totalitaryzmie pełnia władzy znajdowała się poza Polską – rolę hegemona pełnił Związek Sowiecki. W związku z tym żaden podmiot wpływający na kształt państwa, tzn. partia, wojsko, służby specjalne, nie był suwerenny. Sytuacja w PRL nabierała kształtu po przejściu przez ręce sowieckich „doradców". To jest prawda o PRL. Co w takim razie z nasyceniem rosyjską agenturą? W latach 70., 80. część elit partyjnych

eprasa.pl e01a01b09

(każdy oficer był członkiem partii komunistycznej) zdawało sobie sprawę, że przepustką do zrobienia kariery jest pełne związanie z moskiewskim decydentem. W strukturach bezpieczeństwa dodatkowym atutem były konotacje rodzinne z KPP lub wczesnego PRL. Przede wszystkim tacy ludzie mogli liczyć na awans i profity. Czy oni wszyscy zostali zwerbowani przez Rosjan do tajnej współpracy? Część z pewnością, ale większość zawdzięczała imperium sowieckiemu możliwość zrobienia kariery i dostępu do pieniędzy i usług, niedostępnych dla ogromnej części społeczeństwa. A przecież nie kąsa się ręki, która jeść daje. Takie było tło narodzin III RP – wstydliwe, o którym nie chcemy tak naprawdę rozmawiać. Wolimy dostrzegać twarze demokratów, ale nie aparatczyków i esbeków. My tej kwestii nawet nie opracowaliśmy naukowo. Uważam, że mamy tylko dwie istotne pozycje, które poruszyły problem zsowietyzowania wojska i aparatu bezpieczeństwa. „Długie ramię Moskwy" prof. Sławomira Cenckiewicza i niestety niszowe wydanie Przeglądu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, opracowane przez ABW, o skali powiązań funkcjonariuszy SB z KGB. Te pozycje pokazują, jak system bezpieczeństwa PRL był ułomny od korzenia i po części mamy w tym miejscu odpowiedź na kwestię poruszoną w Pana pytaniu. Nic nie rozpłynęło się wraz z powstaniem III RP. Dopiero dziś, po 30 latach, uzasadnione jest stwierdzenie, że tamci ludzie mają bardzo ograniczony wpływ na polską rzeczywistość. Dla ścisłości opisu sytuacji sprzed rozwiązania SB należy jeszcze wspomnieć o ogromnej skali działań rezydentury KGB w Warszawie. Wspomnienia Witalija Pawłowa, wieloletniego rezydenta KGB w latach przełomu i „Solidarności", pokazują ogrom pracy operacyjnej prowadzonej przez tzw. biuro łącznikowe. Mówiąc wprost: Sowieci prowadzili normalną pracę wywiadowczą, opierającą się na tajnych źródłach informacji, dzięki czemu świetnie orientowali się, co dzieje się na zjazdach PZPR, w Ludowym Wojsku Polskim czy SB.

▶ Służby specjalne PRL latem 1990 roku przeszły pozorną, dziurawą weryfikację, a wojskowe w ogóle nie przechodziły takiej procedury. Czy nie był to poważny grzech, który ułatwiał robotę obcym wywiadom?

W 1990 roku weszliśmy w nową rzeczywistość z rosyjskimi przyczółkami i interesami służb specjalnych, porozrzucanych w całym kraju. A po naszej stronie były niezweryfikowane wojskowe służby i UOP, w którym większość stanowili ludzie dawnej SB. O ile kadry najbardziej wrogich Polsce Departamentów – III (ds. opozycji) i IV (ds. Kościoła katolickiego) – zostały „wyczyszczone", o tyle na przykład cała „jedynka" – wywiad cywilny – opierała się na starych kadrach. Pamiętam doskonale dyskusję o „opcji zerowej" w służbach specjalnych. Padało tysiące argumentów, aby nie mścić się i nie żyć resentymentami. Tymczasem Czesi dokonali całkowitej zmiany i dobrze sobie poradzili z problemem. Decydując się na kooptację komunistycznych kadr do struktur demokratycznych, zachowaliśmy się jak murarz, który pomiędzy kamienie wstawił bloki szklane i dziwi się, że sąsiedzi widzą, co się dzieje za murem. Służby specjalne to organizm, który musi być traktowany całościowo. Tylko wtedy, kiedy całe zostają odnowione zgodnie z naczelną zasadą, że służą Polsce, nie jakimś prywatnym interesom koterii politycznych czy nawet poszczególnym politykom, mogą spełnić swoją misję. Pozostawienie w służbach osób powiązanych ze starym systemem, w niektórych przypadkach też z wrogim mocarstwem, musiało odbić się na ich poziomie pracy i funkcjonalności. Nic dziwnego, że Polska była co jakiś czas wstrząsana aferami, które wiązały się z podejrzeniami wobec najważniejszych polityków i innych osób publicznych. W efekcie nie wiemy do dzisiaj, które z tych afer były prawdziwie wykryte, a które realizowały scenariusz napisany poza Polską.

▶ III RP przeżarta była aferami, szczególnie w latach 90. Z perspektywy czasu był to świat chaosu, niczym „wolna amerykanka" – kwitły interesy esbeków, służby w dużej mierze kontrolowały życie publiczne, inwigilując poszczególnych polityków. Prężnie działała SDRP dzięki moskiewskiej pożyczce – z czasem przeformatowana na SLD. Postkomuniści w 1993 roku doszli do władzy w drugich, całkowicie wolnych wyborach parlamentarnych, następnie prezydenturę zdobył Aleksander Kwaśniewski. Czy można powiedzieć, że dla rosyjskich wpływów był to idealny scenariusz w państwie nie tak dawno podległym ZSRS?

Pamiętam ostatnie przemówienie premiera Jana Olszewskiego w Sejmie 4 czerwca 1992 roku, który zapytał: „Czyja będzie Polska?". Tutaj zwrócę uwagę na rzadko omawiany wymiar tego, co stało się wraz z obaleniem rządu Jana Olszewskiego. Mianowicie po 1990 roku udało się skutecznie oszukać społeczeństwo, przekonując o całkowitej zmianie systemu państwowego: mieliśmy demokrację. Pamiętna czerwcowa noc zdarła maski z twarzy aparatczyków nawróconych na demokrację. To był klasyczny przewrót zamaskowany demokratyczną fasadą. Co więcej, prawdziwymi beneficjentami nie byli wcale ci, którzy na filmie „Nocna zmiana" namawiają się w gabinecie

eprasa.pl ea01a01b09

razem z Lechem Wałęsą. Prawdziwymi zwycięzcami byli komuniści. Pokazali, że tzw. demokraci chwycą się każdego sposobu, aby nie tylko nie stracić władzy, lecz także żeby jeszcze ją umocnić. Dlatego uważam, że najgorsze, co wtedy się stało, to był wyrok na demokrację. Kolejne wybory, wygrane przez SLD, były tylko konsekwencją odwołania premiera Olszewskiego. Zresztą warto przypomnieć, jak wielką histerię wywołała lista Macierewicza. Po latach, dzięki pracy IPN, zostały potwierdzone niemal wszystkie przypadki osób zarejestrowanych jako tajni współpracownicy SB. Nie dziwi też późniejszy triumf wyborczy Aleksandra Kwaśniewskiego, w otoczeniu którego pojawiły się postacie ze służb PRL, zarządzające ośrodkiem prezydenckim. Naprawdę można było odnieść wrażenie, że skołowane polskie społeczeństwo przyzwyczaiło się i zaakceptowało powrót komunistów do władzy.

▶ Chyba największą sensacją szpiegowską była tzw. afera „Olina". Minister Andrzej Milczanowski z trybuny sejmowej w połowie lat 90. oskarżył Józefa Oleksego o szpiegostwo na rzecz Rosjan na podstawie analiz UOP. Ówczesny premier miał utrzymywać kontakty z rezydentami KGB w Polsce – Władimirem Ałganowem i Grigorijem Jakimiszynem. Postkomuniści do dziś twierdzą, że była to prowokacja, która miała storpedować wejście Polski do NATO. Prokuratura wojskowa błyskawicznie umorzyła śledztwo, uznano, że nie ma dowodów na to, że Oleksy podjął współpracę. Sam fakt penetracji rosyjskiego wywiadu i spotkań z politykami SLD był jednak niezaprzeczalny.

Powstało sporo publikacji, które podjęły próbę zmierzenia się z hipotezą współpracy Józefa Oleksego z KGB oraz na temat afery „Olina". W mojej opinii oskarżenie premiera Oleksego to kolejny dowód na to, jak mścił się brak opcji zerowej, profesjonalnej weryfikacji w służbach i jak bardzo potrzebni byli nowi ludzie, chcący prowadzić w nowoczesny sposób polskie sprawy państwowe. Proszę zwrócić uwagę, że afera wokół Oleksego na wiele lat zdominowała dyskusję o służbach. Od tamtego momentu służby specjalne nie uwolniły się od oskarżeń w sprawie wpływu na życie polityczne. Przy zatrzymaniu każdego podejrzanego o szpiegostwo w III RP spotykamy się z argumentami, że służby mieszają się w sprawy polityczne. Przywołana przez Pana interpretacja sprawy Oleksego może mówić zupełnie coś innego: to nie służby grały polityką, ale ktoś grał służbami. Dowodzono, iż doszło do zamachu służb na najważniejszą osobę w państwie, bez jakichkolwiek uzasadnionych powodów. Część komentatorów dodatkowo podkreślała, że nie rozumieliśmy skomplikowanych gier Rosjan, bo nasze służby nie miały wykwalifikowanych kadr. Afera „Olina" sprawiła, że słabe służby stały się jeszcze słabsze, doszło przecież nie tylko do zakwestionowania ich kwalifikacji, ale dodatkowo uznano, że UOP nie radzi sobie na najważniejszym polu działania, czyli w sprawach szpiegowskich. Pracowałem wtedy w UOP i pamiętam dotkliwe porównania młodej służby do SB. Bolały nas te wyssane z palca oskarżenia, zwłaszcza że jak pan zauważył, wieloletnie kontakty Oleksego z rosyjskimi oficerami były bezsporne. Młodzi oficerowie zrozumieli, że pewnych spraw nie da się rozwikłać, bo politycy nigdy na to nie pozwolą. Atak na UOP sprawił, że polskie służby nie były w stanie już nigdy wypracować sobie pozycji, jaką na początku III RP miały dzięki wielkiemu kredytowi zaufania.

▶ Po upadku władzy SLD na skutek afer – m.in. Orlenu i PZU – do władzy doszły partie wywodzące się z pnia solidarnościowego. PiS od początku prezentowało antykremlowskie poglądy, a rząd PO z czasem doprowadziła do resetu w relacjach z Rosją, wliczając w to współpracę służb z FSB i wymianę informacji służących wywiadowi. Jakie mogło mieć to przełożenie na działalność rosyjskiej agentury i bezpieczeństwa w Polsce?

Służby specjalne to nie jest zabawa dla grzecznych panów. Nie ma miejsca na uprzejmości, bo to starcie z przeciwnikiem. Na koniec dnia na wierzchu musi być nasze, a nie cudze. Dlatego naiwnością jest sądzić, że pozorna wymiana informacji z państwem totalitarnym nie odbiła się negatywnie na polskim bezpieczeństwie. W ramach wspólnoty krajów demokratycznych jesteśmy wobec siebie lojalni, ale z wzajemnym uszanowaniem narodowych interesów. I taka współpraca nie jest niczym dziwnym. W przypadku kontaktów z państwem totalitarnym nie można spodziewać się lojalności, a zakładanie, że druga strona uznaje nasze prawo do posiadania własnych interesów, jest nie tylko naiwnością, jest niedorzecznością. Z perspektywy Rosji to jej interes jest ważniejszy, stąd zawsze musi zostać osiągnięta przewaga nad przeciwnikiem, którego taktycznie nazywa się partnerem. Jeśli ktoś tego nie pojmuje, to nie rozumie otaczającej go rzeczywistości. Rosjanie nigdy nie pozwolą się podporządkować komukolwiek. Z całym szacunkiem dla pięknoduchów, tłumaczących współpracę z Moskwą „zabezpieczaniem interesów", po drugiej stronie do rozmów zasiadali ludzie o większym doświadczeniu i determinacji. Polska strona nie miała żadnych szans na współpracę – było to oddawanie pola w miłej atmosferze.

eprasa.pl ea01a01b09

▶ Co jakiś czas słyszymy o zatrzymaniach pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji. Prawnik zaangażowany w budowę gazoportu w Świnoujściu, hiszpański nielegał, podający się za dziennikarza przy granicy z Białorusią. Kilka lat temu zatrzymano byłego rzecznika Samoobrony, Mateusza Piskorskiego, mocno wspierającego interesy Federacji Rosyjskiej. Jego proces ciągnie się od lat. Dlaczego tak trudno udowodnić komuś, że wypełniał rolę rozpisaną przez obce służby?

Bo bardzo potrzebujemy reformy kodeksu karnego. Być może jest to szokujące, ale nie ma w nim zapisów na temat zbrodni „szpiegostwa". Taki stan prawny funkcjonuje od... 1997 roku! Minęło już tyle czasu, że polskie państwo powinno zweryfikować te zapisy. Być może 25 lat temu politycy mogli żyć w przekonaniu, że świat się zmienił na lepsze, ale dziś doskonale wiemy, że ewoluował na gorsze. Służby rosyjskie są bezwzględne, brutalne i zmotywowane – potrafią bez problemów zabić wroga poza granicami, otruć, dokonywać zamachów bombowych. One cały czas to robią, a my utkwiliśmy z martwymi przepisami. I dopóki one się nie zmienią, orzecznictwo również – za szpiegostwo w Polsce średnio otrzymuje się wyrok 3 lat. Najczęściej taki podejrzany wychodzi z aresztu, ponieważ ma świetnego adwokata i odpowiada z wolnej stopy. To już kompletne kuriozum! Najgorsze jest to, że nie widać przesłanek, aby coś w tej kwestii rzeczywiście się zmieniło. Coraz częściej słychać ponaglające wypowiedzi, ale płyną one tylko ze świata eksperckiego.

▶ Słynny był też przypadek młodego żołnierza Emila Czeczki, który zdezerterował na Białoruś i tam się powiesił albo – czego nie można wykluczyć – został powieszony. Taki los czeka potencjalnego zdrajcę na rzecz reżimów wschodnich?

Skoro Rosjanie mają w zwyczaju mordować własnych oficerów służb specjalnych i wojska, to dlaczegóż nie zlikwidują obcych? System totalitarny charakteryzuje się absolutną pogardą dla jednostki ludzkiej – trudno nam sobie zdać z tego sprawę, bowiem w Polsce nigdy nie sprawowano w taki sposób władzy (wyjątkiem były czasy komunistyczne , ale wtedy władzę sprawowali namiestnicy moskiewscy). Dla Rosjan zabranie czyjegoś życia jest na porządku dziennym – na tym polega cały problem. Kto im zabroni? Kto ich rozliczy ze skrytobójstw, skoro elity władzy i służb żyją wyjęte poza przepisy prawa? Niestety, wielu polityków czy publicystów w naszym kraju wierzyło przez długie lata, że Federacja Rosyjska tak nie działa. Nie wiadomo, na jakich podstawach dopatrywano się nowej twarzy Moskwy. Zlikwidowanie agenta, jakim najpewniej był Emil Czeczko, nie stanowiło jakiegokolwiek dylematu dla białoruskiego aparatu. Powiem więcej – to z perspektywy tamtych służb zaledwie kosmetyka. Dezerter spełnił swoją rolę i stał się po kilku miesiącach balastem dla wschodnich reżimów. A co, gdyby zaczęły targać nim różne emocje i zażądał prawnika? Gdyby zechciał udać się z powrotem do Polski i wyjawił szczegóły operacji, w które go zaangażowano? Białorusini i Rosjanie nie mogli sobie na to pozwolić.

▶ Czy może Pan opisać, czym wyróżnia się charakterystyczny rosyjski agent w Polsce? Gdzie służby Federacji Rosyjskiej szukają przede wszystkim aktywów?

Muszę zmartwić wszystkich czytelników, ponieważ nie ma konkretnego opisu do zastosowania. Każdy, kto chce pracować dla Rosjan, staje się od razu cennym nabytkiem – niezależnie od pozycji społecznej i wykonywanego zawodu. Byleby przekazywane informacje interesowały służby i potwierdzały się w rzeczywistości – taki jest sposób działania rosyjskiego wywiadu. Dla rosyjskiej bezpieki pracują ludzie różni, nawet z marginesu społecznego – nie posiadam jednolitego wzorca dla idealnego agenta. Snucie opowieści o modelowym agencie byłoby daleko niewłaściwe także z tego względu, że prowadzi do zafałszowania obrazu. Czytałem życiorysy co najmniej dwustu rosyjskich szpiegów działających na Zachodzie. Służby amerykańskie stworzyły nawet profil szpiega. Ja pozostaję do tej metody sceptyczny. Były to tak bardzo różnorodne postacie, że nigdy nie sformułowałbym zestawu charakterystycznych cech. Najważniejsze są informacje, o tym proszę pamiętać. Reszta to tylko puzzle, zawsze da się jakoś ułożyć.

▶ Czy da się odmówić, gdy próbują werbować? Czy można zerwać powiązanie ze światem rosyjskich służb?

Te pytania nasuwają się same, jednak spójrzmy na to z innej strony. Rosjanie wykonują tak daleko idące rozpoznanie kandydata do werbunku, że doskonale wiedzą: kogo i jak będą werbować i czy istnieje zagrożenie odmowy. Zawsze zakłada się, że ktoś może odmówić, ale przecież gdyby z takiej pozycji startował werbownik, to po co by w ogóle zaczynał? Co innego zakładać, że ktoś może odmówić, a co innego siadać do rozmowy z przekonaniem, że mam nad rozmówcą taką przewagę, że trudno będzie mu odmówić. Służby

eprasa.pl ea01a01b09

specjalne nie werbują kogoś, kiedy nie widzą szans na sukces. Pamiętam oficera, który powiedział mi, że werbował tylko tych, którzy chcieli być zwerbowani. Chociaż trudno w to uwierzyć, to czasem przygotowanie werbunku trwa kilka lat. Gdy oficerowie nabierają przekonania, że zgromadzili potrzebną wiedzę, że znają psychologiczny profil kandydata, że wiedzą, jak z nim rozmawiać, dokonują werbunku. Podobnie jest z odmową. Proces pracy z agentem jest tak prowadzony, aby nie dochodziło do takiej sytuacji. Znam kilka takich przypadków. Nawet w Rosji można było rozwiązać współpracę. Warto jeszcze zaznaczyć, że bardzo rzadko zdarzają się sytuacje wymuszonych pozyskań, podobnie jak – wbrew filmom szpiegowskim – na komprmateriałach. Dlaczego? Bowiem szantaż zwiększa ryzyko na zmianę strony przez agenta i rośnie też prawdopodobieństwo chęci zerwania współpracy.

▶ Rosyjska agentura nasiliła działania w związku z agresją na Ukrainę? Nie ma praktycznie dnia, by w sieci ktoś nie dezinformował. Wykorzystywane są boty, opisuje się niesprawdzone historie z uchodźcami – jakoby zajmowali miejsca polskim dzieciom w placówkach edukacyjnych, kradli w sklepach lub szykowali nam tu „Ukrainpolin". Choć trzeba przyznać, że we wrześniu 2022 roku natężenie fake newsów o Ukraińcach jest znacznie mniejsze niż jeszcze wiosną.

Zwróciłbym uwagę, że perspektywa rosyjskich służb jest wyjątkowa – od wielu lat w strukturach tych służb istniał zarząd lub departament zajmujący się dezinformacją. I nie chodzi o zajmowanie się zagrożeniem, ale o stosowanie dezinformacji przeciwko państwom uznanym za wrogie. Podmiot odpowiedzialny za wojnę informacyjną działa szeroką paletą środków, nie tylko za pomocą agentury. W tej chwili narzędzia elektroniczne – na przykład internetowe boty – są stale wykorzystywane. Obecnie wygląda to mniej więcej tak: na początku mamy grupę specjalistów, którzy tworzą treść zawartą w krótkich zdaniach spełniających standard współczesnej komunikacji. Informatycy opracowują programy, które służą przejmowaniu obcych komputerów i wykorzystywaniu ich jako botów w operacji informacyjnej. Gdy już jest treść i narzędzie do jej rozprzestrzeniania, rusza cała operacja. Na końcu jest niczego nieświadomy internauta, który czyta krótkie zdania, rozsiane w różnych miejscach. A że treści wiążą się z życiem codziennym, to łatwo wywołują zainteresowanie i reakcję. Czyta, słyszy, że ktoś podobnie jak on odbiera rzeczywistość, że ktoś trafnie reaguje na sprawy, które dla niego są ważne. Prowadząc wojnę informacyjną, zawsze generuje się narracje, które trafiają do ludzkiej świadomości poprzez sprawianie wrażenia, że „to są właśnie moje problemy". Zdania mówiące o tym, że brak miejsca w szpitalu, bo za dużo jest Ukraińców, albo że brak pracy dla Polaków, bo przyjęliśmy uchodźców – to przykłady wrzutek stanowiących przynętę. W wielu osobach takie zdania nie budzą większej reakcji ponad wzruszenie ramionami. Niestety niektórzy się na to łapią i rezonują. W ten sposób powstaje fala, która zaczyna być niebezpieczna. Sami potrafimy spontanicznie w takich kwestiach rezonować, nie mając nic wspólnego z rosyjską agenturą lub wynajętymi botami.

▶ W głośnym wywiadzie gen. Piotr Pytel, były szef SKW, oskarżył rząd Zjednoczonej Prawicy – mocno zaangażowany w pomoc wojskową, i nie tylko, Ukrainie – o sprzyjanie Władimirowi Putinowi. Ba, spekulował w „Gazecie Wyborczej" bez dowodów, że otoczenie premiera, a może i sam Mateusz Morawiecki, to tak naprawdę agenci Kremla. Jaki jest Pana stosunek do tych enuncjacji?

Wypowiedzi gen. Pytla przypominają piramidalną konstrukcję absurdalnych sugestii. Jeżeli ktokolwiek posiada wiedzę o powiązaniach kogokolwiek z rosyjskimi służbami, nie wspominając już o najważniejszych postaciach życia politycznego w Polsce, powinien natychmiast przedstawić materiał dowodowy i fakty w prokuraturze. Pójście do mediów jest ostatnią drogą, którą powinien podążać przedstawiciel kadry kierowniczej najwyższego szczebla w państwie. Taki powinien być standard. Przywołany przez Pana wywiad proponuję zobaczyć w szerszym tle. Jesteśmy w momencie wojny na Ukrainie, Rosjanie ponieśli porażkę pod Charkowem, nie wiadomo jeszcze, jakie będą jej konsekwencje. W tym momencie pojawia się uderzenie w podkomisję smoleńską poprzez wyświetlenie w TVN filmu „dokumentalnego", który po raz kolejny wykazuje, że raport jest źle przygotowany i pomija istotne ustalenia. Wywiad byłego szefa SKW zawiera oskarżenia pod adresem władz RP o powiązania rosyjskie, być może nawet o charakterze agenturalnym. W mojej opinii są to elementy ze sobą powiązane, prawdopodobnie bez wiedzy wskazanych podmiotów. Celem działania było z jednej strony wzbudzanie wzajemnych niechęci wewnątrz obozu rządowego, a z drugiej dezawuowanie polskich władz państwowych w obliczu nadchodzących bardzo trudnych rozmów na arenie międzynarodowej, gdzie stawką będzie utrzymanie skutecznego poziomu pomocy wojskowej niezbędnej do pokonania sił rosyjskich na Ukrainie. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Platformerscy mędrcy Syjonu

Dawid Wildstein



Gdy jakiś czas temu rozmawiałem o głośnym i kuriozalnym wywiadzie przeprowadzonym z gen. Pytlem, który wydrukowała „Gazeta Wyborcza", jeden z moich znajomych stwierdził, że jest to rodzaj „Protokołów mędrców Syjonu" dla leminga. Oczywiście była to żartobliwa wypowiedź, zwracająca uwagę głównie na głupotę i skrajną absurdalność tez wypowiadanych przez Pytla. Jeśli jednak przyjrzeć się bliżej operacji, którą Platforma wraz ze swoimi mediami przeprowadziła za pomocą wspomnianego wywiadu, okaże się, że ma ona z „Protokołami" zadziwiająco wiele wspólnego.



eprasa.pl ea01a01b09

Owywiad z Pytlem zapytałem też moich przyjaciół z Ukrainy, żołnierzy. Chciałem się dowiedzieć, jak z ich perspektywy brzmią oskarżenia PiS-u o prorosyjskość. Jeden z nich, śmiejąc się, skomentował sprawę dosadnie: „Dawidzie, ktoś, kto tak mówi, jest albo idiotą, albo sam jest agentem Putina". Cóż, warto Ukraińców słuchać, oni przecież najlepiej znają Putina i jego lokajów. Ale żarty na bok. Jak w obecnej sytuacji można w ogóle brać pod uwagę tezy Pytla, dyskutować o nich? Skąd tak absurdalna retoryka i jaki jest jej cel?

Logika pseudonauki

Żeby odpowiedzieć na te pytania, warto najpierw zwrócić uwagę na samą konstrukcję „wywodu" gen. Pytla. Otóż wielu z jego „zwolenników", najrozmaitszych „autorytetów" ze środowisk medialnych czy intelektualnych na usługach Platformy, zwracało uwagę na wyjątkową wewnętrzną spójność tej „analizy". Na to, jak konsekwentnie wnioski wypływają z przesłanek, jak wręcz „brutalnie logiczna" jest szkicowana przez Pytla wizja. Faktycznie, ciężko odmówić racji wspomnianym głosom. Tylko że przywoływana „logiczność" jest typowa dla pseudonauki oraz sekt, a nawet jeszcze gorszych patologii społecznych. Pytel stosuje dość banalny „trik". Najpierw tłumacząc, czemu PiS jest tak naprawdę agenturą Putina, zawsze, z szeregu przesłanek wyjściowych, wybiera tę, która mu najbardziej pasuje. Za to już w następnej wypowiedzi to, co wcześniej było tylko jedną z wielu możliwości, nabiera rangi aksjomatu. Już jako prawda nie do podważenia, staje się punktem wyjścia do snucia dalszych alternatyw. Następnie, z tak naprawdę kilku setek, a czasem i tysięcy możliwości, zostaje wybrana kolejna, znów natychmiast urastając do rangi ostatecznej prawdy, z której wypływają dalsze wnioski. I tak w kółko, aż dochodzimy do poziomu Pytla.

Jednocześnie jako że każda z możliwości jest wybierana z tego samego powodu, czyli pod zgodność z tezą wyjściową Pytla, sam wywód faktycznie uderza swoistą konsekwencją i „czystością". Bowiem nic z zewnątrz, jakakolwiek teza, która mogłaby zaburzyć czy niuansować radykalność przekazu, zgodność z „linią", nie zostaje dopuszczona. W wypadku Pytla każde zachowanie PiS jest ex definitione prorosyjskie. W ten sposób nawet skrajnie antyrosyjskie działania rządu określane są jako zasłona dymna, mająca pozwolić w innych obszarach osiągnąć cele zbieżne z interesem Moskwy. I tak dalej, i tak dalej. Typowa, niefalsyfikowalna teoria, w której nic, co jakkolwiek podważałoby fundament wyjściowej wizji, nie istnieje w przedstawianej rzeczywistości. Oczywiście ma się to nijak do tego, jak wygląda świat realny, z jego nieoczywistością, wielowymiarowością. Pasuje jednak tym, którzy oczekują infantylnego, uproszczonego obrazu świata, tym, którzy wolą go oglądać jako manichejskie starcie sił obiektywnego dobra i zła, lub nadętym bufonom, mającym świadomość, że kierują przekaz do debili. Taki uproszczony, a jednocześnie powierzchownie logiczny przekaz cechuje pseudonaukę. Przykładowo w podobny sposób najrozmaitsi „naukowcy" udowadniają, że tak naprawdę Jezus miał rodzinę, a jego potomkowie założyli zakon Templariuszy i do dziś, spod powierzchni ziemi, kontrolują Watykan.

Leming znowu śpi spokojnie

Z tego typu „mądrości" można by się było śmiać, niemniej tak skonstruowana wizja świata jest czymś bardzo groźnym. Jak zwracała uwagę jedna z najważniejszych filozofek XX wieku, Hannah Arendt, ta skrajna logiczność to typowy element myślenia totalitarnego, nieważne czy czerwonego, czy brunatnego. Z jego pomocą władza hoduje jednostki bez właściwości, gotowe zaakceptować każdą brednię, którą zdecydują się im ogłosić ich przywódcy (Arendt zresztą opisywała to, co sama widziała, żyła bowiem w czasach dochodzenia nazizmu do władzy). Co ludzie dostają w zamian? Właśnie ową quasi-spójność, świat, w którym wszystko jest jednoznacznie ustalone, w którym zawsze wiadomo, kogo słuchać i gdzie jest właściwa strona (nawet jeśli zmienia się ona wciąż, w zgodzie z interesem tych, którzy kontrolują przekaz). Pytel jest, w pewnym sensie, konieczną konsekwencją operacji propagandowej, jaką przeprowadziła na własnym elektoracie Platforma Obywatelska. Niestety, w znacznej mierze skuteczną (acz nie w sposób pełny, nieuczciwością byłoby nie zauważyć, że jednak i po stronie totalnej opozycji odezwały się głosy sprzeciwu wobec tego kuriozalnego wywiadu). Platforma może obwieścić w tej materii, razem z „Gazetą Wyborczą", sukces. Naprawdę udało się im ostatecznie i konsekwentnie oderwać część swojego elektoratu od jakiegokolwiek kontaktu z rzeczywistością. Oczywiście wyborcy Platformy też dostają w zamian pewnego typu gratyfikacje, szczególnie w przestrzeni emocji. Pytel rozwiewa wątpliwości, jakie mógł mieć leming. Teraz nie musi on się już zastanawiać, jak to możliwe, że ten straszny PiS, zło ostateczne, zachowuje się w sposób sensowny w kwestii wojny, że jest nawet chwalony przez bohaterów z Ukrainy. Dzięki Pytlowi wie, że PiS jest nadal wszystkim co najgorsze. Nie ma żadnej szczeliny, znów nic nie zaburza jego widzenia świata, leming może na nowo spać spokojnie. Pytel jednocześnie pokazuje, jak samo PO jest ograniczane przez swoją własną narrację, przez tę sekciarską propagandę, którą wciska swoim wyborcom. Jak dalekie to jest od normalnej debaty publicznej.

Brak szczelin

Spokojnie można sobie przecież wyobrazić sytuację, w której Platforma, przyznając PiS-owi, że jest antyputi-

Ilustracja Antoni Chodorowski

eprasa.pl ea01a01b09

nowski, jednocześnie używa tej karty przeciw niemu. Twierdząc na przykład, że obecna władza jest zbyt mało antyrosyjska, że można być skuteczniejszym, w końcu, inaczej, że jest zbyt antyrosyjska i w związku ze swoim „machaniem szabelką" sprowadza na Polskę zagrożenie (zresztą w ten sposób rozsądniejsza część PO usiłuje tę kwestię rozgrywać). Parszywe, zważywszy na kontekst i skalę obecnego konfliktu? Jasne, ale na poziomie czystej praktyki politycznej – bardziej zrozumiałe i skuteczniejsze. Niemniej, jak już zostało wspomniane, samo PO jest więźniem swojej narracji, tej zdziecinniałej, a jednocześnie groźnej i brutalnej wizji, w której trwa walka ze złem ostatecznym. Ta narracja zresztą przynosi jej dysponentom bardzo konkretne profity, nadając im wysoki status społeczny. Zostają oni wręcz nowymi prorokami, wielkimi autorytetami, mimo że najczęściej ich intelektualne możliwości nie mają nic wspólnego ze statusem i rolą, jakie sobie nadali, zaś ich pretensje i ego są odwrotnie proporcjonalne od posiadanej wiedzy. Dzięki tej infantylnej retoryce, ciągłym trwaniu w niej, nakręcaniu do maksimum skrajnych emocji swoich odbiorców, mogą osiągnąć quasi-religijny status, zostać bohaterami, rycerzami światła, walczącymi z mrokiem. Osoby, które w ten sposób zdecydowały budować swoją pozycję, są w stanie, nie tracąc swoich wyznawców, zmienić „ton", zejść z diapazonu ostatecznej histerii, nie wychodząc ze swojej roli. Jej podstawowym warunkiem jest opisywanie PiS-u jako zła ostatecznego, nowych nazistów, faszytów etc. Każde więc działanie tej partii musi być naznaczone złem, prowadzić do zniszczenia właściwego porządku. Nie może być żadnego wyjątku od tej reguły. Nawet jeśli podjęte przez PiS decyzje polityczne zdają się prowadzić do właściwych rezultatów, to muszą one mieć ukryty cel, drugie dno, w którym kryje się wszystko, co najgorsze. Logika ostatecznej walki dobra ze złem jest nieubłagana. Spisek, ukryte intencje, konspiracja – to jednocześnie idealny melanż, za pomocą którego można zaszczepić w społeczeństwie paranoję, niepewność i nienawiść, żeby następnie umiejętnie przekierować emocje społeczne. Cel? Ukryć prawdziwego winnego obecnej sytuacji, robiąc z kogoś innego kozła ofiarnego. Tutaj wracamy do kwestii „Protokołów mędrców Syjonu".

Pytel z Ochrany

Czym był właściwie ten paszkwil? To relatywnie krótka broszurka, która tłumaczyła mieszkańcom rosyjskiego caratu, że rzeczywistość, którą obserwują, jest kłamstwem. Tak naprawdę pod powierzchnią zjawisk trwa ciągła wojna. Prowadzona jest ona przez owych „mędrców Syjonu", zaś jej celem jest zwycięstwo ostatecznego zła. Konsekwencją tej wojny są wszystkie problemy, z jakimi obecnie boryka się prosty poddany caratu. Władza rosyjska jest w tym ujęciu nie tylko niewinna, więcej, ona bohatersko chroni swoich poddanych. Nawet jeśli wydaje się, że jakieś działanie żydowskiej organizacji ma dobre cele, to jest to tylko zasłona dymna, za pomocą której realizują swoje ukryte, destrukcyjne dla świata interesy. Kryzysy ekonomiczne i społeczne w Rosji to tylko niewielkie preludium tego, co stałoby się, gdyby carat został pokonany przez Syjon. Protokoły zostały napisane przez carską Ochranę. Okazały się sukcesem, bowiem skutecznie pasożytowały na nienawiści, jaką lud rosyjski już żywił wobec Żydów, wykorzystując wszelkie klisze antysemickie, jakie były już wcześniej obecne. W ten sposób, na wiele lat, carat zdołał stworzyć fikcyjnego wroga, którego można było obarczyć winą za wszystkie pomyłki władzy.

Wywiad z Pytlem posiada bardzo podobną strukturę. Po pierwsze, ma dokładnie ten sam cel, ukryć prawdziwych winnych (w tym wypadku tych, którzy latami pozwalali Rosji robić w Polsce, co chciała). Po drugie, jego siła tkwi w oparciu się o już istniejącą nienawiść i paranoję u odbiorcy, pasożytowaniu na jego głupocie. Po trzecie, w analogiczny sposób wszystkie działania wroga okazują się mieć drugie dno, prowadzić do innego, niż deklarowany, cel. Stworzona wizja rzeczywistości jest zupełnie niezależna od realnego świata, bowiem to rzeczywistość okazuje się elementem ogólnego kłamstwa. Pytel zachowuje się jak idealny oficer carskiej Ochrany, przekierowujący na PiS-owskiego Żyda odpowiedzialność za zbrodnie własnej formacji. To, że kierowane przez niego SKW miało kontakty z FSB, sam zaś generał przez niektórych i dziś jest oskarżany o związki z Moskwą, dodaje „smaczku" tej analogii. W końcu, i to jest być może najważniejszy (i najgroźniejszy) cel tej operacji, nakierowany na przyszłość, jej zadaniem jest zniszczenie znaczenia terminu „agent rosyjski". Jeśli bowiem można przykleić łatkę proputinizmu władzy, która zrobiła tyle dla obrony Ukrainy, tak chwalonej dziś przez tych, którzy uważani są za największych wrogów Rosji, to oznacza to, że samo określenie straciło sens. Że nastąpiła ta sama ewolucja, co z „faszyzmem". Są to już tylko terminy odwołujące się do emocji, pozbawione treści, służące napiętnowaniu wroga, tego gorszego, w zupełnym oderwaniu od tego, kim on faktycznie jest i jakie są jego cele polityczne. Ciężko o większy prezent dla rosyjskiej agentury. Właśnie ten element operacji o nazwie „Pytel" pokazuje nam fundamentalną prawdę o PO. Ta partia będzie zawsze, można by powiedzieć, że „z gruntu", prorosyjska. Jest to uniezależnione od sytuacji geopolitycznej, która aktualnie kształtuje Europę. Po prostu to, co PO zrobiło z debaty publicznej, kierunek, w którym podąża tresura jej elektoratu, to, jak partia ta steruje emocjami społecznymi, będzie zawsze na rękę wschodniej satrapii. ■

eprasa.pl ea01a01b09



Ryszard Czarnecki

Partia Przyjaciół Rosji atakuje za... „prorosyjskość”!

Dożyliśmy czasów, w których ludzie i środowiska polityczne należące do nieformalnej Partii Przyjaciół Rosji zamiast uderzyć się w piersi, zarzucają swoje polityczne grzechy śmiertelne formacji rządzącej.

Złodziej krzyczy: „Łapać złodzieja!”. To stare polskie przysłowie jest najlepszą ilustracją tego, co wyprawia opozycja w sprawie Rosji. Ludzie, którzy przez lata wprost blisko współpracowali z Moskwą albo przynajmniej wyśmiewali tych, którzy przestrzegali przed imperializmem Moskwy, dzisiaj z kamienną twarzą atakują „prorosyjskość” (sic!) tych samych, których wcześniej piętnowali za „antyrosyjskie fobie”.

Oto rząd PO-PSL, który zawierał skrajnie niekorzystne umowy gazowe z Rosją, które do tego stopnia były asymetryczne, że wywołały reakcję... Komisji Europejskiej, która uznała, że zagraża to interesom UE. To szczególny paradoks, że wówczas Unia Europejska wystąpiła, o dziwo, w interesie Polski – wbrew rządowi w Warszawie!

Oto PSL-owski minister w rządzie PO-PSL, który domagał się publicznie, w mediach, odwołania sankcji wobec Rosji po zajęciu Krymu w 2014 roku – a za nim powtarzali to inni politycy tej formacji. Pretekstem był dostęp polskich produktów rolnych do rynku rosyjskiego. Przypomnę, że sankcje te nałożył nie tyle polski rząd, co cała UE-28.

Oto minier spraw zagranicznych RP, który na doroczne spotkanie polskich ambasadorów jako głównego mówcę zaprosił... szefa MSZ Rosji! Zdjęcie obu panów palących papierosy na balkonie MSZ-owskiego pałacyku przejdzie do historii i może być użyte jako ilustracja do kolejnego tomu „Dziejów głupoty w Polsce”. Na pewno ktoś to napisze, aż się prosi, bo autor oryginału – Aleksander Bocheński – nie żyje. Swoją drogą widoczny na tej fotografii Siergiej Ławrow to palacz obsesyjny: pamiętam, jak na obchodach 100. rocznicy ludobójstwa Ormian w Erywaniu w 2015 roku – reprezentowałem tam Parlament Europejski jako jego wiceprzewodniczący – rosyjski minister wychodził zapalić nawet wtedy, gdy przemawiały głowy państw.

Oto premier rządu PO-PSL, który z pierwszą podróżą zagraniczną na Wschód pojechał nie do Kijowa, jak jego poprzednicy, tylko do Moskwy. Takie decyzje nie są dziełem przypadku, to zawsze jest polityka.

Oto ten sam szef rządu w latach 2007–2014, który w wywiadzie dla TVN 24 (rozmawiał z nim Paweł Płuska) mówił, że Putin to „nasz człowiek w Moskwie”. Może zresztą ten zaimek dzierżawczy był prawdziwy, tyle że sformułowanie odnosiło się nie do państwa polskiego, lecz do rządzącej partii. Skądinąd premier i lider owej partii doczekał się rewanżu, bo rosyjskie media obwołały go „naszym człowiekiem w Warszawie”. Nie protestował.

Oto znów tenże prezes Rady Ministrów, który w czasie wizyty w Moskwie nie reagował, gdy Putin proponował podział Ukrainy między Rosję a Polskę, co było oczywistą prowokacją. Sprawę ujawnił po latach ówczesny szef MSZ, chyba rozgoryczony, że to szef rządu, a nie on dostał ważną funkcję w Brukseli.

Oto działania rządu, który po tragedii w Smoleńsku nie zrobił nic, aby powołać komisję międzynarodową, a całe śledztwo oddał Rosji. Później zresztą w praktyce stał się obrońcą rosyjskiej narracji i rosyjskiego raportu (raport Anodiny). Już wtedy, co charakterystyczne, wrogiem rządu PO-PSL nie była Rosja, która zniszczyła wrak samolotu, tylko wrogami byli ci, którzy sprawę chcieli wyjaśnić. Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku śledztwa, procesu i wyroku na szefów CBA: polowano na tych, którzy walczyli z korupcją, a nie na tych, którzy korumpowali i byli korumpowani.

Dożyliśmy czasów, gdy białe nazywane jest czarnym przez tych, którzy chcą się wybielić. Czasów, w których ludzie i środowiska polityczne należące do nieformalnej PPR – Partii Przyjaciół Rosji – zamiast uderzyć się w piersi, pokajać, wyspowiadać, przeprosić i pójść do Canossy (o ile wiedzą, co to była Canossa) – zarzucają swoje polityczne grzechy śmiertelne formacji rządzącej, która przecież wręcz alarmowała opinię w Polsce i Zachód o imperialnych planach Rosji.

Zamiast konkluzji: jako historyk przypomnę sytuację z pierwszych lat sowieckiej okupacji po 1945 roku, gdy żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego przez całą wojnę walczących z Niemcami, oskarżano o... kolaborację z Niemcami. Coś to przypomina, czyż nie? ■

eprasa.pl ea01a01b09

KUCHARZEWSKIEGO WIELKIE SPOJRZENIE NA ROSJĘ



Jakub Augustyn Maciejewski



To nie jest tak, że profesor Jan Kucharzewski (1876–1952) napisał w ciągu dekady (1923–1935) wielkie, siedmiotomowe dzieło „Od białego caratu do czerwonego”. Ta praca stworzyła wielki nurt krytyczny wobec Rosji, którym żyli i nadal żyją ważni intelektualiści Zachodu. Koncepcje polskiego historyka unosiły się na przykład w Białym Domu w czasach Ronalda Reagana.

eprasa.pl ea01a01b09



Fot. NAC, mat. pras.

eprasa.pl ea01a01b09

Kucharzewski próbował polityki, ale – choć zaszedł wysoko – nie okazał się wybitnym graczem. Szczyt jego kariery przypadł na przełom 1917 i 1918 roku, gdy stał na czele Rady Regencyjnej, a więc tworu niemieckiego, który przygotowywał powstanie Polski pod skrzydłami Berlina. Wcześniej naukowo zajmował się wiekiem XIX, życiem intelektualnym i politycznym Polaków pod zaborami, zwłaszcza pod panowaniem rosyjskim. Jego biografia Maurycego Mochnackiego jest szeroką panoramą intelektualną i kulturową polskiego romantyzmu, pierwszą i ostatnią wybitną pracą na temat tego filozofa. W stylu pisarskim Kucharzewski jest niezwykle sugestywny – w solidne naukowe opracowania wplata swoje oceny, potępienia i przenikliwe diagnozy. Erudycja historyka trudna jest do przecenienia – w coraz większym stopniu zajmując się Rosją zna jej dokumenty, prawodawstwo, filozofię, literaturę, poezję – słowem wsiąkł Kucharzewski w rosyjskość, by przyjrzeć się jej z pasją badacza.

Opus magnum „Od białego do czerwonego caratu" to praca, w założeniu, kompletna, miała liczyć kilkanaście tomów, ale wojna przerwała pisanie i pochłonęła trzy z nich. Kucharzewski na emigracji nie podjął się już odtworzenia zaginionych maszynopisów i napisania kolejnych części, zajął się za to popularyzacją swoich tez na amerykańskich uniwersytetach i na spotkaniach z rosjoznawcami i sowietologami.

Osobie nieobeznanej z historią komunizmu trudno jest przeczytać i zrozumieć kolejne tomy, chociaż by dlatego, że autor nie dokończył pracy – skończył swoje rozważania na początkach XX wieku, nie dochodząc do bolszewickiego przewrotu. Można więc powiedzieć, że historyk nie dokończył udowadniania swojej tezy – opisał carat „biały", lecz nie zdążył pokazać jego ciągłości z caratem „czerwonym". Historia jednak sama podopisywała liczne porównania, a koncepcje Kucharzewskiego podchwycił Richard Pipes, który w swoim trzytomowym dziele („Rosja carów", „Rewolucja rosyjska", „Rosja bolszewików") powtórzył i wzmocnił tezy polskiego badacza.

Teza tytułowa z książki Kucharzewskiego z polskiego, dzisiejszego punktu widzenia, może wydawać się oczywista: Rosja sowiecka jest przedłużeniem Rosji carskiej, jest jej totalitarnym wydoskonaleniem, między prawosławnym a komunistycznym imperium istnieje konsekwencja i ciągłość. Z takim spojrzeniem nie zgadzali się na przykład Józef Mackiewicz czy Józef Czapski. Ten pierwszy uważał, że komunizm wywrócił sens i założenia państwa Romanowów, zaś ten drugi widział w dorobku dawnej Rosji klasyczny i europejski sznyt. Historyk nie odmawiał Rosjanom wybitnych osiągnięć, ale przypatrzył im się wnikliwiej i dostrzegł w myśli rosyjskiej ziarna totalitaryzmu, który miał się potem objawić w państwie Lenina. Najważniejsze założenie Kucharzewskiego – o ciągłości Rosji przedrewolucyjnej i Sowietów – należy uzupełnić innymi spostrzeżeniami historyka oraz licznymi dowodami i przykładami na potwierdzenie jego idei.

Rosyjskie kłopoty z prawem własności

Badacz sprzeciwiał się zatem pojmowaniu historii Rosji XX wieku, jakoby tamtejszy lud padł ofiarą obcej ideologii – marksizmowi. Nie, Rosjanie przez całe wieki funkcjonowali w realiach, nazwijmy to, parasowieckich: z zamordystyczną władzą, kolektywnym zarządzaniem, brakiem własności, poczuciem wyższości wobec innych narodów przy jednoczesnej nienawiści do Zachodu. Aleksander Hercen, autorytet XIX-wiecznej rosyjskiej emigracji oraz socjalista i zapadnik (zwolennik westernizacji Rosji), z uznaniem mówił o ustroju wsi w państwie carów, który tak bardzo przypominał mu komunistyczne utopie. Kucharzewski pisał:

„Dzięki niemu, ziemia, należąca do gminy wiejskiej, jest oddana nie na własność, lecz na użytkowanie rodzinom chłopskim na podstawie podziału, periodycznie odnawianego. Wraz z tym kolektywizmem rolnym przechowywać się miały od czasów dawnych na wsi rządy zgromadzenia gminnego (mir), rodzaju komuny demokratycznej, sprawującej samorząd wewnątrz gminy. Na podstawie tego odkrycia Hercen stawia wniosek wielkiej wagi. Ów ustrój gminny, przechowujący kolektywizm w elementarnej komórce życia narodowego rosyjskiego – w gminie, jest to dobro nieocenionej wagi".

Czyli tak jak Zachód – wedle marksistów – miał dojść do socjalizmu poprzez rozwinięcie kapitalizmu, tak w Rosji utopia miała być osiągnięta inaczej – przez ożywienie wątków kolektywizmu na prowincji. Oczywiście w głowach elit rosyjskich rzadko kiedy pojawiała się refleksja, że ten wiejski ustrój nie był synonimem szczęśliwości i powodzenia ludności, lecz batem, knutem, synonimem biedy i społecznych ograniczeń. Historyk podsumowuje ten hercenowski zachwyt: „Odkrycie gminowładztwa i zbiorowej własności rolnej pozwala Hercenowi na gloryfikację barbarzyńskiej pierwotności Rosji. Rosja jedynie przechowała arkę przymierza między patriarchalną przeszłością a promienną przyszłością". Komunizm, zdaniem autora pracy, mógł się przyjąć w Rosji, bo tam już istniały formy tej komunistycznej rzeczywistości. Autor „Od białego caratu do czer-

eprasa.pl ea01a01b09

wonego" powołuje się na spostrzeżenia XIX-wiecznego publicysty, Bronisława Zalewskiego, który miał zauważyć, że: „program Bakunina [anarchista rosyjski – red.] odpowiada instynktowi mas w Rosji. Lud rosyjski nie ma rozwiniętych pojęć o własności, o prawie, nie ma jasnych pojęć o dobrym i złym, a z drugiej strony lud rosyjski, na dzisiejszym stopniu kultury, potrzebuje przestworu, łaknie wciąż ziemi. »Znamy osady w stepach między Wołgą a Uralem, gdzie innego szczepu człowiek skarżyłby się prędzej na brak ludności, a gdzie rosyjscy koloniści już znajdowali, że im za ciasno. Lud rosyjski posiada mnóstwo wyrazów, oznaczających to upodobanie w bezmiarze, w przestrzeni, i żadne plemię słowiańskie nie jest tak koczownicze jak wielkorosyjskie«".

Kucharzewski przypominał o strukturze rosyjskiej prowincji, w której nie było własności ziemi, a szczątkowe uwłaszczenie chłopów z 1861 roku było hybrydą posiadania, właściwie tworzyło coś na kształt prakołchozów. Własności nie mieli też posiadacze ziemscy, skoro jednym rozkazem cara mogli wszystko stracić, cały wielki kraj i jego wielomilionowa ludność byli nie tyle poddanymi, ile niewolnikami jednego człowieka – cara – który rządził, mając za podstawę ideę rosyjskiego samodzierżawia. Jeden, „sam" car, „dzierżył" cały kraj w rękach. W tym kontekście Lenin czy Stalin byli po prostu carami (czerwonymi) ze skuteczniejszym aparatem władzy i nowocześniejszą technologią, ale ich ideologiczne podstawy miały wiele wspólnego z polityką Rurykowiczów czy Romanowów.

Postrzeganie Rosji jako odmiennej cywilizacji w kontrze do Zachodu, który wyznaje inną koncepcję człowieka, było obecne nie od czasów Aleksandra Dugina i Władimira Putina, ale od głębokiego XIX stulecia, gdy rosyjska specyfika tak mocnym okazała się fundamentem dla późniejszego komunizmu. „Trudno było w ogóle walkę o zachowanie ustroju, opartego na prawie własności, podnieść do roli walki o kardynalną podstawę bytu społecznego, skoro teoria słowianofilska, od 1863 roku nadająca ton ideologii patriotyczno-zachowawczej, traktowała samą własność prywatną jako wyraz indywidualizmu, stanowiącego podstawę kultury łacińsko-germańskiej, i przeciwstawiała jej, jako rdzenną podstawę życia rosyjskiego, zasadę bytu zbiorowego (obszczynnost', sobornost'), znajdującą wyraz w gminnym władaniu ziemią i w przechowanym rzekomo w życiu sielskim Rosji prastarym gminowładztwie".

Zatem kolektywizm komunistyczny był jedynie bardziej totalną wersją komunizmu dawnej Rosji. Państwo Iwana Groźnego i Mikołaja I żywiło nastroje i myślenie, które tak zgrało się z ideologią Lenina i Stalina.

Komunizm jako postprawosławie

O tym, w jaki sposób ideologia Marksa stawała się – mimo oficjalnego ateizmu – religią samą w sobie, napisano już tomy prac. Kucharzewski jednak przygląda się prawosławiu rosyjskiemu z patriarchatem w Moskwie, by stwierdzić, że ten odłam chrześcijaństwa popierał wiele koncepcji, które później podchwycili bolszewicy. Moskwa w dawnej Rosji miała być stolicą prawdziwego chrześcijaństwa, później: światowego komunizmu. O nadziejach Słowianofili – intelektualistów wierzących w zdrową słowiańską tkankę społeczną narodu rosyjskiego, tak pisał Kucharzewski: „Polityka ta stała w związku ze starym, ani nigdy nie porzuconym planem opanowania Półwyspu Bałkańskiego, Konstantynopola i cieśnin i wytworzenia państwa wschodniego z Carogrodem rosyjskim, jako stolicą prawosławia i zjednoczonego pod berłem cara świata grecko-słowiańskiego".

Gdy czytamy o dyskusji słowianofili na temat czystości i wyłączności mądrości prawosławia, przed oczami stają nam gorące spory o prawdziwość doktryny komunistycznej w ZSRS. Rosjanie w XIX wieku krzyczeli, że Moskwa jest jedynym depozytariuszem prawdziwego chrześcijaństwa, wiek później robili to samo z marksizmem i komunizmem. Tak jak komunizm miał być czysty od zachodnich wpływów, tak i święta Cerkiew przecierała ten szlak podobnymi analogiami.

Postrzeganie Rosji jako odmiennej cywilizacji w kontrze do Zachodu, który wyznaje inną koncepcję człowieka, było obecne nie od czasów Aleksandra Dugina i Władimira Putina, ale od głębokiego XIX stulecia.

eprasa.pl ea01a01b09

„Wręcz odmienne jest oblicze świata wschodniego, grecko-słowiańskiego, prawosławnego. Prawosławie, jedyne z wyznań, przechowało w czystości wiarę Chrystusową; nauka jego ustalona po rozdziale Kościołów to prawdziwa filozofia chrześcijańska, oparta nie na rozumowaniu, lecz na świetle wyższym, moralno-religijnym. Naród rosyjski, przyjąwszy wiarę z tego czystego źródła, otrzymał wraz z nią podstawy wiedzy, nie skażonej jeszcze mędrkowaniem Zachodu, lecz oczyszczonej przez naukę Cerkwi wschodniej, natchnionej od Boga".

Generalnie słowianofilów Kucharzewski wyśmiewa jako zaślepionych kultem ludu (brzmi znajomo?), który to lud *de facto* nie był taki jak w ich pismach (jak to było z robotnikami w komunizmie). Gdyby za „prawosławie" podstawić w rozważaniach słowianofili „komunizm", ich teksty byłyby aktualne w ZSRS. „Głównym teologiem słowianofilstwa był Aleksy Chomiakow – opisuje ten nurt intelektualny autor pracy. – On i Iwan Kirejewski, który rozpisywał się również o roli prawosławia, nie tylko wierzyli w wyższość prawosławia nad katolicyzmem, lecz na serio utrzymywali, iż świat katolicki, pozbawiony światła prawdy wyższej, stoi w przededniu wyczerpania i zmuszony będzie szukać ratunku w przyjęciu prawosławia. Różnic pomiędzy oświatą zachodnią a rosyjską szukać należy nie w ilości zdobytych rezultatów, lecz w jakości; oświata zachodnia jest niższa co do samej swej istoty. Cywilizacja zachodnia już przeszła swe apogeum, analiza rozumowa zburzyła wszelkie fundamenty wierzeń, ludzie Zachodu czują, że życie ich pozbawione jest wewnętrznej treści, daje się odczuwać powszechne niezadowolenie". Co ciekawe ta charakterystyka słowianofilstwa do żywego przypomina prace... Lenina pt. „Państwo i rewolucja" oraz „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu". Tak jak poddani cara wierzyli, że skończył się katolicyzm i teraz pora, by na scenę historii weszła Rosja, tak poddani Stalina wierzyli, że skończył się kapitalizm i pora, by na scenę historii weszły Sowiety. Kucharzewski zmarł 70 lat temu, ale Rosja przez niego opisana jest taka sama jak w jego książkach. Dziś Kreml zapowiada upadek Zachodu, a armia Putina wkracza na Ukrainę ze swoimi zbrodniami, w imię „robienia porządków". Co ciekawe – współczesną agresję wspierają i postsowieccy ideolodzy, i Cerkiew prawosławna z patriarchatem w Moskwie. Oba nurty przenikają się i różni je przede wszystkim symbolika.

Kucharzewski podaje dziesiątki przykładów już nie tyle zaangażowania Cerkwi w rosyjskie okrucieństwa, ile w uświęcenia tychże. Gdy w latach 60. XIX wieku gubernatorem wileńskim został Michaił Murawiow, metropolita moskiewski Filaret błogosławił mu za okrucieństwa na Polakach. „Nominacja pańska oznacza już porażkę wrogów ojczyzny, imię pańskie oznacza zwycięstwo. Bóg mocy niech spełni przez pana dzieło prawdy i pokoju. Niech ześle ci patrona twego, Archanioła niebieskiego, niech kroczy on przed tobą z mieczem ognistym i niech przykrywa cię puklerzem niebieskim" – pisał hierarcha. Dzieło „prawdy i pokoju"? Niewiele musieli modyfikować leniniści i staliniści, by podobnie usprawiedliwiać totalitaryzm sowiecki.

UPOJENI GERMAŃSZCZYZNĄ WODZOWIE ROSYJSKIEJ FILOZOFII ZACZYNAJĄ NIĄ PRZESIĄKAĆ, KOPIOWAĆ JĄ I DODAWAĆ RODZIME WĄTKI – TO TAKŻE STĄD WYJDZIE HYBRYDOWOŚĆ I POTWORNOŚĆ ROSYJSKIEGO SYSTEMU.

Rosjanie – Sodoma i Gomora nowożytności

Kucharzewski jednak sformułował nie tylko „teorię kontynuacji". Jego siedmiotomowa praca zagląda w duszę rosyjską, by po kolei obnażać wszystkie mity, w które uwierzyła imperialna inteligencja. Dziś także Rosjanie, nie tylko spod znaku Dugina, uważają się za spadkobierców ludów stepowych, dzięki czemu, jak twierdzą, może nie zaznają dobrobytu, ale etos honorowy i wojowniczy oraz męstwo są im bliskie. Pomijając fakt, jak ów „etos" widzimy współcześnie podczas inwazji na Ukrainę, to Kucharzewski już sam demaskuje to przekonanie, pokazując, do jakiej kondycji człowieka rosyjskiego doprowadziło samodzierżawie, niewola, brak godności i indywidualizmu.

W elitach rosyjskich kwitły cudowne wizje o zbawianiu świata (jak później w komunizmie), a zwykli ludzie żyli w półdzikiej mentalności biedy i poniżenia. „Fatalnie odbił się odwieczny system rosyjski na charakterze narodowym. Ta łatwość przerzucania się z jednego stronnictwa do

eprasa.pl ea01a01b09

drugiego, wręcz przeciwnego, jest nieszczęściem dzisiejszej Rosji. Carowie moskiewscy do zbudowania podstaw swojego tronu zamiast zwykłej zaprawy nie szczędzili krwi i mózgów własnych poddanych. Stąd brak myśli samodzielnej, brak narodu moskiewskiego" – czytamy w pracy. Kucharzewski przytacza metaforę Tomasza Burzyńskiego, zesłańca syberyjskiego, który postrzega Rosję jako tragiczniejsze wydanie starotestamentowej Sodomy i Gomory. „Mógł był Bóg Sodomę i Gomorę ocalić dla jednego sprawiedliwego, ale garstka ludzi dobrej woli, choćby setki Rylejewych i Żelabowych [według Burzyńskiego – szlachetni Rosjanie], nie odkupią odczłowieczonego wiekami narodu".

Historyk, zdaje się, badanie Rosji traktuje jak obieranie kolejnych warstw myśli i mentalności narodowej. Najpierw analizuje oficjalną ideologię, potem buzujące życie intelektualne – od pozornie prokarskich słowianofili po nienawidzących ortodoksyjnej Rosji zapadników – by potem sprawdzać, jaka była rzeczywistość, jak bardzo optymizm i wiara inteligencji rosyjskiej myliły się co do społeczeństwa i kultury ich ojczyzny. Kucharzewski wskazuje też wszechobecną nienawiść w myśli politycznej, literaturze, kulturze, wiele stronic poświęca stosunkowi Rosji do Polaków, których Moskwa chce zgładzić, gdyż oni właśnie (my!) psują im wizje słowianofilskie, nie pozwalają snuć łagodnej baśni o braciach Słowianach szczęśliwych pod berłem cara czy pod podpisem genseka. Ale jest jednak jeden naród, wobec którego Rosjanie nie mają nienawiści, a który ich fascynuje, pociąga, inspiruje.

Są to Niemcy.

Rosyjska elita jadąc do Europy, zatrzymuje się w Niemczech, studiuje w Niemczech, tam obserwuje bunty, rewolucje z jednej strony i pruski zamordyzm w drugiej. Upojeni germańszczyzną wodzowie rosyjskiej filozofii zaczynają nią przesiąkać, kopiować ją i dodawać rodzime wątki – to także stąd wyjdzie hybrydowość i potworność rosyjskiego systemu.

„Niemiecka filozofia idealistyczna dała szkołę, język, styl nauce słowianofilskiej, dała uczoną formę, w którą słowianofile przyoblekali swą narodową megalomanię i imperializm państwowy". I w innym miejscu: „Wczesny nacjonalizm południowo-słowiański był szkołą nacjonalizmu moskiewskiego, tak jak później słowianofilstwo moskiewskie, przebierające się w kostium narodowy, było kopią teorii nacjonalistycznych niemieckich. Dążenie do udzielności polityczno-wyznaniowej kojarzy się w Moskwie z wielką łatwością wchłaniania i przyswajania sobie prądów obcych". Oczywiście, jak to w ówczesnej epoce, punktem odniesienia była także Francja, ale uczonych z Petersburga czy Moskwy mierziło to, dusiło jak zbyt sztywny kołnierz czy za ciasny gorset. Pisał zatem Wissarion Bielinski z kultem niemieckości i uwielbieniem dla Berlina: „Do diabła z Francuzami, wpływ ich nic nam nigdy nie przyniósł oprócz szkody. Naśladowaliśmy ich literaturę – i zabiliśmy własną. [...] Niemcy – oto Jeruzalem nowożytnej ludzkości".

Germanofilia nie ominęła i największych piór XIX-wiecznej literatury. Fiodor Dostojewski miał snuć wizję podziału Europy pomiędzy partnerskie – Niemcy i Rosję. „Idea Niemiec zjednoczonych jest rozległa, wspaniała i spoziera w głąb wieków. Co Niemcy mają do podziału z nami? Ich udział – cała ludzkość zachodnia. Przeznaczyły one dla siebie zachodni świat Europy, aby wszczepić weń własne swe pierwiastki, na miejsce rzymskich i romańskich, i stać się na przyszłość jego przywódcą, Rosji zaś pozostawiają Wschód. Dwom wielkim narodom sądzone jest przeto zmienić oblicze tego świata. To nie pomysły rozumu czy ambicji, sam świat tak się układa. Uznać należy, że przyjaźń Rosji z Niemcami jest nieobłudna, trwała i coraz bardziej wzmacniać się będzie, rozszerzając się i utrwalając stopniowo w świadomości ludowej obydwóch narodów... W każdym razie Rosja powinna chwytać chwilę. A czy trwać będzie pomyślna dla nas chwila europejska? Dopóki działają dzisiejsi wielcy przywódcy Niemiec, chwila ta jest dla nas najpewniej zabezpieczona".

Inny pisarz rosyjski, Iwan Turgieniew, wówczas bardziej poczytny niż Dostojewski, Niemcy uważał za swoją drugą ojczyznę.

Perspektywa Kucharzewskiego

Historyk był pierwszym badaczem Rosji, który zaczął ją opisywać nie z perspektywy propagandy Zachodu o mocnym partnerze ze Wschodu i nie poprzez pryzmat oficjalnej ideologii carów i historiozofów. Kucharzewski przeczytał ich opasłe tomiska, złapał się za głowę i postanowił wytknąć temu wizerunkowi fałsz. Rosję postrzegał nie jako część Europy i nie jako następców Tatarów, lecz jako niewolnicze społeczeństwo, którego ustrój i wierzenia mogłyby pasować do zwyczajów kanibali na jakiejś wyspie, a nie na terenie największego państwa świata. Autor „Od białego caratu do czerwonego" swojej pracy nie dokończył, rozległe jego myśli nie zdążyły wyjść na dobre z wieku XIX, ale oprócz późniejszych autorów (jak Richard Pipes) kolejne tomy jego pracy dopisała po prostu historia. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Caryca, czyli Wielki Teatr

Ewa Polak-Pałkiewicz



Niemcy i Rosja długo uchodziły w świadomości Europejczyków, także poniekąd Polaków wyedukowanych w PRL, za potęgi sobie przeciwstawne, niemające ze sobą nic wspólnego. Co może łączyć pragmatycznych, przesadnie racjonalnych Niemców, szlifujących do perfekcji swoje dobra cywilizacyjne osiągnięte wytrwałą pracą, ludzi ambitnych i dokładnych, z półazjatyckim żywiołem, wieczną rozpaczliwą melancholią, bezdusznym trwonieniem „zasobów" ludzkich i naturalnych na przemysł związany z wojną – bo wojna i tylko wojna, agresywny podbój ma w Rosji realne znaczenie?

Takie daty, jak 17 września 1939 roku i ich bliskość z 1 września nic tak naprawdę współczesnym Europejczykom przez długie lata nie mówiły. Nie ujawniały żadnej wspólnoty celów obydwu agresorów. Tym bardziej – zbliżonej mentalności, podobnego pojmowania dążeń obu społeczeństw oddzielonych od siebie przez terytorium Polski, dążeń, które uzasadnia analogia obu ich tradycji, które określa się też mianem cywilizacji.

Tak dziwna w oczach świata – a dla Polaków oczywista – zbieżność miała swoje historyczne kulminacje, zatarte z reguły w oficjalnym przekazie, zbyt długo niepełnym, cenzurowanym, także przez postkomunistyczną poprawność polityczną narodzoną w Rosji.

Ekstrakt przebiegłości

Adam Mickiewicz, którego wiedza historyczna zdobyta na Uniwersytecie Wileńskim, poparta osobistymi studiami nad Rosją podczas zesłania i emigracji, była rzetelna i głęboka, przypomina (w wykładach paryskich) jeden z kluczowych momentów tych związków, podkreślając, że pierwszym władcą rosyjskim, który świadomie chciał powiązać swoje państwo z nazwiskami rodów niemieckich, był Piotr Wielki (1672–1725). Znana jest jego inwencja przy sprowadzaniu do Rosji inżynierów, budowniczych, lekarzy z Anglii, Niemiec i Holandii, nie przywiązuje się z reguły większego znaczenia do faktu, że car ten postanowił ożenić syna z księżniczką niemiecką, a córki powydawać za niemieckich książąt. A jednak następstwa tego kroku były dla polityki rosyjskiej, jak mówi poeta, „nieobliczalne".

„Drobni książęta niemieccy po większej części znajdowali się wówczas w położeniu krytycznym i politycznie anormalnym. Jako panujący nie mieli już w oczach swojego ludu namaszczenia religijnego; wyrzekli się go byli po reformacji. Niegdyś byli poważani i czczeni jako dostojnicy Świętego Cesarstwa rzymsko-apostolskiego. Rozbiwszy to cesarstwo, wyparłszy się swojego zwierzchnika i wzgardziwszy tytułami dostojników cesarstwa, nie mieli już żadnego celu istnienia, nie było w nich żadnego pierwiastka życia, niczego w oczach poddanych nie wyobrażali, żyli na łasce obcych monarchów. Nawet gdy szło o dopełnienie najwyższej prerogatywy: wyboru cesarza, nie pytano już ich o zdanie [...]; o wszystkim rozstrzygały intrygi cudzoziemskie oraz wpływy królów francuskich i arcyksiążąt austriackich. Książęta ci zatem, skoro zostali powołani do Rosji, ujrzeli w niej źródło nowego dla siebie życia politycznego". Mickiewicz wskazuje nie tyle na interesowność owych książąt niemieckich, czy konkretną rachubę polityczną, ile silny pierwotny instynkt „odczuwany z natury rzeczy przez wszystkich panujących". Istnieć dla nich, to coś znaczyć w polityce. Tym bardziej więc budziły się silne pragnienia powrotu do utraconej bezpowrotnie we własnym kraju pozycji, skoro „książęta niemieccy, dostając się do Rosji, spokrewniali się z potężną dynastią, mogli wyjść na generałów, gubernatorów, a jako tacy sprawowali władzę większą od tej, jaką posiadali w Niemczech. [...] Wypierają się oni swojej religii, zapominają języka, obyczajów, wyrzekają się rodzin, aby obrócić się w Rosjan". Nie zniechęca ich fakt, że nie jeden z nich znajduje tu upokorzenia, nędzę, więzienia albo śmierć, na skutek brutalnych jak nigdzie na świecie walk o władzę. Niezliczony rój cudzoziemców wypełniać zaczyna szczelnie dwór w Petersburgu i wyższe szarże wojska już na przełomie XVII i XVIII wieku. A jest to zarazem w tym kraju czas, gdy według celnego podsumowania Feliksa Koneczngo, „Kalejdoskop następców tronu nabiera tak niesamowitej dziwaczności, iż przewyższa najciemniejsze epizody dworu cesarstwa bizantyjskiego. [...] W bizantyjskiej historii nie ma takiego epizodu jak »panowanie« Iwana VI, który niemowlęciem dostał się do więzienia i nigdy już z niego nie wyszedł... Poprzez krętactwa niemieckiego prawa dynastycznego wstępują na tron rosyjski rodziny Braunschweig-Bevern, Holstein-Golltrop, Anhalt-Zerbst".

Jedną z tych osób przywróconych do istnienia z niebytu politycznego była przyszła caryca Katarzyna II (1729–1796). Pojawia się ona na scenie w szczególnym momencie, gdy, jak podkreśla Mickiewicz, inspiracją dla Rosjan, i dla innych narodów słowiańskich, stają się już nie historyczne przykłady, lecz idee społeczne XVIII wieku.

Księżniczka Zofia Augusta Anhalt-Zerbst, przyszła Katarzyna II, była urodzoną w Szczecinie Niemką, w której żyłach płynęła także krew serbska. Tej córce pruskiego komendanta garnizonu Mickiewicz przypisuje „bystrość i lotność umysłu wyróżniającą Słowian północnych", a zarazem „chłodną duszę mongolską; wytrwała w przedsięwzięciach, a nieubłagana w ich wykonaniu, miała naturę wybitnie mongolską". Mickiewicz nie uważa za szczególnie zaskakujący fakt, iż Stanisław August Poniatowski, polski król, stał się ofiarą przebiegłości Katarzyny, gdyż była ona, rzec by można, ekstraktem przebiegłości, „w młodości jeszcze okazała się starszą od swoich posiwiałych ministrów, dojrzalszą niż wiek XVIII". Potwierdza to lektura listów pisanych po francusku przez trzydziestoletnią carycę, a ujawniających „ową misterność, ową utajoną złośliwość żywego i przenikliwego dowcipu", bliskiego te-

fot. Wikipedia

eprasa.pl ea01a01b09

mu, czym odznaczał się Wolter w swej późnej starości (jej oddany przyjaciel).

Czas „filozofów na tronie"

Cała Europa ogarnięta była wówczas jedynym w swoim rodzaju poruszeniem umysłów zwanym oświeceniem. Oprócz istotnego rozwoju nauki, sztuki, licznie podejmowanych reform ustroju państw, przyniosło ono odrzucenie chrześcijańskich norm w życiu politycznym, przy wielkich pretensjach do dokonania wiekopomnego przewrotu w cywilizacji. Dała się odczuć typowa arogancja ludzi negujących zasadę traktowania władzy jako wypełnianie powołania i służby. Finalnie pragnienie przewrotu zaowocowało Wielką Rewolucją Francuską. „Zajmowanie stanowiska areligijnego z dopuszczeniem co najwyżej deizmu, nazywano szumnie »filozoficznym«" – podkreśla Feliks Koneczny. Francja stała się centrum tego ruchu, stamtąd szerzył on się na „cały cywilizowany świat". Przedstawić historię „filozoficznie", tj. według wskazówek Woltera, oznaczało opracować ją schematycznie i sucho, ale zarazem starannie pomijać wszystkie źródła kościelne, uważając je za fałszywe i zakłamane.

Tylko dzięki wyjątkowemu pomieszaniu pojęć mógł zapanować w głowach francuskich (a wkrótce w innych krajach Zachodu) typowo „oświeceniowy" koncept, by dążyć do „stanu natury", odrzucając intelekt. „Lada nonsens, byle ujęty w formy literackie i dający pole wyobraźni, staje się hasłem i dopomaga marnować energię społeczeństwa. [...] Około roku 1770 cywilizacja łacińska była już we Francji podkopaną. Rousseau jest dokumentem tego bankructwa duchowego: rzuca wszystko i dlatego zwraca się do natury!", ironicznie kwituje Koneczny. Indyferentyzm religijny staje się „religią" oświeconych elit europejskich. „Wszystko to roiło się od frazesów za wolnością, a jednocześnie wielbiło się »filozofów na tronie«, których było trzech: Fryderyk Wielki, Józef II i Katarzyna II" – wymienia Koneczny władców absolutnych (Fryderyk II sam siebie nazywał „Filozofem z Sanssouci").

Ta niebywała pycha wieku rozlewająca się szeroko na środowiska elit pozwala zrozumieć, dlaczego rozbiory Polski nie poruszyły opinii publicznej w Europie. Tylko nieliczni historycy tego czasu pojmują całą grozę i przełomowość wydarzenia dla dziejów kontynentu. O moralności w polityce wysłowił się najdosadniej ów najbardziej „filozoficzny" król, Fryderyk II pruski. „Kiedy mu zwracano uwagę, że Hohenzollernowie nie mają praw do Śląska, odparł: »Najpierw Śląsk zdobędziemy, a potem znajdą się uczeni, którzy czarno na białym udowodnią, że mamy prawa do Śląska«" (F. Koneczny).

Bizantynizm, czyli „państwowość doskonała"

W „filozofii oświecenia" dawało się odczuć coraz wyraźniej ducha bizantynizmu, umysłowej trucizny Europy, zaznacza historyk. Statolatria bizantyjsko-niemiecka, ideologia traktująca państwo w kategoriach absolutu i udzielająca mu prawa do wszystkich możliwych nadużyć wobec społeczeństwa, opanowuje nawet umysły katolików. Emmanuel Kant, podczas sławetnych „reform" austriackiego cesarza Józefa II, katolika, miał powiedzieć: „...można historię rodu ludzkiego uważać na ogół za spełnienie ukrytego planu natury, żeby doprowadzić do państwowości doskonałej".

Literackie i artystyczne mody oświecenia uderzały do głowy władców wcześniej i silniej niż do zwykłych ludzi. Na swoich tronach czuli się oni niczym na wielkiej scenie, powołani do odgrywania jakichś niesłychanych olśniewających ról, które powalić miały ich widzów na kolana. Fryderyk II, król pruski – uwielbiany przez Piotra III za jego talenty i sukcesy militarne – uważał się nie tylko za filozofa, lecz także za artystę, komponował, grał na flecie, koncertował, pisał poematy, traktaty, pamiętniki (on jeden spośród pozostałych monarchów gardził teatrem i przedkładał nad teatr salę koncertową oraz dysputy literacko-filozoficzne). Piotr I osobiście, w przebraniu zakradał się na polskie sejmiki szlacheckie, by badać nastroje wśród szlachty i agitować na rzecz rosyjskiej protekcji.

Prawdziwym problemem tych monarchów stawała się naiwna wiara w wymysły „filozofów" i coraz większa trudność w odróżnieniu rzeczywistości od jej wyobrażenia, idei czy po prostu od zwykłej makiety teatralnej – a w salach pałacowych teatrów spędzali także niemałą część swego monarszego życia.

„Życie Katarzyny – jak w przypadku wszystkich osiemnastowiecznych władców – było teatrem" – podkreśla historyk Tomasz Targański. „Monarchini przybierała rozmaite kostiumy: Semiramidy Północy lub Siostry Apollina. Tożsamość najbardziej oświeconej władczyni Europy była jednak czymś więcej niż przygodnym kostiumem, wykorzystywanym w korespondencji z zachodnimi filozofami. Stanowiła ona sedno polityki budowy rosyjskiego imperium".

Ambicją Katarzyny, zaraz po zamachu stanu, w którym życie stracił jej małżonek Piotr III (1762 rok), stało się, by jej państwo nie ustępowało „europejskością" innym mocarstwom. W myśl przyjętych założeń – zauważa ten autor – zgodnie z „duchem

eprasa.pl ea01a01b09

epoki" należało „rozszerzać »światła cywilizacji« na inne, nie dość iluminowane kraje". Stąd jej upominanie się o prawa dla innowierców w Rzeczpospolitej (pretekst do I rozbioru) czy wystąpienie przeciw „orientalnemu barbarzyństwu" Turcji. Profesor Krasnodębski, opisując dziś strategię Unii Europejskiej, której odzwierciedleniem jest podwójna gra wobec Polski, czy Dawid Wildstein ukazujący podobieństwa między „homo putinus" i „homo tuskus", demaskują taką samą pozorowaną „europejskość" obecną w postawach urzędników unijnych czy zwolenników opozycji w Polsce. Jest ona faktyczną ideologią – przenikniętą ukrytą tradycją bizantyjską – wymierzoną w kraje, które mają wciąż ambicje być niezależnymi bytami politycznymi w Europie, przede wszystkim w Rzeczpospolitą. Rozbiory Polski były zatem nieuniknioną koniecznością – gdyby traktować na serio tę ideologię – a imperium Katarzyny II za ich sprawą przesuwało się wyraźnie ku Europie. Poszerzanie imperialnej potęgi państwa jest imperatywem w bizantynizmie. Wschód i Zachód były zgodnie ukontentowane.

Czarodziejska podróż

Czy można się dziwić, że w takiej atmosferze jak grzyby po deszczu wyrastają przy drodze wiodącej na Krym wioski potiomkinowskie? Właśnie przy tej drodze, którą przemieszczała się caryca podczas swej wielkiej wyprawy, by obejrzeć przyłączone niedawno do imperium terytoria.

Konstrukcja sporządzona z tektury, pomalowana i ozdobiona, z daleka wyglądała jak prawdziwa. Jak prawdziwa wioska! Wesoła, beztroska i kwitnąca. Zwłaszcza gdy oglądało się ją z pewnego oddalenia. Z pokładu statku, który sunął niespiesznie w dół Dniepru. Siedziała na nim wiosną 1778 roku Katarzyna, wraz ze swym przepysznym dworem i starannie dobranym gronem przyjaciół. Odbywała właśnie słynną „wielką inspekcję", podróż na świeżo zagarnięty przez Rosję Krym. Siedziała i patrzyła. Świeży wietrzyk owiewał z lekka jej skronie. Jej serce się radowało, że rozwój „terytoriów przyłączonych" następuje tak szybko. Grigorij Potiomkin, książę, generał i niedawny faworyt Katarzyny, a obecnie oddany przyjaciel (w swoim czasie niepozbawiony ambicji, by być królem Polski) miał w końcu wszelkie środki, by widok ten – z daleka! – cieszył oko i łechtał rozbrykane imperialne ambicje. Przekonywał, że wszystko w zagarniętym kraju idzie jak należy. Mawiano, że ten zręczny kuglarz „przemienił w rzeczywistość i przełożył na powieść przygodową" jedno z największych marzeń Katarzyny. Zdobycie Krymu dawało wyjście Rosji na Morze Czarne, mogło być wstępem do przepędzenia Turków z Konstantynopola. Kto wie, czy potężne Cesarstwo Bizantyjskie pod berłem Rosji nie mogłoby znowu stać się ciałem.

Jeden z najbogatszych ludzi w Rosji – dzięki pozycji przy boku Carycy – i wielbiciel teatru, ustawił na brzegu Dniepru kilka takich przenośnych konstrukcji. Gdy statek imperatorowej pojawił się na horyzoncie, milczący dotąd aktorzy – ludzie udający wieśniaków – zdzierali gardła w okrzykach na cześć władczyni. Cudzoziemcy we frakach, wśród nich najbliżsi jej przyjaciele, ambasador Francji Louis-Philippe de Ségur i dyplomata austriacki, belgijski książę, a zarazem słynny pamiętnikarz Charles-Joseph de Ligne, nie bez lekkiej zazdrości spoglądali na te spontaniczne wybuchy radości ludzi w rubaszkach i czerwonych butach. Ach! Cóż za szczęśliwy kraj, mówili półgłosem, co za uroczy lud! I trudno się dziwić, że każdy chciałby wsiąść do tej ponętnej galery, kołyszącej się cicho na falach wielkiej rzeki. Udekorowanej kwiatami i zielenią, tak samo jak mijane wsie. Wsie-widma.

„Nadzwyczajny orszak wodny składał się z siedmiu ogromnych galer, prawdziwych pływających rezydencji wykończonych z niespotykanym przepychem, za nimi zaś podążało około osiemdziesięciu małych statków z trzema tysiącami załogi. Pierwszą galerę zajmowali więc Katarzyna, jej faworyt i dama do towarzystwa; drugą książę Potiomkin [...], jeszcze inną austriacki i angielski ambasador" – wylicza Benedetta Craveri, autorka wydanej we Włoszech książki o tej pompatycznej eskapadzie. De Linge zostawił w swoich dziewięciu listach szczegółowy opis tej „niewiarygodnej wyprawy", obfitującej w wyszukane rozrywki i spektakle; podobnie Ségur – w wydanych po czterdziestu latach pamiętnikach. „W trakcie rozmowy poruszano najrozmaitsze tematy i każdy, poczynając od carycy, wnosił swój wkład w postaci anegdot, opowieści; bawiono się niczym na paryskich salonach, w zagadki, szarady, układanie wierszy. Ségur miał okazję popisywać się zdolnością improwizowanego rymowania i odnosił wielkie sukcesy". Wszyscy troje: caryca, Ségur i de Ligne pisywali też komedie; Katarzyna napisała ich pięć i zadbała, by dzieła jej i jej przyjaciół wystawiono w petersburskim teatrze.

Pisząc do zaprzyjaźnionej arystokratki, Madame de Coigny, damy cieszącej się uznaniem w paryskim towarzystwie z uwagi na jej żywy umysł i wszechstronne zainteresowania, de Ligne zamierzał dotrzeć do jak najpełniejszego kręgu czytelników. Tak naprawdę wysyłał w ten sposób do Paryża alarmujące depesze, przewidywał bowiem najgorsze. „Jego listy czytane na głos, komentowane

eprasa.pl ea01a01b09

i przepisywane miały krążyć z rąk do rąk [...]. Z głębi Rosji książę przypominał [...] światowemu towarzystwu o swojej błyskotliwości i, posługując się paradoksem i żartem, zachęcał je, by uświadomiło sobie bezgraniczną władzę Katarzyny". Dla obydwu dyplomatów nie było tajemnicą, że podróż była aktem politycznej propagandy, jednym z jej głównych celów było zaprowadzenie nowego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej. De Ligne wobec carycy prezentował przyjacielską, żartobliwą grę – a ona sama zaproponowała nawet obydwu dyplomatom przejście na „ty" – nie miał jednak cienia wątpliwości, że plan Katarzyny to ukazanie, niczym w wielkim teatrze, całej potęgi Rosji; „jaka inna monarchia mogłaby sobie pozwolić na podobną rozrywkę?".

Chodziło o to, by największym monarchiom europejskim objawić cywilizacyjną potęgę Rosji, a Turcję zastraszyć widokiem rosyjskiej siły wojskowej. Podróż na Krym miała być triumfalnym, demonstracyjnym peanem na cześć władzy absolutnej imperatorowej.

Wielki apetyt księcia Potiomkina

O Potiomkinie głośno było w Europie pod koniec XVIII wieku. Zaskakiwał pomysłowością, był żywiołowy, twórczy, tryskał energią. Nazywano go „wielkim wezyrem" albo nawet „carem pod każdym względem, z wyjątkiem nazwy". Gdy stał się już dla cesarzowej nieco nudny, był wciąż potężny i wpływowy i nie zamierzał schodzić ze sceny jak byle bankrut. Doradzał, troszczył się, roztaczał opiekę, inspirował. Wyprzedzał każdą myśl, odgadywał każde marzenie. Jego zadaniem miało być teraz dbanie o jej dobry nastrój. O doznania artystyczne i intelektualne, rozrywki, utajone pragnienia. Gdy Krym był już rosyjski, trzeba było postarać się, by pięć lat później wszystko na drodze wiodącej z Sankt Petersburga na półwysep, a zwłaszcza na terenach nadczarnomorskich, wydartych niedawno z rąk Turków, lśniło, kwitło i śpiewało. Folklor zawsze robi korzystne wrażenie na władcach w tej części świata.

Postojów, według kronikarzy – do których należał także Georg von Helbig, radca w petersburskim poselstwie księcia Saksonii, autor pierwszej wydanej na Zachodzie biografii Potiomkina, którą znał i popularyzował Adam Mickiewicz – było siedemdziesiąt sześć. Miejscowości, które odwiedzano po drodze, doprowadzone zostały do stanu wręcz idealnego. Naprawiono drogi i płoty, świeżo bielono domy. Cieszyły oko w pełni rozkwitłe kwiaty przytargane w wiadrach prosto z pałacowych oranżerii i wsadzone do ziemi. Na gałęziach i parkanach porozwieszano dzwonki.

Chodziło właśnie o ten rozmach, gest. Grigorij Potiomkin, książę Taurydzki (Krym nazywany był w Rosji, tak jak w starożytności, Taurydą), szczęśliwy posiadacz ogromnych dóbr na Kijowszczyźnie i Bracławszczyźnie, zwolennik dalszych rozbiorów Polski, czynnie działający na rzecz drugiego rozbioru, miał zawsze ogromny apetyt. Znawca wspomnień von Helbiga, Adam Mickiewicz, przytaczał podczas prelekcji paryskich wydatki Potiomkina: pięć, sześć milionów rocznie na kuchnię, ciasta sprowadzane specjalną pocztą z Paryża. Pałace, gdzie wydawano słynne przyjęcia na cześć carycy, stawiane przez Potiomkina na stepach ukraińskich na jeden nocleg.

Rzekomy mit

Dziś niektórzy pisarze historyczni zarzucają von Helbigowi, że stworzył „oszczerczy mit" Potiomkina, ale zarówno de Ligne, jak i Ségur zaświadczają w swoich pismach, że „wioski" te istniały. „W miarę jak rzeczny orszak dociera do regionów – kilka lat wcześniej jeszcze niezamieszkanych – którymi rządzi Potiomkin, podróżni widzą na brzegach rzeki »miasta, wsie, wiejskie domy, a czasami chłopskie chaty, tak ustrojone i ukryte za łukami triumfalnymi, wieńcami z kwiatów i eleganckimi architektonicznymi ozdobami, że iluzja była całkowita i przemieniała je na naszych oczach w cudowne siedziby, wzniesione nagle pałace, w ogrody stworzone za sprawą czarów«. Kozacka kawaleria i doborowe eskadry wojskowe ożywiały swoimi manewrami jeszcze puste połacie. Reżyserem tego bajkowego spektaklu był oczywiście Potiomkin... [...] flotylla zatrzymywała się tylko naprzeciwko miast i wsi malowniczo położonych. Liczne trzody pasły się na łąkach; grupy wieśniaków stały na piaszczystych brzegach; otaczały nas bez przerwy niezliczone łodzie, na których chłopcy i dziewczęta śpiewali ludowe pieśni ze swoich stron, nic nie działo się przypadkowo" (Benedetta Craveri).

Potiomkin wiedział dobrze, że aby zadowolić imperatorową, trzeba uczynić lud szczęśliwym. Gubernator „Nowej Rosji", syn niewysokiego rangą oficera z okolic Smoleńska, sam był przecież kiedyś „ludem". Na trasie wiodącej na Krym kwitł więc w miasteczkach handel, na drogach turkotały raźno wozy pełne zboża. Nikt nie kradł, nikt się nie zataczał, nie złorzeczył, nie przeklinał, dobrobyt zaglądał ludziom w oczy. Sto pięćdziesiąt lat później, w 2014 roku, jechały tymi drogami „konwoje sanitarne". Drogi trzeszczały i uginały się pod ciężarem „bandaży" i „plastikowych strzykawek". Tak to zawsze wygląda w tamtej cywilizacji.

eprasa.pl ea01a01b09

Bizancjum bis

Dlaczego Zachód bywa dziś tak zupełnie nie do strawienia, jak i Wschód? To porównanie wzbudza w Polsce żywiołowy sprzeciw i krytykę. Ale przecież gołym okiem widać, że Zachód bywa niebezpieczny. Tym, co o tym decyduje, są wychodzące dziś na jaw cechy i właściwości bizantynizmu ujawniające się w Unii Europejskiej, która stała się dla wielu ludzi w naszym kraju synonimem Zachodu.

Choć państwo bizantyjskie upadło, jego cywilizacja przetrwała – blisko nas. Odcisnęła silne piętno na państwowości germańskiej; rozpropagowała ją tu bizantyjska księżniczka, cesarzowa Teofano (956 –991), żona Ottona II. Walki cesarzy niemieckich z papiestwem były jednym z najjaskrawszych jej skutków. Zakon krzyżacki i Prusy kultywujące kulturę niemiecko-bizantyjską to późniejsze wcielenia cywilizacji bizantyjskiej – twierdzi tak nie tylko Feliks Koneczny. Dzisiejsze Niemcy, które chcą być hegemonem Europy i podporządkowały sobie Brukselę, są jej spadkobiercami i coraz częściej przywiązanie do niej manifestują.

Państwo w cywilizacji bizantyńskiej tworzy potężną biurokrację i ustanawia szczegółowe prawo regulujące wszystkie dziedziny życia. Zmorą jego mieszkańców są drakońskie podatki (w czasach Bizancjum wywoływały one nawet masowe ucieczki na pustynię – w Egipcie – i wyludnianie się całych prowincji). Jego obsesją jest dążenie do totalnej uniformizacji życia społecznego i nieustanne zwiększanie potęgi państwa. Choć religią oficjalną jest chrześcijaństwo, polityka jest tu zawsze niezależna od moralności; dla moralności jest miejsce tylko w życiu prywatnym – i to z wieloma wyjątkami, zwłaszcza dla władców. Zwierzchność nad władzą duchowną ma władza polityczna. Władcy bizantyjscy nie tylko osobiście wyznaczali biskupów – Kościół w Bizancjum się temu nie sprzeciwiał – lecz rozstrzygali także spory dogmatyczne.

Tak naprawdę państwo jest tu Bogiem, a zwłaszcza superpaństwo – oto bizantynizm. Oto dzisiejsza Unia Europejska, z którą nie sposób się spadkobiercom cywilizacji łacińskiej dogadać. Po prostu mówimy różnymi językami. I o czymś innym.

Walkę toczymy dziś nie tyle z Unią Europejską, z Niemcami aspirującymi do bycia hegemonem Europy, ile z cechami i właściwościami Bizancjum (bizantynizmu). Bardzo odrębnej, całkowicie różnej, odległej od chrześcijaństwa kultury, mentalności, psychiki, nawet cywilizacji, ukształtowanej na przełomie starożytności i średniowiecza. To coś głębszego, bardziej podstawowego niż tylko specyfika pewnego systemu – nazywanego niekiedy, niezbyt jasno, projektem solidarności europejskiej. To ukształtowany przez ostatnie tysiąc lat – od kiedy zaczęły się starcia niemieckiego państwa z Rzymem – sposób sprawowania władzy, wytyczania celów i ich osiągania. Także stosunek do sąsiadów, do partnerów politycznych, do zawieranych umów i układów – zgoła odmienny niż nasz, kraju katolickiego. W ogromnej mierze ukształtowany przez cichą, nienagłaśnianą kontrę wobec cywilizacji łacińskiej, w której obowiązuje prymat moralności chrześcijańskiej. Na zewnątrz wszystko wygląda gładko: zachowujemy pozory, jesteśmy chrześcijanami, chodzimy do kościoła, ale wewnątrz, w środku jesteśmy tak naprawdę „ludźmi tego świata" i bliżej nam do pogan. Wiara do niczego nas nie zobowiązuje. Gdy pojawia się perspektywa podporządkowania sobie części świata, oszustwa, podwójna gra, przywdziewanie masek – są jak najbardziej pożądane, wręcz niezbędne. (Opisuje to znakomicie prof. Krasnodębski, przekładając na dzisiejsze realia Unii Europejskiej). Mamy inne priorytety: posiąść i możliwie poszerzyć zakres naszych wpływów, *de facto* kolonii, utrzymać maksymalną władzę. Bycie hegemonem w Europie to nasze prawo. I żaden środek prowadzący do tego celu nie okazuje się niegodziwy.

Brak wiary w praktyczną skuteczność katolickich zasad jest jedną z głównych cech współczesnego życia, także życia ludzi Zachodu. „Twierdzimy, że w nie wierzymy, jednak postępujemy wbrew nim" (kard. Billot). Oto bizantynizm, wróg wewnętrzny dzisiejszego Zachodu.

Dlatego to właśnie Polska, wciąż wierna swoim korzeniom, tradycjom i źródłu państwowości, jakim był chrzest Mieszka I, napastowana tak brutalnie przez ostatnie stulecia przez Wschód, ale i Zachód – który wbrew swoim łacińskim źródłom dotąd nie uporał się z barbarzyństwem – udowadnia dziś, że jest prawdziwym Zachodem. To jest jednak przestarzałe i prowincjonalne, to nie ma racji bytu w dzisiejszym wesołym świecie gier, zabaw i natychmiastowego zaspokojenia wszystkich pragnień. I dlatego nasi dwaj sąsiedzi, z lewej i z prawej, tak bardzo dziś starają się, każdy po swojemu, by ziemia, która ich wciąż oddziela od siebie, a którą pragną znowu posiąść – na której ustawią sztuczne płoty z doklejonymi doń kolorowymi papierkami – z daleka wyglądała jak prawdziwa... Jak prawdziwa Polska. ■

_____

Źródła: Georg von Helbig „Potemkin, der Taurier. Anecdoten zur Geschichte seines Lebens und seiner Zeit", Minerva 1797-1799 Hamburg; Adam Mickiewicz „Literatura słowiańska", Wykłady w Collége de France, Warszawa 1933; Benedetta Craveri „Podróż na Krym", „Zeszyty Literackie" 2017 nr 1/137 tłum. Joanna Ugniewska.

eprasa.pl ea01a01b09



Małgorzata Matuszak

Performatorzy tożsamości

Poznanie siebie i przekraczanie siebie – te dwie siły winny współ motywować istotę ludzką do stania się najlepszą wersją samego siebie i zarazem stania się kimś więcej, niż jest. Nie można wyjść poza ramy samego siebie bez uprzedniego poznania, kim się jest. Ku czemu jednak warto przekraczać swoją ograniczoność? Odpowiedź na to pytanie wydaje się prosta – ku temu, co transcendentne.

eprasa.pl ea01a01b09

U podłoża filozofii europejskiej stoi założenie o możliwościach poznania siebie samego. Wyraża to napis na portyku świątyni delfickiej: „Gnothi seauton" (gr.), czyli „Poznaj samego siebie". Również działalność greckiego filozofia, który zainicjował humanistyczny model filozofii – Sokratesa, postulowała najlepsze poznanie własnej duszy. Z drugiej strony w człowieku od zawsze tkwi pragnienie przekraczania siebie. Człowiek nie chce czuć się ograniczony do jednej postaci, która została mu z góry dana, lecz pragnie przekroczyć swoją ograniczoną ludzką kondycję.

Tożsamość i transgresja tożsamości

Problem w tym, że współczesny świat, świat cywilizacji konsumpcyjnej, stał się zasadniczo światem bez transcendencji, Nietzscheańskim „światem bez kulis", w którym „Bóg umarł". Współczesne koncepcje poznawania siebie również odbiegają od tych, które obowiązywały wcześniej.

Proces poznania siebie można uznać za możliwy do osiągnięcia, a tożsamość ludzką za coś trwałego i niezmiennego, można również, jak to się stało w filozofii, uznać, że proces poznania siebie i własna tożsamość są zadaniami, które nie mogą zostać zakończone. Nigdy nie możemy stąd uznać, że poznaliśmy siebie w pełni, gdyż jakaś część nas zawsze poznanie ukryta. Nie tylko pod względem epistemologicznym proces samoświadomości może być skończony albo nieskończony, lecz także – ujmując kwestię tożsamości na gruncie ontologicznym – możemy twierdzić, że tożsamość i natura ludzka jest dana albo że jest ona przedmiotem kreacji samego człowieka. Już w XIX wieku chrześcijański filozof duński Soren Kierkeegard przyjął założenie, że świadomość siebie jest nieustannym procesem i egzystencja ludzka nie jest dana raz na zawsze, ale podlega nieustannej kreacji, a głównym pytaniem człowieka jest kwestia: „kim jestem?". Tę ideę człowieka jako projektu raczej, a nie bytu stworzonego raz na zawsze, podjęli egzystencjaliści w XX wieku. Francuski filozof Jean-Paul Sartre stwierdził, że ludzka egzystencja jest w swojej istocie wolnością, a niemiecki filozof Martin Heidegger uznał, że pytanie o ludzkie bycie pozostaje otwarte, a sama tożsamość człowieka podlega nieustannemu stawaniu się. Byt ludzki stając się, nie ma swojej danej mu z góry istoty, lecz „istoczy się", staje się raz po raz jawnym w tym, czym jest, choć nigdy nie jest wiadome w pełni, czym jest.

Te koncepcje filozoficzne stały się przyczynkiem do szerszych eksperymentów z ludzką tożsamością w XX i XXI wieku. Współczesne możliwości technologiczne i biotechnologiczne sprawiają, że można zmieniać cielesną tożsamość i przesuwać granice tego, kim się jest, ku odmiennym bytom i kształtom, takim, którymi nie obdarzyła nas natura. Takie eksperymenty mogą szokować, ale zawsze są one również rodzajem pytania o trwałość i stabilność naszej tożsamości. Artyści oraz performerzy, tacy jak Dennis Avner („Człowiek-Kot") czy Erik Sprague („Człowiek-Jaszczurka"), podważają naszą wiarę w ludzką i daną raz na zawsze tożsamość. Ich utożsamianie się ze zwierzęciem, jak i projektowanie swojego ciała tak, aby upodobnić je do wyglądu zwierzęcego, uważamy za niezrozumiałe. Działania te zasadzają się jednak na transgresywnej koncepcji tożsamości, która mówi, że zadaniem każdej istoty jest przezwyciężanie wrodzonych jej ograniczeń natury oraz społecznych wzorców tożsamości. W tym ujęciu tożsamość jest jedynie dowolną kreacją i nie musi oznaczać uwięzienia w jednej formie bytowej. Mogę być wszystkim zależnie od tego, czym się stworzę – takie mogłoby być hasło manifestu, pod szyldem którego mają miejsce współczesne modyfikacje ludzkiej cielesności. Tożsamość tworzy się przez działanie i nie jest ona dana z natury – taki jest sens rozumienia istoty tożsamości performatywnej.

Zgubne przekraczanie granic

Dla większości osób przygoda „zmiany w zwierzę" zaczęła się niewinnie. Najpierw jeden tatuaż, potem drugi, dodatkowo jakiś kolczyk, a później wszystko wymyka się spod kontroli. Oczywiście ci ludzie twierdzą, że nigdy kontroli nie stracili i że wszystko działo się zgodnie z planem, ich przemiana jest zaś wyrazem poszukiwań własnej tożsamości, poszukiwań coraz bardziej ekstremalnych i odważnych.

Amerykanin Dennis Avner, czyli Człowiek-Kot, czy też „Stalking Cat" („Tropiący Kot"), jak wolał siebie nazywać, przekształcenie swego ciała w swoje ulubione zwierzę, tygrysa, zaczął od wytatuowania się w tygrysi wzór. Później zaostrzył uszy, rozszczepił górną wargę, a następnie wszczepił sobie silikonowe implanty w brwi, policzki i w przegrodzie nosa. Dodatkowo nosił soczewki kontaktowe, doczepione wąsy, pazury, a także wydłużone kły. Przypinał sobie również mechaniczny ogon, który reagował na ruchy jego nóg i poruszał się w trakcie chodzenia. Erik Sprague, zawodowo znany jako Lizardman, czyli Człowiek-Jaszczurka, by upodobnić się do gada, przedzielił sobie język na pół, a całe swe ciało pokrył zielonymi tatuażami odwzorowującymi kształt łusek. Oprócz tego wyszlifował i wyostrzył zęby, na głowie umieścił zaś mnóstwo im-

FOT. FACEBOOK

eprasa.pl ea01a01b09

plantów. Tom Leppard nie poprzestał na zewnętrznym upodobnieniu się do leoparda, ale prowadził podobny do tego kota tryb życia. „Leopard Man of Skye" miał całe ciało pokryte cętkami, ale w jego przypadku zmiana obejmowała nie tylko powierzchowny wizerunek, lecz także sposób życia – żył w samotności, w odludnym miejscu i polował na pożywienie.

Różne motywy mogą kierować osobami, które modyfikują w ten sposób swoje ciało – chęć przekroczenia własnej cielesności, zapanowanie nad ciałem, potrzeba nabycia nowej tożsamości bądź dostosowanie własnej tożsamości do wizji, oczekiwań czy projekcji, które pojawiają się w zamyśle tej osoby.

Czy jednak takie przekraczanie granic siebie oznacza wolność? Może uwalnianie się od ograniczeń natury naraża nas jednocześnie na destrukcję siebie? Aby mogła powstać jedna tożsamość, musi zostać zniszczona inna – mógłby rzec performer tożsamości ludzkiej. Czyż jednak nie jest tak, że dana nam jest jedna tożsamość, od której nie możemy się uwolnić, i brak zgody na nią nie sprawia, że się od niej uwalniamy, ale że niszczymy siebie? Czy Człowiek-Jaszczurka stał się dzięki swoim modyfikacjom jaszczurką? Człowiek-Kot – kotem? Nie. Zaprzeczyli jedynie sobie – ludzkiej naturze, stając się hybrydą, ni człowiekiem, ni zwierzęciem.

„Bycie sobą" według własnego projektu

Nie może człowiek stać się także kosmitą, do czego za wszelką cenę dąży Anthony Loffredo, który tak dalece zafascynował się pozaziemskimi formami życia, że postanowił zostać jedną z nich. W ciągu dekady dokonał w związku z tym całej serii ekstremalnych i nieodwracalnych modyfikacji swojego ciała. Wytatuował je w czarne pasy, a twarz całkowicie na czarno, rozciął końcówkę języka na dwie części, by przypominał język jaszczurki, wytatuował gałki oczne na czarno, wszczepił implanty w głowę, by upodobnić swą czaszkę do czaszki gada, wykonał piercing na czole, nosie i brodzie, nacięcia na policzkach w kształcie błyskawicy, wyciął fragment górnej wargi, a nawet chirurgicznie usunął uszy i końcówkę nosa. Ta ostatnia operacja nastręczyła mu kłopotów, gdyż we Francji jest nielegalna, musiał więc udać się do kliniki w Hiszpanii, gdzie przeprowadzono ją bez problemu. Ostatnio można też było przeczytać o tym, że Francuz poddał się kolejnej operacji, tym razem amputacji dwóch palców u dłoni, a w najbliższym czasie planuje dokonać dalszej modyfikacji palców, później rąk, nóg i potylicy. „Jest to dla mnie normalne, że nawet nieświadomie myślę o swoich planach na najbliższe miesiące. Uwielbiam stawać się tą przerażającą postacią. Lubię się w nią wcielać, gdy idę nocą jakąś ciemną uliczką. Dobrze się wtedy bawię. Badam granicę, która oddziela mnie od postaci, którą odgrywam" – twierdzi Loffredo. W tej chwili czuje się kosmitą w 20 procentach, mocno jednak wierzy w to, że kiedyś uda mu się w 100 procentach zamienić swe ciało w ciało kosmity.

Może w ludzkiej naturze leży przekraczanie siebie, ów rodzaj transgresywnej tożsamości, która kieruje człowieka ku innym wymiarom bytu, jednak jest to przekraczanie siebie czysto intencjonalne. Kiedy przenosimy je na grunt realny i identyfikujemy się z wyobrażoną tożsamością kosztem własnej, nie przestajemy być sobą, lecz stajemy się hybrydą kogoś, kim jesteśmy, i kogoś, kogo tylko udajemy. Nie da się przekroczyć bowiem w pełni praw natury, człowiek zaś musi pogodzić się z tym, że nie wszystko jest jego własną kreacją i że nie może być każdym, kim sobie zażyczy. Tymczasem transgresja stała się współcześnie egzystencjalną kategorią stawania się sobą, procesem poszukiwania i aktywnego nabywania własnej tożsamości, nawet wtedy, gdy wiąże się z przekroczeniem własnego gatunku. Człowiek-Kot, Człowiek-Jaszczurka, Człowiek-Kosmita to konfiguracje przekraczania gatunkowości i bycie pomiędzy różnymi rzeczywistościami. Dlaczego nasza ludzka rzeczywistość już nam dzisiaj nie wystarcza?

Najważniejszy jest kierunek

Poznaj samego siebie i stawaj się tym, kim jesteś – te hasła zdają się już niemodne. Bo dzisiaj ważna jest zmiana, również natury człowieka, która stała się nieusuwalnym elementem rzeczywistości. Owszem, zmiany są ważne, transgresja jest ważna – bez nich niemożliwy byłby rozwój w każdej dziedzinie, nie potrafilibyśmy przekraczać granic własnej niewiedzy, odkrywać to, co do tej pory pozostawało zakryte. Podobnie jest w przypadku człowieka – to, by się zmieniać, jest ważne, podobnie jak ważne jest to, by siebie przekraczać. Czy jednak winno to iść w takim kierunku, jak w przytoczonych przypadkach? Czy musimy odwoływać się do czegoś z gruntu nam obcego i próbować zmieniać się w kogoś, coś, kim nigdy być w pełni nie możemy? Czy pragnienie, by być kimś innym, niż się jest, podążać musi w tym kierunku? Natura ludzka, ludzka świadomość jest tak bogata, że poznanie siebie jest procesem, który zdaje się nie mieć końca. I zawsze winno odnosić się do tego, co rzeczywiście nas przekracza – ku temu, co transcendentne. ■

eprasa.pl ea01a01b09



Krzysztof Karnkowski

Wojna w grodzieńskim tyglu

Krytycy narzekają, że zamiast filmu ku pokrzepieniu serc o patriotycznych dzieciach, widzimy kolejną opowieść o polskim antysemityzmie. Przyznam, że oglądając „Orlęta. Grodno 1939", sam dałem się na kilkadziesiąt minut wciągnąć w tę pułapkę

FOT. MAT. PRAS.

Egzemplarz archiwalny

Orlęta. Grodno 1939" w reżyserii Krzysztofa Łukaszewicza to dzieło reklamowane jako pierwszy film o wkroczeniu do Polski Sowietów w 1939 roku. Równocześnie jednak dość szczegółowo oddano tu klimat poprzedzających napaść Sowietów waśni narodowościowych. Już w pierwszych minutach seansu wiedziałem, że z tego ostatniego będą problemy, zaś po obejrzeniu całości mogłem założyć się, jakie zastrzeżenia będzie miała przynajmniej część prawicowej krytyki. Jednak „Orlęta" to przede wszystkim film zrobiony bardzo sprawnie i tego nawet krytycy nie mogą mu odmówić. Ba, czasem nawet mają o to pewien żal.

Nie wpaść w pułapkę

Wejście do niezbyt na to gotowego miasta Armii Czerwonej poprzedza, przez nikogo prawie nieuświadamiany, schyłek II Rzeczypospolitej. Gdy dorośli mają swoje sprawy, dzieciaki szykują się do szkolnego wystawienia „Krzyżaków". W tej właśnie sytuacji poznajemy głównego bohatera, Leona Rotmana, granego przez młodego, lecz świetnie rokującego Feliksa Mateckiego. To chyba największe zaskoczenie dla widzów, którzy na film przyszli jedynie z wiedzą, że będzie on o obronie miasta przez Polaków, jak szczątkowo opisany jest on choćby na Wikipedii. Po takim tytule spodziewać by się można było pięknego, patriotycznego powtórzenia historii Orląt o dwadzieścia lat starszych, lwowskiego pierwowzoru i odniesienia dla spodziewanych bohaterów. Tymczasem przez kolejne kwadranse śledzimy losy Leosia, młodziutkiego Żyda, który ciąży ku polskości na wiele sposobów – chce zagrać Zbyszka z Bogdańca w przygotowywanym przedstawieniu, marzy mu się polskie harcerstwo, może nawet klub sportowy, podkochuje się też w córce polskiego oficera – i tylko w tym ostatnim przypadku nie zostaje odepchnięty. Swoją romantyczną i trochę naiwną wiarą, a także wypełnieniem testamentu nieżyjącego ojca, planującego chrzest i spolszczenie całej rodziny, jest jednak Leon uparty. Kosztuje go to wiele, zwłaszcza że nim jeszcze nadejdzie wojna, nastroje w mieście staną się gorące.

Krytycy narzekają, że zamiast filmu ku pokrzepieniu serc o patriotycznych dzieciach, widzimy kolejną opowieść o polskim antysemityzmie. Przyznam, że sam dałem się na kilkadziesiąt minut wciągnąć w tę pułapkę, ale kolejne sekwencje i refleksje pomogły mi z niej wyjść. Gdy oglądamy grodzieńskie napięcia narodowościowe, nie mamy tu tak naprawdę ostrego podziału na dobrych i złych, owszem, to polscy narodowcy częściej szukają awantury, ale druga strona potrafi się bronić, wszystko zaś przypomina raczej ustawkę kibiców z ukrytym motywem biznesowym w tle niż pogromy, które lubi się Polakom przypisywać. Atmosfera ta prowadzi do radykalizacji obu stron, a film nie ucieka bynajmniej od ukazania większości społeczności żydowskiej jako odrębnej od Polaków, gotowej do przejścia na stronę wroga, de facto więc zdrady. Poprawność polityczna szybko więc wyparowuje, okazuje się tylko złudzeniem. Mamy narodowców (a chyba nikt nie będzie wyrywać się z robieniem z przedwojennego ONR patriotycznych pacyfistów), ale i Żydów – komunistów, tych, którzy katów Polaków witali z kwiatami, nadzieją i ofertą – na ogół przyjmowaną – pomocy. Również w polowaniu na wczorajszych sąsiadów. A więc prawdziwą żydokomunę, i to w najgorszym wydaniu, bezpośrednio czyhającą na życie polskich sąsiadów i mordującą niedobitki polskiej armii. Jednym z jej przedstawicieli będzie brat Leona, co spotęguje dramatyzm całej sytuacji, a zarazem w wystarczającym moim zdaniem stopniu artystycznie uzasadni taki, a nie inny wybór głównego bohatera. Wreszcie – będą sami Sowieci, w swym okrucieństwie, prostactwie i rozkochaniu w propagandzie wyjęci wręcz z kart „Zapisków oficera Armii Czerwonej" Sergiusza Piaseckiego. Książki, która przecież tylko na pozór była zabawna.

Droga artystyczna Łukaszewicza

Gdy już na dobre się w tej nieszczęsnej wschodniej Polsce zakotłuje, Leon wraz z przyjacielem – Polakiem – wyruszy, by pomagać polskiej armii i jego romantyczna wizja rycerstwa szybko zostanie zweryfikowana. Co gorsza, poróżni się z towarzyszem, panowie żołnierze długo będą nieufni, a rodzina będzie albo po drugiej stronie, albo, jak matka, przyjmie po prostu postawę skrajnie konformistyczną. Czym to się skończy, nie będę opowiadał, chcąc zostawić ewentualnemu widzowi, który w kinie jeszcze nie był, cokolwiek do odkrycia. Nie zabraknie w każdym razie dramatyzmu, będzie też sporo wiarygodnych scen batalistycznych. Przenoszenie walki miejskiej na ekran to przecież dla Łukaszewicza nie pierwszyzna. Nie jest to być może produkcja hollywoodzka, niemniej nie zostawia, jak kilka innych filmów z naszego kraju, niedosytu. Co charakterystyczne, o ten niezły poziom pretensje mają niektórzy prawicowi krytycy, choćby Wojciech Sumliński, traktując film jako niebezpieczny i utrwalający krzywdzące dla Polaków stereotypy. Ja takiego wrażenia nie miałem, choć jestem w stanie zrozumieć, skąd ono się wzięło. Tyle że tę domniemaną „winę" reżyser zmazuje z siebie w drugiej części filmu, gdy

eprasa.pl ea01a01b09

zostaną rozdane role katów i ofiar. Tu nie będzie niuansowania i „panświnizmu" à la Smarzowski.

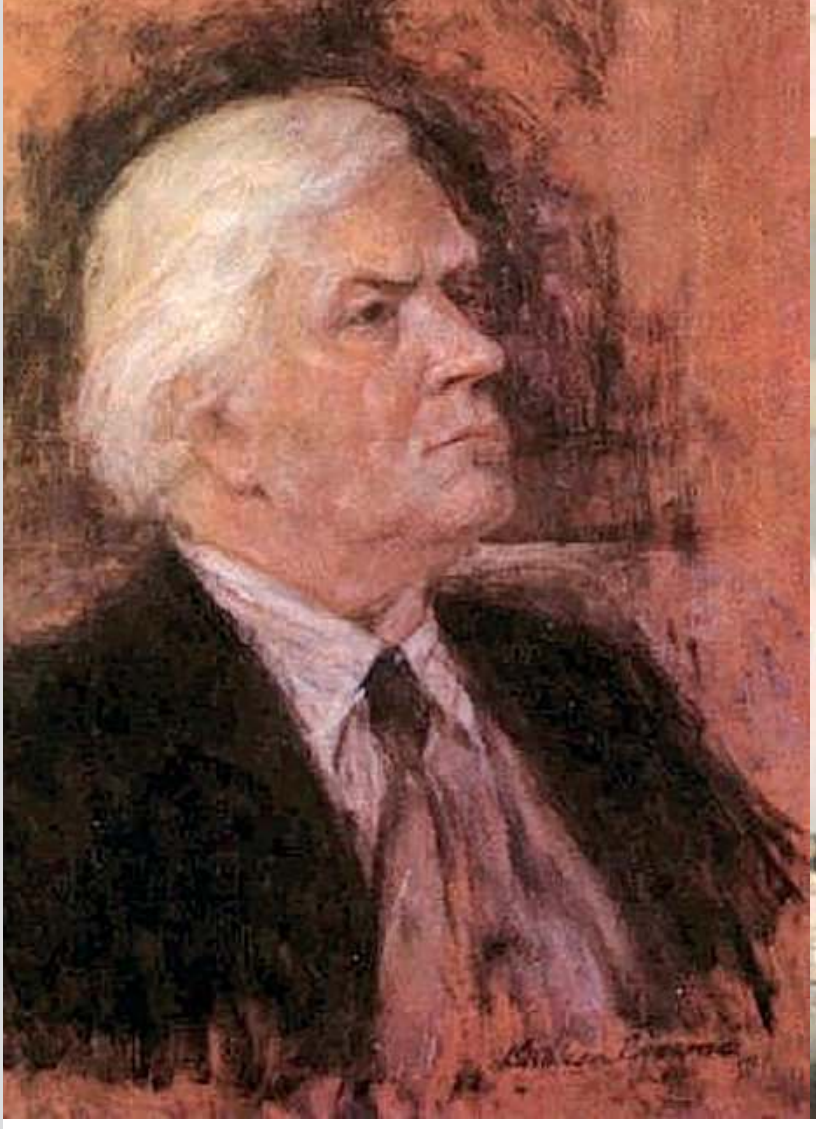
W rozwianiu wątpliwości trochę pomaga droga artystyczna Łukaszewicza. Po serialowym terminowaniu w świat kina pełnometrażowego wszedł w 2009 roku jako scenarzysta „Nila" Ryszarda Bugajskiego. I choć wobec filmu też pojawiło się sporo krytyki prawicowej (choćby ze strony wdowy po zamordowanym generale czy u Tadeusza Płużańskiego), nie był to film zły, a w momencie wejścia na ekrany bardziej niż z prawicową pamięcią historyczną rozmijał się z liberalną ucieczką do przodu i lekceważeniem dla historii, charakterystycznym dla polskiego mainstreamu po 2007 roku. Rok później Łukaszewicz debiutował jako reżyser bardzo mocnym, opartym na prawdziwych wydarzeniach „Linczem", pokazującym zdesperowaną i zostawioną samą sobie przez system małą społeczność, terroryzowaną przez lokalnego psychopatę. Państwo stanowczo wkracza dopiero wtedy, gdy ludzie biorą sprawy w swoje ręce, de facto nie mając już żadnego innego wyboru. Znaczące, że w reklamach „Linczu" film chwalił i polecał Sławomir Sikora, człowiek, którego historia posłużyła za kanwę innego filmu – krzyku rozpaczy III RP, czyli słynnego „Długu". „Lincz" pozostaje najwyżej ocenianym filmem Łukaszewicza, potem nie było jednak wcale źle. Kolejną jego produkcją był poruszający kwestie polityczne i społeczne zza wschodniej granicy „Żywie Bielaruś", po czym w 2015 roku pojawiła się „Karbala". O ile w „Orlętach" widzimy chłopców, którzy chcą stać się żołnierzami, w „Karbali" mamy do czynienia z facetami, którzy żołnierzami się stają. Wyobrażenie wojny, która przez chwilę jawi się jako męska przygoda, pełna alkoholu, mocnych rozmów i pornografii, muszącej zastąpić brak kobiet, szybko zmienia się w gruzy, a pośród nich – ciała kolegów. „Karbala" opowiada o największej operacji polskiej armii po II wojnie światowej i również jest filmem udanym, który odniósł pewien sukces kinowy, by trafić potem do oferty Netliksa. Warto zauważyć, że w „Linczu" i „Karbali" pojawia się też podskórna krytyka realiów ekonomicznych Polski czasów liberalnego sukcesu gospodarczego, czy raczej – propagandy tego sukcesu. W jednej z pierwszych scen „Linczu" Zaranek, wioskowe utrapienie, kat i ofiara, zaczyna swój bandycki rajd od niemożności kupienia napoju na zeszyt. W „Karbali" żołnierze giną tysiące kilometrów od domu, bo w kraju mają niespłacone kredyty.

„Orlęta" zasługują na szansę

Łukaszewiczowi udało się zrobić kolejny dobry film, na który patrzy się bez poczucia, że jednak czegoś brakuje (na ogół tym czymś są polot i pieniądze), jakie towarzyszy często polskim produkcjom historycznym i tożsamościowym. Wątek narodowościowy, tak drażniący część krytyki, tak naprawdę pokazuje siłę przyciągania i atrakcyjność polskości, tej idealizowanej i romantycznej, silniejszej nawet niż nie zawsze dorastająca do niej codzienność. Zapewne dlatego krytyka już od prawicy odległa widzi w filmie „teatr telewizji dla szkół" i „produkt patriotycznopodobny" (Tomasz Raczek, pisownia oryginalna), a portale nie bez satysfakcji odnotowują słabe wyniki frekwencyjne weekendu otwarcia, podczas którego na film skusiło się niewiele ponad 20 tys. widzów. Może dlatego, że zbyt wiele razy dawali oni szansę podobnym produkcjom i wychodzili z kina rozczarowani? Szkoda, bo akurat „Orlęta" na taką szansę zasługują. Może statystyki podbiją szkoły, choć tu akurat muszę wspomnieć o mojej jedynej wątpliwości: nie wiem tak naprawdę, jaki jest wymarzony odbiorca filmu. Wybór bohatera i tematu wskazywałby głównie na młodego widza, może nawet równolatka bohatera lub nastolatka niewiele od niego starszego, wtedy jednak pewnym mankamentem stają się obecne (i uzasadnione przecież, więc może sam przesadzam...) przekleństwa i brutalne, naturalistyczne sceny wojennego okrucieństwa. Ponieważ jednak film jest produkcją TVP, zapewne jego umiarkowany sukces w kinach nie będzie większym problemem, ponieważ później „Orlęta" trafią na małe ekrany, które też przecież potrafią być już całkiem spore, a w dalszej przyszłości może również na Netfliksa i, zapewne, finalnie obejrzy się tak dobrze, jak na to zasługuje. ■

WĄTEK NARODOWOŚCIOWY, TAK DRAŻNIĄCY CZĘŚĆ KRYTYKI, TAK NAPRAWDĘ POKAZUJE SIŁĘ PRZYCIĄGANIA I ATRAKCYJNOŚĆ POLSKOŚCI, TEJ IDEALIZOWANEJ I ROMANTYCZNEJ, SILNIEJSZEJ NAWET NIŻ NIE ZAWSZE DORASTAJĄCA DO NIEJ CODZIENNOŚĆ.

eprasa.pl ea01a01b09





Piotr Lisiewicz



Jestem buntownikiem i dlatego samotny stoję

eprasa.pl ea01a01b09



12 grudnia 1997 roku na londyńskim cmentarzu Kensington Cementary odbył się pogrzeb 91-letniego Mariana Kratochwila, polskiego malarza urodzonego na Huculszczyźnie, którego obrazy pokazywane są dziś w galeriach brytyjskich, hiszpańskich, amerykańskich czy szwajcarskich. „Na uroczystość przybyli liczni przyjaciele Mariana zarówno polscy, angielscy, jak i hiszpańscy. Brał w niej też udział b. ambasador Królestwa Hiszpanii w Londynie Felipe de la Morena. Zabrakło niestety polskiego ambasadora, który nie uznał za stosowne wzięcie udziału w tym smutnym obrządku. No cóż, co kraj to obyczaj... Na grób posypała się ziemia przywieziona z Polski. Nie było też salwy pożegnalnej dla kapitana, obrońcy Polski przed Niemcami" – zapisał brat zmarłego Zbigniew Kratochwil.

FOT. MUZEUMJMK.PL (2)

eprasa.pl ea01a01b09

Skąd wziął się wielki malarz Marian Kratochwil? Z nieszczęścia! – Zakochałem się w młodej dziewczynie. Ja byłem niewinny, ona niewinna, zacząłem ręką ruchy, proszę Pana, i dostałem w pysk. Po tym przez sześć lat nie popatrzyłem się na żadną kobietę! Buczkowski sobie chodził na kobiety, a ja rysowałem. Ja tak zawzięcie rysowałem, bo mnie cholera wzięła na kobiety – tak żartobliwie wyjaśniał swoje przejścia z młodości w filmie „Syntezy malarskie". W tym samym filmowym dokumencie już na poważnie tak podsumowywał blisko 90 lat swojego życia krótkim zdaniem: „Byłem świadkiem upadku cywilizacji europejskiej". Temu upadkowi, który głęboko przeżywał, poświęci swój monumentalny obraz, książkę „Metamorfozy" oraz wiele innych fragmentów swojej twórczości.

▶ Twórca w rozpadającym się świecie

Nie chciał mieć nic wspólnego z prądami, które były w jego oczach częścią tego upadku. Mówił dalej: – Artyści, którzy wchodzą do historii, wymagają dużo czasu, zanim znajdzie się ktoś, który ich z tego śmietnika odkryje. Ja też puszczam swoją sztukę w przestrzeń, w nieznane, poza moje życie. I mam nadzieję, że pewnego dnia znajdzie się ktoś, kto mnie odkryje.

Poeta Zygmunt Ławrynowicz tak wyjaśniał postawę malarza na tle czasów, w których przyszło mu żyć: „W słowach Kratochwila: »Jestem buntownikiem i dlatego samotny stoję« mieści się smutna definicja położenia twórczej jednostki w rozpadającym świecie. Może on albo przyłączyć się do zbiorowego szaleństwa, które zniweczy jego twórcze zamierzenia, albo zachować własną odrębną indywidualność, przytomność i uczciwość własnej wizji artystycznej, i, w konsekwencji, znaleźć się w odosobnieniu, w izolacji. Jeśli izolacja jest ceną, którą trzeba zapłacić za ocalenie własnej duszy, uratowanie własnej sztuki od zagłady, a taki jest cel artysty zdaniem Kratochwila – to trzeba przyznać, iż jest to cena niewielka w istocie rzeczy".

Połączenie najczystszej, mocnej, kresowej polskości z nasiąknięciem tym, co najlepsze w tradycji europejskiej – to tworzyło tę osobowość artysty. – To jest jego polskie, kresowe poczucie koloru, ale jednocześnie ogromne zrozumienie uniwersalizmu sztuki. To znaczy, że sztuka nie jest tylko, wyłącznie ogródkiem, polem czy łąką za naszym domem, że sztuka jest powszechna. Jego twórczość była oryginalna, ale jednocześnie nietypowa dla epoki – mówił o tym we wspomnianym filmie prof. Mieczysław Paszkiewicz, były żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej, a na wygnaniu dziekan PUNO, czyli Polskiego Uniwersytetu Na Obczyźnie.

▶ Tych, którzy służyli na ideowo, i tych, którzy za pieniądze – rozstrzelać!

O tym, jaki ślad epoka odcisnęła na miejscach, w których żył, Marian Kratochwil pisał w „Metamorfozach", których fragmenty przetłumaczone z angielskiego na polski ukazały się w bydgoskim piśmie „Akant". Opisuje w nich relację przyjaciela z Podkamienia, kresowego miasteczka, w którym przeżył 11 lat, z czasów sowieckiej okupacji.

To jest scena tak niesamowita, że trudno ją zrozumieć komukolwiek, kto nie jest zanurzony w historii narodów z naszej części świata. Pisze Kratochwil: „Pewnej nocy obudziło mnie gwałtowne stukanie do drzwi. Ubrałem się i zapaliwszy lampę, otwarłem drzwi. Przede mną stał, trzęsąc się, Żyd. Proszę mnie wpuścić, proszę... Podczas gdy moja matka znowu rozpalała pod kuchnią ogień, ja przypomniałem sobie, że niekiedy widywałem tego człowieka kręcącego się po targowisku... Matka proponuje mu herbatę z rumem, zaś on, wciąż roztrzęsiony, nie może się uspokoić. Jego oczy wypełnia obłęd i strach. Wreszcie zaczyna mówić...".

Jak się okazuje, przerażony człowiek, to... szpieg sowiecki: „Jestem tak przerażony, że bliski szaleństwa. Mam jednak szczęście, bo już szedłem do piachu, jak tylu ludzi, o których wiem, że zginęli. Pan musiał mnie czasami widywać na targu, ale nie wie pan o mnie jednej rzeczy: Byłem... tak jest, sowieckim szpiegiem... Otóż wczoraj pewien człowiek powróciwszy z narady, kazał mi abym dzisiaj o północy stawił się z raportem u komisarza. Byłem podniecony, bowiem spodziewałem się medalu za służbę Związkowi Sowieckiemu lub choćby tylko pochwały. Stawiłem się więc na wyznaczonym miejscu. Nie byłem sam. Zaskoczyła mnie obecność aż tylu w Podkamieniu przyjaciół Sowietów. Ludzi, których nigdy bym nie podejrzewał, że mogą pracować dla Rosji".

Opowiada, jak Moskwa potraktowała takich, jak on: „Komisarz spoglądał po nas, aż wreszcie wydał rozkaz: »Ci, którzy za swoje zasługi dla Związku Sowieckiego byli opłacani, po lewej stronie, zaś ci z was, którzy służyli z pobudek ideologicznych i nie brali pieniędzy, staną po prawej... Suchym głosem komisarz mówił dalej: »Ci z was, którzy byli opłacani za swoją pracę, w ogóle nie zasługują na zaufanie, można sobie bowiem łatwo wyobrazić, jak biorą pieniądze od naszych wrogów, a więc są oni potencjalnym zagrożeniem dla naszego państwa. Zgodnie z otrzymanym z Moskwy rozkazem zostaniecie jeszcze tej nocy rozstrzelani«".

Jak mówi, zaległa absolutna cisza i wydawało się, że ludzie stracili oddech. A potem komisarz powiedział, co czeka tych, co służyli Moskwie z pobudek ideowych, nie biorąc za to pieniędzy: „Cisza! A więc prawdziwi komuniści także nie zasługują na zaufanie. Kiedy się bowiem przekonacie, że wasze idee nie pokrywają się z sowiecką rzeczywistością, poczujecie się oszukani. A że, jak widać, zagrażacie nam, jest rozkaz, aby i was zaraz rozstrzelać".

Z takiej to kolumny idącej na śmierć uciekł ów Żyd, który błagał, popijając herbatę z rumem: „Ukryjcie mnie na kilka dni". I znalazł pomoc u Polaków, na szkodę których działał. Pisze Kratochwil: „Ważne jednak jest to, że wbrew zdrowemu rozsądkowi ludzie zawsze będą ryzy-

eprasa.pl ea01a01b09

kować swoje życie dla tych, których nielitosny los spychać będzie ku przepaści".

Idź w życie!

Marian Kratochwil urodził się 30 września 1906 roku w Kosowie na Huculszczyźnie. „Moja matka była śpiewaczką, wspaniale śpiewała przede wszystkim pieśni Schuberta, które mi zostały na całe życie, wpłynęły na moją wrażliwość artystyczną. Ojciec był sędzią, ale był zakochany w poezji. Ćwiczył mnie w tej poezji po polsku, francusku i niemiecku, Schillera, Goethego i innych. Właściwie urodziłem się muzykiem, powinienem być kompozytorem, ale w czasie wojny straciliśmy fortepian. I z fortepianem pogrzebane zostało moje kompozytorstwo" – mówił o swojej młodości w filmie „Syntezy malarskie".

Uczył się w Gimnazjum im. Henryka Jordana we Lwowie, a następnie w Gimnazjum im. Jana III Sobieskiego w Złoczowie. Już wtedy zdradzał malarski talent i rodzona zastanawiała się, jak mógłby go rozwinąć. „Ojciec mój, który był człowiekiem bardzo mądrym, uznał, że należy się poradzić jakiegoś znakomitego malarza, który by ocenił, czy mam talent, czy warto, żebym malował. Tym malarzem był Stanisław Batowski. Batowski dał mi dwanaście lekcji, które były fundamentem mojej sztuki". Batowski był malarzem-batalistą, lwowiakiem, ale i obieżyświatem, mieszkającym wcześniej w Monachium, Paryżu i Rzymie, współzałożycielem lwowskiego Stowarzyszenia Artystów Młoda Polska. Malował szarżę pod Somosierrą i atak husarii pod Chocimiem.

„Batowski odradził mi iść do Akademii Krakowskiej. Lepiej, żebyś poszedł na studia filozoficzne, historyczne. I rzeczywiście poszedłem na UJK, Uniwersytet Jana Kazimierza" – wspominał Kratochwil. W 1926 roku rozpoczął studia z zakresu filozofii i historii. Ale to nie było jedyne wskazanie mistrza. „Idź w życie! Mówiłem, mu że wszyscy się uczą aktów. A on: naucz się na koniach. Konie nie będą ci pozować, musisz szybko rysować. I zacząłem rysować na jarmarkach konie".

Gościnność – osobisty dar Boga dla narodu polskiego

Szkicował obrazy „z dnia powszedniego", wizerunki chłopów i Żydów, sceny z targu i jarmarku. W tym okresie poznał Leopolda Buczkowskiego, który również szkicował, a Kratochwil, mający ku temu lepsze przygotowanie, stał się po trosze jego nauczycielem. To spotkanie, które wpłynęło znacząco na jego życie, wspominał w filmie następująco: „Kiedy byłem na czwartym roku filozofii, zacząłem sobie wędrować po Wołyniu i Polesiu ze szkicownikiem. Pewnego dnia rysuję sobie takie żydowskie budy w Podkamieniu koło Brodów. Przychodzi do mnie taki bardzo przystojny pan, który trochę wyglądał na Kozaka, a może na właściciela ziemskiego i studenta? Przedstawił się: Leopold Buczkowski. Czyli późniejszy znany pisarz. Wszedłem na herbatę do pani Buczkowskiej. Ta pani Buczkowska, staruszka, serdeczna, nadzwyczajna Polka, popatrzyła na moje szkicowniki i mówi: »Proszę Pana, Pan tak wspaniale rysuje, szary, brzydki nasz świat robi takim pięknym... Proszę Pana, ja Panu ofiarowuje gościnę u nas. My nie jesteśmy bogaci, ale są kury, jest ogród, sad, z głodu Pan nie zginie«".

Ta gościna potrwać miała... 11 lat. Dla anglojęzycznego czytelnika pisał o tym Kratochwil w „Metamorfozach" tak: „Owa gościnność jest Polsce czym ważnym... To osobisty dar Boga dla polskiego narodu".

To tu odbyła się wspomniana awantura miłosna: „Zakochałem się w młodej dziewczynie, ja byłem niewinny, ona niewinna, zacząłem ręką ruchy, proszę Pana, i dostałem w pysk. Po tym przez sześć lat nie popatrzyłem się na żadną kobietę! Buczkowski sobie chodził na kobiety, a ja rysowałem. Ja tak zawzięcie rysowałem, bo mnie cholera wzięła na kobiety. Ale w końcu poszedłem z Buczkowskim na ten odpust, straciłem cnotę i znowu zacząłem interesować się kobietami, przez Buczkowskiego".

Don Kichot

Obrazy Kratochwila zaczęły zdobywać uznanie. Odbył w międzyczasie służbę wojskową, w 1935 roku w jej trakcie przeczytał „Don Kichota" Miguela de Cervantesa, powieść, która miała stać się powracającym źródłem natchnienia w jego twórczości. Nie wiedział jeszcze, że blisko pozna ojczyznę Don Kichota...

Politycznie był zwolennikiem idei jagiellońskiej i współpracy narodów naszego regionu. W 1936 roku Kratochwil przeprowadził się do Warszawy i w październiku tegoż roku podczas indywidualnej wystawy w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych zaprezentował obrazy i grafiki z Podola i Wołynia. Także w 1936 roku uzyskał brązowy medal za obraz „Niedziela w Ożomli", który wystawił na Ogólnopolskim Salonie w Zachęcie. „Obraz ten nabyła późniejsza propagatorka jego sztuki, znana powieściopisarka Kossak-Szczucka" – wspominał jego brat Zbigniew Kratochwil na łamach czasopisma „Archiwum Emigracji".

Już w latach 1936–1937 wykonał dwa miedzioryty o tematyce związanej z Don Kichotem. W 1937 roku jego obrazy pokazane były na wystawie w Krakowie. Rozpoczął też studia w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. W 1938 roku jego obraz „Pożegnanie radości" otrzymał brązowy medal podczas wystawy w Zachęcie. W 1938 i wiosną 1939 roku wystawiał znowu prace we Lwowie, a do kolejnej wystawy miało już nie dojść, bo wybuchła wojna...

U generała Maczka

Został zmobilizowany. „Byłem adiutantem dowódcy batalionu, brałem udział w szeregu bitew, największą była bi-

eprasa.pl ea01a01b09

twa pod Iłżą, tam moją dywizję rozbili Niemcy. Przekradałem się, wreszcie dostałem się do oddziałów partyzanckich" – wspominał w filmie „Syntezy malarskie". Po klęsce przez Węgry i Jugosławię przedostał się do Francji, gdzie w 1940 roku wstąpił w szeregi Wojska Polskiego. Po wkroczeniu Niemców przedostał się do Szkocji, gdzie został asystentem w Centrum Wyszkolenia Piechoty przy 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. „Wiedziałem, że myśmy stracili wojnę, zostaliśmy zdradzeni" – zapisał.

Od 1940 roku przez dwa lata tworzył cykl miedziorytów zatytułowany „Wojna". W 1941 roku jego rysunki pokazane zostały na Letniej Wystawie Polskich Artystów, która odbyła się w Szkockiej Akademii Królewskiej. W 1944 roku przez dwa semestry uczęszczał na zajęcia w College of Art w Edynburgu.

„Żyłem na kartoflach, ale zachowałem wolność" – tak mówił o swojej decyzji pozostania na wygnaniu. Po przeniesieniu do rezerwy wyjechał do Londynu. Pracował fizycznie jako dekorator wystaw w firmie produkującej meble.

Człowiek, który walczy z rzeczywistością

Zmieniało się jego malowanie, tak jak jego życie. Mówił w filmie: „Najbardziej interesował mnie człowiek, człowiek, który walczy z rzeczywistością. W Polsce najbardziej mnie interesowały twarze żebraków, ludzi przemęczonych życiem, ludzie, którzy nie noszą maski. Jak przyjechałem do Londynu, odeszła mi ochota do malowania portretów, kompletnie".

Zaś prof. Mieczysław Paszkiewicz wspominał: „W tym czasie żył bardzo skromnie, nie sprzedawał obrazów, był zdemobilizowany tak jak i ja z wojska. I rzeczywiście żył bardzo ubogo. Spędzaliśmy noce pijąc kawę i dyskutując przede wszystkim o jego malarstwie. Marian bardzo dużo czytał poezji, interesował się filozofią. Byli ludzie, którzy zarzucali mu, że jego malarstwo jest zbyt literackie. Wtedy panował w Anglii i w Francji kult abstraktu. Marian był za dobrym rysownikiem, aby stać się abstrakcjonistą".

Jak stwierdzał Paszkiewicz, Kratochwil miał szczęście do angielskich kobiet. Poznał starszą malarkę Dame Ethel Walker. Po śmierci okazało się, że zapisała Kratochwilowi w testamencie część majątku oraz swojej kolekcji obrazów. Miał za co żyć.

W 1948 roku poznał wybitną malarkę Kathleen Browne, rodem z Nowej Zelandii, która została jego żoną. W filmie „Syntezy malarskie" Kathleen Browne wspominała: „Ostrzegano mnie przed Polakami. Miałam przyjaciółkę, która znała kilku obywateli polskich. Mówiła: »Nie zadawaj się z Polakami, są niebezpieczni. Dają kobietom kwiaty, całują w rękę«. Tak właśnie było".

Po ślubie wyruszyli, zgodnie z pomysłem Kathleen, w podróż poślubną do Hiszpanii. Marian wspomina w filmie: „Przez przypadek kupiłem sobie książkę El Greca w Glasgow, z którą wędrowałem cały czas. I ona przekonała mnie do Hiszpanii. Pracowałem wtedy w sklepie jako dekorator, robociarz, zaoszczędziłem pieniądze na wyjazd... Te dwadzieścia miesięcy pobytu tam stworzyło moją powojenną sztukę".

Jak pisze Zbigniew Kratochwil, „wyjazd do Hiszpanii trwał około 20 miesięcy... Marian jest zafascynowany Hiszpanią, przepięknymi krajobrazami, architekturą starych miast i ich mieszkańcami. Przypominają mu one nasze byłe Kresy Wschodnie, a szczególnie Wołyń i Podole".

Hiszpania mocno wpływa na twórczość Mariana Kratochwila. „Główne twórcze uderzenie artysty następuje w Toledo (Kastylia), mieście znanym z pobytu znakomitego malarza El Greco. Następnie maluje i rysuje w Rondzie (Andaluzja). Z powstałych obrazów można szczególnie wyróżnić piękne widoki Toleda położonego nad rwącą rzeką Tag" – pisze brat.

W Hiszpanii nie tylko maluje, lecz także pisze. I spotyka się z wielkim uznaniem mieszkańców tego kraju. „Stworzyłem coś w rodzaju poematu na temat Toledo... Hiszpanie to przyjęli, i oddali mi salę w Toledo. Ja jestem sąsiadem El Greca. Król hiszpański nadał mi najwyższy medal Hiszpanii – Salvador Dali ma identyczny. Jako literat jestem członkiem Akademii Nauk i Historii" – mówi w filmie.

Staje się znany w ojczyźnie Don Kichota, o którym niegdyś czytał w wojsku. Pisze: „Zrozumiałem, że portret Sancho Pansy i portret Don Kichota to jest portret duszy ludzkiej. Filozofia Cervantesa mówi o jednym człowieku, o duszy ludzkiej".

Szkoła w Chelsea

Po powrocie z Hiszpanii zamieszkał z żoną w Chelsea. W swoim mieszkaniu-pracowni otworzyli szkołę prowadzącą kursy malarskie, gdzie Kratochwil wykładał teorię sztuki i podstawy warsztatu malarskiego, a także uczył praktycznej techniki malarskiej. Równocześnie był nauczycielem w Epsom School of Art. Grał też na fortepianie. Jego wielkim przyjacielem był znany polski kompozytor żyjący w Anglii Andrzej Panufnik. „Miał wielkie uznanie dla twórczości Karola Szymanowskiego... Marian pamiętał, że w 1922 r. Karol Szymanowski odwiedził dwukrotnie nasz lwowski dom i wraz z innymi artystami grywał w kwartetach" – wspomina brat.

W 1965 roku po raz pierwszy poleciał do PRL. Zbigniew Kratochwil pisał: „Przybył do Polski z żoną dopiero w lipcu 1965 roku. Odwiedzili obu braci: Zbigniewa w Żychlinie k. Kutna i Zygmunta w Polanicy Zdroju oraz siostrę Jadwigę we Wrocławiu. Pobyt trwał w sumie 4 tygodnie. Niezmiernie serdeczne było przywitanie z matką w Polanicy Zdroju po 26 latach rozłąki. Matka uznała wtedy, że może już odejść w spokoju z tego świata".

Po latach spotyka się z Leopoldem Buczkowskim, teraz uznanym pisarzem. Pisze w „Metamorfozach": „Czas i przestrzeń ukształtowały osobliwe między nami relacje. Po dziś

eprasa.pl ea01a01b09

dzień zdumiewam się aż tak zasadniczym zróżnicowaniem naszych poglądów". Ale dawnego przyjaciela opisuje jako antykomunistę. Kompletnym zaskoczeniem dla wielu będzie fakt, że pod koniec życia, w stanie wojennym, Buczkowski przystąpi do PRON.

Wierzyński i Kratochwil

Hiszpanię odwiedził po raz kolejny w 1967 roku i przebywał tam dwa miesiące, zwiedził też Portugalię. „Wpływ pobytu w Hiszpanii, a szczególnie dzieło Cervantesa, dały w efekcie kilka dużych obrazów, poświęconych wraz ze szkicami nieśmiertelnemu Don Kichotowi. Z czasem nie zapomni o jego wiernym giermku Sancho Pansa. Twarz Don Kichota przestudiował malując kilkadziesiąt szkiców i portretów" – pisze brat. Jak zauważa, Marian po okresie hiszpańskim rozszerza tematykę swych dzieł o treści z zakresu baśni i fantastyki.

W 1968 roku organizuje we własnym studio wystawę „London and Scotland". Pokazuje na niej 85 najważniejszych obrazów o tematyce brytyjskiej. Wśród gości na wernisażu jest poeta Kazimierz Wierzyński. Ze łzami w oczach zwraca się do malarza: „Gdzie Pan był przez te lata minione?".

W 1970 roku odbyła się pierwsza wystawa jego obrazów w Polsce, w Muzeum Narodowym w Krakowie. W 1979 roku pokazuje w Ambasadzie Hiszpanii w Londynie dwadzieścia swoich prac inspirowanych Andaluzją, jej pejzażami i mieszkańcami.

Na fali 1980 roku obrazy malarza po raz kolejny pokazane zostają w Muzeum Narodowym w Krakowie, a rok później w warszawskiej Zachęcie. Dalszym kontaktom przeszkodził 13 grudnia. „Niestety po zamknięciu wystawy ogłoszono stan wojenny. Potem wypadki w Polsce nie potoczyły się pomyślnie dla Mariana. Muzeum Narodowe w Krakowie rozdzieliło część obrazów na 5 muzeów: w Warszawie, Poznaniu, Gdańsku, Bydgoszczy i Toruniu, mimo braku większego poparcia ze strony artysty dla tego przedsięwzięcia" – pisze brat.

W 1986 roku odbywa się wystawa indywidualna prac Mariana Kratochwila w Muzeum Santa Cruz w Toledo, w tym samym roku władze Hiszpanii nadały Kratochwilowi ustanowione w 1815 roku najwyższe hiszpańskie odznaczenie, czyli Order Izabeli Katolickiej. „Hiszpanie nie zapomnieli, w odróżnieniu od Polski, o artyście" – pisze Zbigniew Kratochwil.

W 1988 roku razem z bratem napisali „Wspomnienia o Mieczysławie Kistrynie", przedwojennym znanym lwowskim pedagogu. W 1992 roku Kratochwil wydał w języku angielskim książkę poświęconej twórczości swej żony Kathleen Browne, została ona przekazana papieżowi Janowi Pawłowi II. W 1994 roku miała miejsce wspólna wystawa artysty i jego żony w Polskim Instytucie Kulturalnym.

W 1996 roku Kratochwil po raz ostatni odwiedził Polskę. Odbywa się wystawa jego prac w Bibliotece Jagiellońskiej. Przekazuje on swoje obrazy Muzeum Narodowemu w Krakowie, Bibliotece Jagiellońskiej i Muzeum Narodowemu w Warszawie. Kratochwil wspiera Polaków, którzy pozostali na Wschodzie. „Gdy rodacy z dawnego Pokucia prosili o pomoc w odbudowie kościołów, przekazał pokaźną sumę na remont świątyni w Nadwórnej, za co ks. arcybiskup Jaworski ze Lwowa przesłał mu podziękowanie" – wspomina brat.

W 1997 roku jego obrazy zostały pokazane na wystawie w Madrycie, a następnie przesłane do muzeów w Granadzie i Rondzie oraz do Zamku Rycerzy Maltańskich w Consegrua koło Madrytu. Z tych 30 obrazów 12 znalazło się w Muzeum Granady. „Gubernator Granady zaproponował nazwanie jednej ulicy w Granadzie jego nazwiskiem. Artysta uznał, że ze względu na skomplikowane nieco nazwisko nie warto tej propozycji realizować" – wspominał brat.

„Jako malarz patrzę w przyszłość, patrzę już w następne stulecie. Wiedziałem, że ja muszę się w jakiś sposób zaadresować do tych nowych czasów. I zaadresowałem się humanizmem. Byłem zawsze humanistą i tym humanistą zostałem" – mówił Marian Kratochwil pod koniec życia o swoim przesłaniu.

Pomost dla duszy do Polski

Zmarł 3 grudnia 1997 roku. Jak napisał Zbigniew Kratochwil, jego brat, „marzył o tym, aby spocząć w przyszłym rodzinnym grobie na cmentarzu powązkowskim w Warszawie. Niestety plany te nie doczekały się realizacji. Ponieważ zawsze odwiedzał angielski kościół katolicki Church of Our Lady St. Johnswood w Londynie, jego przyjaciele angielscy postanowili przeprowadzić uroczystości pogrzebowe właśnie w tym kościele".

Pogrzeb odbył się 12 grudnia. „Na uroczystość przybyli liczni przyjaciele Mariana zarówno polscy, angielscy, jak i hiszpańscy. Brał w niej też udział b. ambasador Królestwa Hiszpanii w Londynie Felipe de la Morena. Zabrakło niestety polskiego ambasadora, który nie uznał za stosowne wzięcie udziału w tym smutnym obrządku. No cóż, co kraj to obyczaj" – pisał brat. Ambasadorem Polski w Wielkiej Brytanii był wówczas Ryszard Stemplowski.

Uroczystość w kościele przeprowadzono w języku angielskim, w którym przemawiali znajomi Anglicy oraz przyjaciel artysty prof. Mieczysław Paszkiewicz. Ponieważ artysta pochodził z gór, pożegnał go polski zespół góralski Giewont. Utwory Bacha i Schuberta w wykonaniu solistów nawiązały w tej żałobnej mszy do wielkiej miłości Mariana dla mistrzów muzyki. „Wdowie Kathleen Browne nie podobało się, że brak było w kościele przemówienia w języku polskim. Ten trudny obowiązek przejął na siebie brat Mariana Zbigniew. Sam nie był przekonany, czy wywiązał się z tego zadania dobrze, ale był tym, który ze łzami oczach przerzucił w tym smutnym dniu w imieniu rodziny pomost dla duszy Mariana do jego prawdziwej ojczyzny, Polski" – napisał brat. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Rosyjska obecność w Warszawie w wieku XIX to czas okupacji, intensywnej rusyfikacji i niszczenia wszystkiego, co polskie. Pamiętamy o szubienicach, kajdanach i Sybirze. Po upadku powstania styczniowego została w Prywislinskim Kraju uruchomiona przez Moskali machina systemowa – jej zadaniem była destrukcja polskiej tożsamości i świadomości. Obecność Rosjan w stolicy Polski była symbolicznie widoczna także w architekturze – w postaci Cytadeli czy Soboru Aleksandryjskiego.





Tomasz Łysiak

ROSJANIE W WARSZAWIE

eprasa.pl ea01a01b09

Na jednej z rycin, które pojawiały się masowo w prasie zagranicznej w dobie powstania styczniowego, czytelnik we Francji mógł zobaczyć namiestnika cara w Królestwie Polskim, księcia Michaiła Gorczakowa. Książę, ubrany w mundur, stoi wyprostowany i patrzy przed siebie. Być może wyglądał podobnie, gdy w trakcie manifestacji patriotycznej na placu Zamkowym 8 kwietnia 1861 roku stał przy uchylonym oknie zamkowym, patrzył na tłum atakowany przez sołdatów i wydał rozkaz konnemu oficerowi – „tego żywcem"? Chodziło o schwytanie studenta i konspiratora Karola Nowakowskiego, który szedł z krzyżem na czele procesji i śpiewał mocnym głosem: „Święty Boże, Święty Mocny". Karola schwytano, ale zanim się to stało, bronił się owym krucyfiksem jak mieczem, odbijając ciosy zadawane kolbami karabinów. Inny namiestnik cara, Fiodor Berg, po tym, gdy zorganizowano na niego zamach przy Nowym Świecie, nakazał spalić dobytek Polaków mieszkających w wielkiej kamienicy Zamojskich, osławionym Domu Pana Andrzeja, z którego wcześniej ciśnięto bombę. To wtedy Rosjanie wyrzucili z okien fortepian Szopena. Instrument „sięgnął bruku" i roztrzaskał się, by potem trafić do wersetów norwidowskiego wiersza. Fiodor Berg był ostatnim namiestnikiem w Królestwie. Po jego śmierci rządzili w Prywislinskim Kraju (nazwa Królestwa Polskiego zniknęła nie tylko z obiegu urzędowego, lecz także z wielu map) już tylko generał-gubernatorzy. Ich lista zaczyna się od nazwiska Paula von Kotzebue, a kończy na Georgiju Skałonie, który rządził do swej śmierci w 1914 roku i zakończył tę sztafetę Moskali w Warszawie silnym akcentem: był tyranem i okrutnikiem, a zamachy na jego życie świadczyły jedynie o tym, jak ta szkaradna postać była odbierana przez Polaków.

▶ Nielzia gawarit po polski

Ciemny okres popowstaniowy na ogół kojarzy nam się ze zdjęciami, które wydają się do siebie tak podobne – występują na nich najczęściej kobiety w czerni, babki i matki, smutne, często samotne, tulące do siebie gromadki dzieci. Mężowie i synowie – byli zesłani na Sybir lub polegli w bitwach powstania czy też powieszono ich za spiskowanie. Na owej czerni błyszczą czasem charakterystyczne ozdoby – patriotyczna biżuteria żałoby narodowej po nocy styczniowej: krzyżyki z orłami, symbole powstańcze (serce, krzyż i łódź). Notabene już kilka lat wcześniej Rosjanie usiłowali zakazać noszenia nie tylko czerni żałobnej, lecz nawet tradycyjnych polskich strojów. Za to też można było trafić „na dołek".

Agata Tuszyńska w znakomitych „Rosjanach w Warszawie" opisała także te mniej znane, a przecież mające taką siłę „rażenia" działania rosyjskich okupantów. Gdyby wybrać się „na spacer" przez tę zajętą przez Moskali polską stolicę, co krok natknęlibyśmy się na jakieś ślady rosyjskiej bytności i – przede wszystkim – prób wzięcia nas pod rosyjski but.

Przede wszystkim usiłowano bowiem warszawiaków zrusyfikować – czy to siłą, czy przez urzędnicze utrudnienia i nakazy, czy wreszcie przez nacisk językowy i kulturowy – doprowadzić do tego, byśmy po prostu przestali być Polakami. Byśmy byli nie tylko obywatelami imperium rosyjskiego, lecz po prostu – Rosjanami. Język zresztą jest tu kwestią niezmiernie ważną. Oto gdy Polak szedł do urzędu w Prywslinskim Kraju, musiał posługiwać się mową Puszkina. Nie tylko jeśli chodzi o pisma, które trzeba było sporządzać po rosyjsku. Mówiąc po polsku, nie zostałby po prostu obsłużony przez urzędnika, nawet gdyby ten znał biegle mowę Mickiewicza. Zresztą Mickiewicz też był długo zakazany – próżno było szukać jego dzieł w bibliotekach. Tuszyńska przywołała wygrzebane we wspomnieniach i archiwach konkretne przykłady rugowania mowy polskiej na terenie byłego Królestwa czy Wileńszczyzny. W Wilnie, w kawiarni, do której chadzali Czeczot, Zan i Mickiewicz, kawki już się napić nie było można. Została przerobiona na biuro pocztowe, w którym interesantów informował wyraźny napis: „Nielzia gawarit po polski" („Nie wolno mówić po polsku"). W Warszawie u Bliklego przy jednym ze stolików usiadł oficer rosyjski. Wyjął cygaro i zaczął ćmić, zasnuwając dymem pomieszczenie. Podszedł ktoś z obsługi i zwrócił mu uwagę. Ten popatrzył na tabliczkę z napisem „Uprasza się o niepalenie cygar i papierosów", po czym z pogardą powiedział: „Ja tego psiego języka nie znam". Cała zaś historia skończyła się grzywną dla Bliklego w wysokości 100 rubli oraz nakazem umieszczenia tabliczki w języku rosyjskim. Mowę polską usuwano wszędzie, gdzie było to możliwe – nie tylko z nazw ulic, szyldów czy z wystaw sklepowych, lecz nawet z... tabliczek opisujących rośliny w Ogrodzie Botanicznym! Bolesław Limanowski zapisał: „Jeszcze nie nastąpiło było urzędowe przemianowanie miast polskich, a już urzędnicy dowolnie zmieniali nazwy. Wysłałem kiedyś list polecony do Jędrzejowa. Jakiś młody urzędniczek z miną wyzywa-

FOT. ARCH.

eprasa.pl ea01a01b09

jącą i głupim dowcipem przekreślił tę nazwę i napisał po rosyjsku »Andrejew«". Jak pisze Tuszyńska: „Modlin i Dęblin przechrzczono już dawniej na Nowogieorgiejewsk i Iwanogrod, teraz Chełm na Chołm, Brześć na Brest-Litowsk... W Piotrkowie ulicę idącą w kierunku Krakowa nazwano Donajska". Podobnie rzecz wyglądała w Warszawie – gdzie dajmy na to ulica Erywańska (obecnie Kredytowa) nazwę są brała od Iwana Paskiewicza, czyli hrabiego Erywańskiego. Zresztą po odzyskaniu niepodległości usuwanie rosyjskich tabliczek z nazwami ulic należało do swoistego rytuału patriotycznego. Wydano nawet serię pocztówek, na których widać było legionistów zrywających rosyjskie nazwy. Przed powstaniem styczniowym – właśnie na Erywańskiej Polacy zerwali z budynku czarnego, dwugłowego orła, by umieścić tam polskiego – bowiem w sferze symboliki ulicznej toczyła się swego rodzaju wojna. Rosjanie kazali wywieszać nie tylko herb, lecz także biało-niebiesko-czerwone flagi na budynkach użyteczności publicznej. Te same, która teraz powiewają w Moskwie czy na czołgach rosyjskich niosących śmierć na Ukrainie. To wszystko były jedynie elementy, części składowe owej machiny, której głównym motorem niejako był bat uniesiony wysoko, bagnet nasadzony na karabin, sznur wiszący na szubienicy.

Bandy zbójeckie

Dobrze scharakteryzował system dławienia polskości Stanisław Koszutski w „Co nam Rosja dała i co nam wzięła?": „Istotą systemu rosyjskiego jest władza bezwzględna, oparta na przemocy, gwałcie i terrorze; na samowoli biurokracji, na utrzymaniu narodu w niewolniczej podległości, na bezustannym tropieniu, prowokowaniu i tępieniu z bezlitosnym okrucieństwem wszelkich przejawów istotnej czy domniemanej nieprawomyślności".

Rosjanie stanowili procentowo niewielką część mieszkańców Warszawy, ale istotną – zajmowali bowiem ważne stanowiska w administracji i urzędach. Ale trzeba dodać, że wojsko carskie było liczne – w latach 80. XIX wieku liczyło około 30 tys. ludzi, a przed rokiem 1905 – nawet 50 tys. Ten rosyjski aparat urzędniczy składał się z ludzi o niskim morale i słabym wykształceniu. Chodziło przecież tylko o to, by Polaków „trzymać za pysk". Nawet słowo „dozorca" niesie w języku polskim ślad owej rosyjskiej bytności nad Wisłą. Miał on przecież nie tyle dbać o porządek w budynkach, ile... sprawować nadzór, dozór nad mieszkańcami. Pozostawał taki dozorca w kontakcie z aparatem policyjnym i dostarczał mu odpowiednich informacji o tym, jak zachowują się ci, którzy mieszkają pod przydzielonym mu adresem.

Pisał Piłsudski na łamach „Robotnika" o Rosjanach w Polsce pod zaborami: „Nie wymaga się od nich niczego. Sędzia nie potrzebuje znać prawa, inżynier mechaniki, nauczyciel – pedagogii; dosyć być Rosjaninem, by wszystko, do kas publicznych włącznie, stało dla niego otworem. Synowie więc burżuazji, szlachty i popów, zadowoleni konserwatyści i niezadowoleni liberałowie szli ochoczo na lep rządu i tworzyli bandy zbójeckie, zwane urzędnictwem".

A Rosjanie czuli się w Warszawie jak zwycięzcy z podbitym kraju – traktowali go, jak koloniści kolonię wziętą we władanie. Pili, wyczyniali burdy, hałasowali.

Polacy usiłowali przeciwstawiać się procesom rusyfikacyjnym, jak tylko mogli. Bojkotowano nie tylko bale, rauty czy spektakle teatralne, lecz nawet... papierosy. Uważano bowiem, że zwyczaj ich palenia, który Moskale przywlekli, świadczy o podatności na wpływ Moskwy na duszę i sposób życia Polaka. Unikano także wymawiania rosyjskich nazw miejsc, ulic, budynków – po polsku nazywano to, co polskie zawsze było. Nie wszystkiemu jednak dało się stawić opór. Popularnym stał się zwyczaj picia herbaty, a także stawiania w domu samowaru. Nawet w języku polskim nie dało się wszystkiego obronić. Ot choćby, gdy dzisiaj mówimy na pewien rodzaj twardego, słodkiego cukierka „landrynka", niechcący wspominamy fabrykanta rosyjskiego Łandriana, który takie słodkości produkował i wprowadzał na polski rynek.

Najtrudniej było obronić polską młodzież przed rusyfikacją w szkołach, choć na szczęście polski dom był ciągle ostoją polskości i patriotyzmu. Rosjanie usiłowali młodych ludzi zmusić do udziału w całym szeregu uroczystości narzucanych przez carskie władze. Wśród nich były też „świetne" okrągłe rocznice – jak 900. rocznica chrztu Rusi w 1888 roku, 300. rocznica przyłączenia Syberii w 1882 roku czy wreszcie... 100. rocznica przyłączenia Krymu do Rosji w 1883 roku.

A zwłaszcza ta ostatnia data dzisiaj jawi się szczególnie wyraziście. Uczniów zaganiano siłą na obchody i zmuszano do śpiewania rosyjskich pieśni. Młodzi patrioci często śpiewali na niby, czyli jedynie ruszali ustami, nie wydając z siebie dźwięku. Nawet to mogło być oznaką siły ducha. Historia pokazała, że Rosjanom tego polskiego ducha zgasić się nie dało. Dobrze to sobie przypomnieć teraz, gdy próbują zgasić ducha Ukrainy, Polski i całej Europy. Znowu próbują... ■

eprasa.pl ea01a01b09



Małgorzata Matuszak

Czym jest... stoicki spokój

Słyszymy często określenie wobec człowieka, który nie poddaje się przeciwnościom losu, że zachowuje „stoicki spokój". Czym jest ów stan, skąd się wzięło to określenie? I dlaczego możemy uważać, słusznie zresztą, że zachowanie stoickiego spokoju właśnie w naszych czasach się przydaje? Jak osiągnąć ów stoicki spokój w obliczu tylu zdarzeń, które wywołują w człowieku duchowy zamęt?

Określenie „stoicki spokój" pochodzi od nazwy dawnej szkoły filozoficznej – stoicyzmu, który narodził się w okresie IV w. p.n.e. w Atenach i trwał nieprzerwanie do czasów Cesarstwa Rzymskiego, w którym był uważany za podstawową filozofię i naukę moralną. Stoicyzm miał również wpływ na dookreślenie ducha filozofii chrześcijańskiej i był uznawany za ważną postawę moralną przez całe średniowiecze. Dziś możemy uznać stoicyzm, wraz z chrześcijaństwem, za jednego z głównych nauczycieli moralnych współczesności. Nauki stoicyzmu bywają bardzo przydatne w zachowaniu równowagi w naszych burzliwych czasach, kiedy to jesteśmy co chwilę wytrącani z równowagi przez wielość trudnych informacji z całego świata, medialny „szum" oraz natłok newsów z mediów społecznościowych.

Właśnie w tak niespokojnych czasach jak współczesne, konieczne staje się praktykowanie cnót stoicyzmu i jego nauki moralnej mówiącej o tym, że najwłaściwszą drogą duchowego rozwoju człowieka jest postępowanie w zgodzie z naturą i niesprzeciwianie się wyrokom losu, a także postępowanie w zgodzie z nakazami rozumu. Ta właśnie droga „pójścia z prądem" zdarzeń, a nie bezpodstawny bunt przeciwko światu, Bogu, który ustala prawa w tym świecie, oraz zrządzeniom losu, gwarantuje osiągnięcie właśnie stoickiego spokoju. Musimy zawierzyć, że tym, co dobre, jest życie w zgodzie z naturą oraz poddawanie się dyktatowi losu, gdyż każde zdarzenie, które nam się przytrafia, nie dzieje się bez powodu, ale ma głębszy sens, który nie zawsze rozumiemy. Zaufanie do świata i Boga pozwala nam zachować stoicki spokój nawet wtedy, gdy nasze sprawy wydają się iść źle i nie po naszej myśli. Stoicyzm nie propaguje jednak bezczynności – stoickie cnoty trzeba ćwiczyć na poligonie życia.

Musimy również doskonalić się moralnie i wypełniać obowiązki, które nakładają na nas społeczność i natura. Życie w zgodzie ze światem i wypełnianie obowiązków pozwala nam słusznie przyjmować dobra, które uzyskujemy w wyniku dostosowania się do prawideł świata. I tak na przykład pracując, otrzymujemy słuszną zapłatę za swoją pracę.

Podstawowym warunkiem osiągnięcia stoickiego spokoju jest rozwijanie cnoty, która stanowi podstawę dobra, a przez to również szczęścia – człowiek dobry jest jednocześnie człowiekiem szczęśliwym. Jednak szczęście nie oznacza w stoicyzmie pomyślnego rozwoju zdarzeń tylko zewnętrznych, gdyż w swojej istocie jest niezależne od świata, lecz zależy od moralnego stanu ludzkiej duszy. Człowiek chcąc osiągnąć stoicki spokój – „apatheię" (gr.), zachowuje niezależność od świata i polega na swojej duszy, która musi być wolna przede wszystkim od zgubnego wpływu namiętności. Stoicy uczą nas, że chociaż niemożliwe jest pozbycie się wszystkich emocji, to od nas zależy, co z nimi zrobimy – kluczowa jest nasza reakcja na to, co nas spotyka, i w jakim stopniu damy się zawładnąć emocjom.

> KAŻDY CZŁOWIEK, KTÓRY CHCE BYĆ ROZUMNY, POSTĘPUJE W ZGODZIE Z NATURĄ, POZOSTAJE WOLNY OD WPŁYWU ŚWIATA ZEWNĘTRZNEGO I NAMIĘTNOŚCI, KTÓRE MĄCĄ ROZUMNY OSĄD SYTUACJI.

Każdy człowiek zatem, który chce być rozumny, postępuje w zgodzie z naturą, pozostaje wolny od wpływu świata zewnętrznego oraz namiętności, które mącą rozumny osąd sytuacji. Spełnienie tych trzech warunków sprawia, że możemy zachować stoicki spokój i cieszyć się szczęściem niezależnie od tego, co nam się przydarza. Trzeba pamiętać o tym, że stoicyzm to w istocie radosna filozofia życia, pozwalająca czerpać z niego to, co najlepsze. Jak pisał Marek Aureliusz: „Jest cechą charakteru doskonałego, że przeżywa dzień każdy jako ostatni i ani niczym się nie trwoży, ani w działaniu nie słabnie, ani nie jest obłudny". ■

eprasa.pl ea01a01b09



„Musimy pokutować ciężko i długo”

eprasa.pl ea01a01b09

„Musimy zrozumieć, że jesteśmy winni i potrzeba może stu lat, aby zmyć z naszych rąk tę winę. Niech wina pomoże nam zrozumieć, że musimy pokutować ciężko i długo” – słowa te kierował do młodzieży niemieckiej w listopadzie 1945 roku niemiecki pisarz chrześcijański Ernst Wiechert. Pisarz uczestniczył w spotkaniach z rodakami, wierzył, że po przegranej wojnie, po upadku hitlerowskiego reżimu, nastąpi duchowe, moralne odrodzenie narodu niemieckiego. Gorzko jednak się rozczarował – Niemcy nie zamierzali zmieniać swojej postawy, nie poczuwali się do winy za zbrodnie.

Dariusz Jarosiński



fot. Wikipedia

Niemiecka ideologia rasistowska zakładająca, że Niemcy należą do rasy nadrzędnej, mającej rządzić całym światem – i mającej prawo sięgać po wszelkie metody do tego prowadzące, mocno zakorzeniła się w świadomości Niemców. Społeczeństwo niemieckie, wychowane w kulcie władzy państwowej, odrzucało krytykę skierowaną przeciwko władzy. Wiechert należał do nielicznej grupy niemieckich pisarzy, intelektualistów, którzy dostrzegali zło zagrażające cywilizacji chrześcijańskiej płynące z ideologii nazistowskiej.

Trzy dzwony kościelne na pożegnanie

Rodacy Wiecherta bardzo źle przyjęli też jego książkę wydaną w 1945 roku pt. „Der Totenwald” („Las umarłych”), w której autor opisywał swój pobyt w więzieniu gestapo w Monachium i w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie w 1938 roku. Rękopis książki, napisanej po wyjściu z obozu, przechował pisarz w podziemnej skrytce w ogrodzie. Było to pierwsze literackie świadectwo o cierpieniach więźniów hitlerowskiego kacetu. W przedmowie napisał: „Relacja ta pragnie być jedynie wprowadzeniem w wielką symfonię śmierci, którą niegdyś napisze powołana do tego ręka”.

Wiechert czuł się osamotniony w swoich dążeniach do sprowadzenia społeczeństwa niemieckiego na drogę pokuty i odkupienia swoich win. Jedynie za granicą, gdzie co jakiś czas wyjeżdżał, by głosić prelekcje, brać udział w dyskusjach, znajdował zrozumienie dla swoich poglądów, tam mógł wyrażać swobodnie swoje myśli. Wiechert był niezwykle popularnym, poczytnym pisarzem za granicą w latach 30. ubiegłego wieku. Jego książki tłumaczono na wiele języków świata również tuż po wojnie. W Niemczech stał się pisarzem-wrogiem niemal numer jeden. W 1947 roku, w wywiadzie udzielonym szwedzkiemu dziennikowi „Stockholms Tidningen”, stwierdził m.in., że stracił wiarę w przyszłość narodu niemieckiego i jest przekonany, iż 60 do 70 proc. Niemców przyjęłoby z otwartymi ramionami Hitlera, gdyby ten miał ponownie kandydować w wyborach.

W tymże samym roku, w rocznicę 60. urodzin, pisarz udał się do obozu w Buchenwaldzie, w którym spędził dwa miesiące. Wygłosił tam przemówienie, komentowane później na łamach niemieckich gazet. Wiechert próbował uświadomić Niemcom ogrom zbrodni popełnionych na innych narodach w czasie wojny. Przekonywał, że za zbrodnie odpowiedzialne jest nie tylko wąskie grono współpracowników Hitlera osądzonych w procesie norymberskim, lecz niemal wszyscy Niemcy powinni uderzyć się w piersi, bo zdawali sobie sprawę z tego, iż głosują w 1933 roku na hi-

eprasa.pl ef01a01b09

tlerowską partię z programem uderzającym w podstawy cywilizacji chrześcijańskiej.

Pisarz został okrzyknięty przez opinię publiczną zdrajcą narodu niemieckiego, doświadczył wielu szykan, agresywnych zachowań ze strony Niemców. W jego bawarskim domu wybito szyby w oknach. Zmuszony był prosić o ochronę domu amerykańskie władze okupacyjne. W 1948 roku Wiechert udał się na emigrację, zamieszkał w Uerikon nad Jeziorem Zuryskim w Szwajcarii. Chory i zawiedziony postawą swoich rodaków, zdążył jeszcze napisać powieść „Missa sine nomine". Zmarł 24 sierpnia 1950 roku.

Wiechert nie zdecydował się na opuszczenie Niemiec w 1933 roku, kiedy większość, przynajmniej liczących się, pisarzy niemieckich wyjechała za granicę, a uczynił to dopiero wówczas, kiedy upadła III Rzesza. Nie mógł się pogodzić z powszechną niemal demoralizacją narodu niemieckiego. Nie miał najmniejszych złudzeń, że proces denazyfikacji był fikcją.

Jego pożegnanie z Niemcami miało charakter symboliczny – ufundował miejscowej parafii katolickiej w Bawarii trzy dzwony kościelne. Pieniądze pochodziły z honorarium autorskiego, które otrzymał od wydawnictwa zagranicznego za wydanie „Lasu umarłych". Kto wie, może te dzwony miały poruszyć sumienia obywateli niemieckich?

▶ Naznaczony przez miejsce urodzenia

„Nie jestem związany z żadną szkołą, nie należę do jakiejkolwiek orientacji, ale pochodzę z odległej krainy, która w dużym stopniu wpłynęła na ukształtowanie mojej osoby, i z owej samotności, w której człowiek może się jeszcze rozwijać i wzrastać. Całe późniejsze życie nie zdołało wymazać tego pochodzenia [...]. Miałem szczęście, że na początku mojego życia stały wokół mnie rzeczy wielkie: [...] las, a na wielkim nieogarnionym niebie przesuwały się potężne chmury. Czuło się w tym wszystkim wymiar nieskończoności. [...] Było bogactwo duszy. Były historie, bajki i wiersze, była Biblia napełniona poezją. [...] To był mój świat leżący na uboczu" – wyznawał u kresu swego życia niemieckojęzyczny pisarz Ernst Wiechert, urodzony 18 maja 1887 roku w do dzisiaj istniejącej leśniczówce Kleinort (Piersławek) na Mazurach niedaleko Mrągowa, w ówczesnych Prusach Wschodnich.

Wiechert, uznawany przez niektórych literaturoznawców za jednego z wybitniejszych pisarzy niemieckich XX stulecia, wymieniany przez Encyklopedię Larousse'a obok Tomasza Manna i Hermanna Hessego, przez innych niedoceniany, a nawet lekceważony, niezwykle poczytny w Niemczech w latach 30. ubiegłego wieku, jak rzadko który twórca został naznaczony przez miejsce urodzenia. Pod wpływem mazurskiej przyrody, jej odwiecznych praw, a także za sprawą prostych mieszkańców Mazur, ukształtował się świat jego wartości. Z krainy dzieciństwa, lektury Księgi Ksiąg – Biblii, z którą rzadko się rozstawał, w której znajdował źródło inspiracji literackich, wyniósł przeświadczenie, że trwały ład społeczny można zbudować, jedynie opierając się na tradycji Boskiej, bo, jak pisał, „Gdzie obala się Boga, wali się wkrótce i wszystko inne".

Wiechert musiał mierzyć się w swoim życiu z wieloma przeciwnościami losu. W 1912 roku jego matka, najprawdopodobniej cierpiąca na depresję, popełniła samobójstwo. Życie odebrała sobie również w 1929 roku pierwsza żona pisarza, Meta. Jego młodszy brat, Paul, zmarł w wieku 5 lat na szkarlatynę. Grób Paula znajduje się w lesie, nieopodal leśniczówki Piersławek. Żona pisarza, Meta, została pochowana nad jeziorem Majcz w Puszczy Piskiej obok grobu żyjącego zaledwie jeden dzień ich synka. Było to jedyne dziecko pisarza.

W Królewcu ukończył Wiechert gimnazjum i studia na Uniwersytecie Albertina. Studiował przyrodoznawstwo, filozofię, filologię germańską i angielską. Jak widać, posiadał szerokie zainteresowania. W tym mieście pozostał też po studiach – był nauczycielem w królewieckim gimnazjum. Wówczas ujawniła się jego niezwykła umiejętność nawiązywania dobrego kontaktu z młodzieżą. Po wybuchu I wojny światowej zgłosił się do wojska jako ochotnik, walczył pod Verdun i dosłużył się stopnia oficerskiego. Po wojnie nadal pracował jako nauczyciel w Królewcu, a w 1930 roku przeniósł się do Berlina. Tam po raz drugi się ożenił.

Po dojściu do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera i jego Narodowo-Socjalistycznej Partii Robotników (NSDAP), Wiechert nie wyjechał z kraju, jak na przykład Tomasz Mann, Herman Broch czy Bertold Brecht, ale zrezygnował z pracy w szkolnictwie i zamieszkał w miasteczku Ambach nad jeziorem Starnberg w Bawarii. Od tej pory żył z pisarstwa. W 1936 roku pisarz wraz żoną przenieśli się do miejscowości Hof Gagert położonej również nieopodal jeziora Starnberg, gdzie mieszkali do 1948 roku.

▶ Pewność moralna

Pisarz nie zamknął się w swoim domu w Bawarii, jak w wieży z kości słoniowej, lecz widząc zagrożenia płynące ze strony hitlerowskiej władzy, stał się jej surowym krytykiem. Miał już spory dorobek literacki, o czym wspomnę nieco później, był niezwykle popularnym pisarzem, jego książki osiągały olbrzymie wręcz nakłady, były tłumaczone na wiele języków

eprasa.pl ea01a01b09

świata. Spotykał się z czytelnikami na wieczorach autorskich, wygłaszał odczyty. Dostrzegał, jak niemieckie społeczeństwo, w którym panował silny kult państwa, było podatne na głoszoną przez hitlerowców ideologię. Pisarzowi zależało przede wszystkim na uratowaniu młodzieży od wpływów nazistowskiej ideologii.

6 kwietnia 1933 roku wygłosił w auli uniwersyteckiej w Monachium, czyli w jaskini lwa, gdzie zrodził się nazizm, odczyt zatytułowany „Der Dichter und die Jugend" („Poeta i młodzież"). Przestrzegał swych słuchaczy przed łamaniem praw boskich, „przed zbytnią fascynacją zjawiskami dnia", jak to ujął prof. Hubert Orłowski w publikacji „Literatura III Rzeszy". W tym samym roku miał też wykład na uniwersytecie w Hamburgu, odczyt w Lubece, Kopenhadze, Oslo, a w roku następnym w Zurychu. Jego utwory wydawane były w Danii, we Włoszech, w Szwecji, Stanach Zjednoczonych.

Narodowym socjalistom zależało na pozyskaniu do swoich celów politycznych popularnego, cieszącego się uznaniem pisarza. Jednakże chyba po drugim wykładzie Wiecherta, wygłoszonym 19 kwietnia 1935 roku w Audytorium Maximum monachijskiego uniwersytetu, zapał hitlerowców osłabł. Drugi wykład nosił tytuł „Der Dichter und die Zeit" („Poeta i jego czasy"). Pisarz wspominał później o tym wykładzie: „Czułem, jak bardzo napięta atmosfera panowała na uniwersytecie, nie tylko dlatego, że, jak mówiono, wśród słuchaczy znajdował się Himmler. Sala audytoryjna była przepełniona. Widziałem ponad tysiąc twarzy patrzących nieruchomo w moją stronę. Przeważnie należały do młodych osób. Kiedy na nie spoglądałem, wiedziałem również, że przybywając tutaj, postąpiłem słusznie. Teraz nie miałem już najmniejszych wątpliwości. Była to pewność moralna, większa od wszystkich innych pewności tego świata" („Moje życie moje czasy"). Wiechert mówił m.in. do słuchaczy: „[...] Zatem proszę was i zaklinam, byście nie dali się zwieść na manowce milczenia, jeśli sumienie nakazuje wam mówić. Nigdy, moi przyjaciele, zaklinam was, nie należcie do tysięcznej rzeszy tych, o których się mówi, że »żyją na świecie« w strachu, ponieważ nic bardziej nie niszczy szpiku człowieka oraz narodu, jak tchórzostwo".

Zdaniem prof. Orłowskiego, druga mowa Wiecherta na monachijskim uniwersytecie miała ogromny rezonans w III Rzeszy, przedrukowały ją emigracyjne pisma niemieckie. „W formie stenogramów krążyła w kręgach młodzieży. Była m.in. kolportowana w odpisach [...]. Wiechert zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa w związku z olbrzymią popularnością w Niemczech. Polegał zresztą na tej popularności, sądząc, że władze III Rzeszy nie odważą się go prześladować. W 1935 roku czytał również Wiechert (w Kolonii i Lipsku) fragmenty swej powieści »Der weisse Büffel« (»Biały bawół«), w której aluzje do powiązań władzy z prawem III Rzeszy są tak widoczne, że jego własne wydawnictwo Müller–Langen odmówiło wydrukowania tej pozycji. Koloński wieczór autorski został przerwany przez pracowników aparatu Goebbelsa. Zakazano równocześnie Wiechertowi dalszych wystąpień. Pisarz odpowiedział na to listem do Goebbelsa, w którym zarzucił przedstawicielom ministerstwa propagandy brak taktu oraz kultury".

W 1938 roku Wiechert przesłał list protestacyjny do władz hitlerowskich w związku z aresztowaniem i osadzeniem w obozie koncentracyjnym pastora ewangelickiego Martina Niemöllera. Hitler osobiście w czasie spotkania zarzucił pastorowi działalność antypaństwową. Niemöller do 1933 roku popierał działania Hitlera, był zwolennikiem NSDAP, kiedy jednak zorientował się, że wszystkie Kościoły, w tym ewangelicki, będą podporządkowane państwu i jego sile przewodniej, czyli NSDAP, stał się jednym z działaczy ruchu w niemieckim Kościele ewangelickim o nazwie Kościół Wyznający (Bekennende Kirche). Ruch ten odrzucał podporządkowanie się narodowym socjalistom. W zdecydowanej większości Kościoły niemieckie poparły antychrześcijańską politykę Hitlera. Wiechert wystąpił z Kościoła ewangelickiego zinstytucjonalizowanego na znak protestu przeciwko jego uległości wobec partii nazistowskiej.

Buchenwald – las umarłych

W niedługim czasie po wysłaniu listu protestacyjnego, 6 maja 1938 roku, Ernst Wiechert został aresztowany przez gestapo. Wcześniej gestapowcy przeszukali gruntownie jego mieszkanie. Jak zorientował się pisarz, powodem jego aresztowania nie był list protestacyjny w sprawie pastora Niemöllera, lecz jego publiczne wystąpienia. Oficjalnie został aresztowany „z powodu zdecydowanych antypaństwowych poglądów i publicznego wzniecania niepokoju w stosunku do państwa i partii". Pastor Niemöller odmówił złożenia przysięgi wierności Hitlerowi, a także okazał swój krytycyzm wobec anszlusu Austrii. Od powieszenia na szubienicy w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen uratowały pastora protesty zagranicznych środowisk kościelnych.

Do celi w monachijskim więzieniu Wiechert zabrał ze sobą Biblię, ołówek i notes. W więzieniu prowadził zapiski, które zabrano mu przed transportem do obozu w Buchenwaldzie. Z zapiskami wiąże się pewna historia. Otóż w 1965 roku zgłosił się do wydawnictwa niemieckiego K. Descha mężczyzna, jak się okazało, były gestapowiec, który był w posiadania tychże zapisków i za 500 marek odsprzedał je

eprasa.pl ea01a01b09

wydawnictwu. Ukazały się one wkrótce drukiem wraz z listami pisanymi z więzienia do żony i fragmentami „Lasu umarłych". „Mało spałem (...). Czytałem Biblię" – były to słowa zapisane pierwszego dnia pobytu w więzieniu. W więzieniu miewał momenty słabości, notował m.in.: „Czuję się tak, jak gdybym nigdy nie miał stąd wyjść", „Kochany Boże, zachowaj mi mocne serce".

4 lipca 1938 roku został przewieziony do obozu w Buchenwaldzie. Tutaj przekonał się, w jaki sposób, jakimi metodami władza niemiecka kształtuje poglądy ludzi. Główny bohater „Lasu umarłych", zbeletryzowanych wspomnień, które mogły się ukazać dopiero po wojnie, Jan, to alter ego pisarza. „Wiedział, że cały naród w ciągu paru lat stał się narodem pachołków. Pachołkowie na katedrach uniwersyteckich, w sądach, w szkołach, za pługiem, który odkłada ziemię, na mostkach kapitańskich, przed frontem oddziałów wojskowych, za biurkami pisarzy. [...] Nastawała epoka barbarzyństwa i panowanie antychrysta". Jan, a właściwie pisarz, „wszelką ideologię uważał za nieszczęście", w szczególności narodowy socjalizm i komunizm. Jego zdaniem komunizm tak samo jak nazizm odbierał ludziom wolność i godność.

Wiechert czuł się patriotą niemieckim, choć przez całe życie podkreślał swoją odrębność, inność, z racji swego miejsca urodzenia, jakim była mazurska kraina. To miejsce urodzenia naznaczało go, wyróżniało od Niemca urodzonego w Berlinie czy Hamburgu. Notował w 1939 roku słowa, które znalazły się w „Lesie umarłych" i które wydają się być aktualne również dzisiaj: „»To mój naród – myślał Jan – mój własny naród!« Po to, aby go oświecić, oczyścić i wzmocnić poświęcano swe życie. Czynił to także i on, jako pracownik winnicy. To naród, o którym mówiono, że dzięki niemu świat się kiedyś odrodzi, i który wyniósł się ponad inne narody, aby wprowadzić nowe obyczaje, nowe niebo, nowego Boga. Lepsze od obyczajów, nieba i Boga »umierających narodów«. Doszedł w tych godzinach do niezłomnego przekonania, że ta Rzesza rozpadnie się, jeśli nie w ciągu roku i nie w ciągu dziesięciu lat, to na pewno za życia jednego pokolenia. Tak się rozpadnie i zawali, że nie zostanie po niej ani śladu. Będzie wypalona jak wrzód i pozostanie po niej tylko potworna blizna. Na ludzkiej krwi nie da się stworzyć jakiejkolwiek kultury. Państwo można budować na krwi i przemocy, lecz dla wiekuistej wichury jest ono tylko domkiem z kart".

Pisarz poznał obóz koncentracyjny w niedługim czasie po jego założeniu, jeszcze przed wybuchem wojny, kiedy w hitlerowskich łagrach więziono wyłącznie obywateli niemieckich, kiedy zbrodnicza machina dopiero nabierała rozpędu. Jego wiedza o obozie była jedynie cząstkowa. W Niemczech w ostatnich latach następuje wzrost nacjonalizmu, Niemcy wypierają się odpowiedzialności za zbrodnie II wojny światowej, na przykład notorycznie niszczone są miejsca pamięci obozu w Buchenwaldzie, łamane drzewa upamiętniające ofiary niemieckich zbrodni.

Wiechert opuścił obóz 30 sierpnia 1938 roku. Zawdzięczał to swojej żonie i nielicznej garstce przyjaciół, którzy zabiegali o jego uwolnienie w Berlinie. Wkrótce potem pisarz został wezwany na rozmowę z ministrem propagandy Josefem Goebbelsem. Miał wówczas usłyszeć groźby: „Wiemy, że pański wpływ na młodzież jest olbrzymi i niebezpieczny. Jeżeli odważy się pan napisać lub powiedzieć choćby jedno słowo przeciwko naszemu państwu, pójdzie pan znów do obozu, tym razem na całe życie; zniszczymy pana fizycznie". Wiechert przestał wygłaszać przemówienia, znalazł się pod ścisłym nadzorem policyjnym, jego korespondencja podlegała kontroli, podsłuchiwane były rozmowy telefoniczne. Pisarz ograniczył się do kontaktów jedynie z najbliższymi przyjaciółmi, m.in. z pisarzem chrześcijańskim Reinholdem Schneiderem, który nielegalnie wydawał pisma religijne i wiersze.

▶ Więcej niźli ojczyzna

Pisarzowi zezwolono na wydanie jeszcze tylko jednej książki. W 1939 roku ukazała się powieść pt. „Das einfache Leben" („Proste życie"). Profesor Hubert Orłowski napisał, że fakt wydania tej książki „ociera się na pierwszy rzut oka o cud". Powieść „Proste życie" została wydana w nakładzie 270 tys. egzemplarzy. Hitlerowcy obawiali się, jak widać, przede wszystkim wystąpień pisarza, spotkań z młodzieżą, a nie jego książek. Główny bohater „Prostego życia", Thomas von Orla, w istocie alter ego Wiecherta, były oficer marynarki wojennej, po przeżyciach wojennych przechodzi głęboki kryzys, izoluje się od zgiełku, bezsensownej cywilizacji, na samotnej wyspie na jednym z mazurskich jezior. Tutaj stara się znaleźć azyl, spokój duszy, choć nie przychodzi to wszystko łatwo i wymaga silnej woli, zawierzenia Bogu. Historia von Orli może być odczytana jako symptom kryzysu cywilizacyjnego. Nie sposób też nie dostrzec w powieści życiowej drogi pisarza, który nie wyjechał po 1933 roku z kraju, lecz udał się na „emigrację wewnętrzną". Po wojnie został uznany przez literaturoznawców, historyków za emigranta wewnętrznego obok kilkorga autorów o proweniencji chrześcijańskiej – Reinholda Schneidera, Jochena Kleppera czy Gertrudy le Fort.

Pierwszą powieść pt. „Die Flucht" („Ucieczka") napisał Wiechert, idąc na front, ukazała się w 1916

eprasa.pl ea01a01b09

roku pod pseudonimem autora Ernst Barany Bjell. Zdaniem prof. Wojciecha Kunickiego, wrocławskiego germanisty, pierwsze książki Wiecherta nawiązują do dość powszechnej wówczas w Niemczech postawy neopogańskiej, rewolucji konserwatywnej, akceptacji „wojowniczego nietzscheanizmu".

W późniejszych latach Wiechert wiele by dał, żeby wymazać ze swej twórczości pierwsze książki. Książką „Die kleine Passion" („Mała pasja"), wydaną w 1929 roku, zaczął nowy rozdział w swojej twórczości, czerpiąc inspirację z Biblii, idei chrześcijańskich. Za arcydzieło została uznana przez wielu krytyków literackich krótka powieść „Die Magd des Jürgen Doskocil" („Służąca Jürgena Doskocila"), która ukazała się w 1932 roku. Sam autor zresztą wysoko ją cenił.

Wspomniany już prof. Wojciech Kunicki uważa, że: „Konserwatywne poglądy sprzyjały jego [Wiecherta – przyp. D.J.] krytycyzmowi wobec narodowego socjalizmu. Pisarz postrzegał w nim przede wszystkim antytradycjonalistyczną siłę, niszczącą przestrzeń kultury".

Warto odnotować w dorobku twórczym Wiecherta książkę wspomnieniową, autobiograficzną „Wälder und Menschen: Eine Jugend in Ostpreussen" („Lasy i ludzie. Młodość"), która pojawiła się w księgarniach w 1936 roku. W tymże też roku po raz ostatni odwiedził rodzinne strony, pożegnał się z umierającym ojcem. „Miejsce, w którym wzrosłem – wspominał – było dla mnie czymś więcej niźli ojczyzną. Zatraciłbym się niby tułacz, gdybym nie wrósł w nie korzeniami". Miejsce urodzenia stało się dla pisarza miejscem odniesienia zasad moralnych. Tak zwane proste życiowe prawdy, mające swe źródło w Biblii, niełatwe do zaakceptowania przez wielu ludzi, wyszydzane i ośmieszane, pozwoliły Wiechertowi na uratowanie godności w okresie narodowego socjalizmu. Pisarz podkreślał też, jak ważna w jego życiu była lektura Księgi Ksiąg: „Nie wstydzę się łez wypłakanych nad kartami Biblii. O ile uboższe i surowsze stałoby się moje życie, gdybym nie był wówczas zdolny oddać się z tak bezgraniczną namiętnością owemu światu [...]".

Po wojnie, oprócz wspomnianego „Lasu umarłych", ukazały się dwie bardzo ważne książki, a mianowicie dwa tomy „Die Jeromin Kinder" („Dzieci Jerominów") (1945–1947) i „Missa sine nomine" (1950). Powieść „Dzieci Jerominów" uznawana jest za najwybitniejsze dzieło pisarza. Jest to historia mazurskiej wioski zagubionej w Puszczy Piskiej nad Jeziorem Nidzkim, wioski, która istniała w rzeczywistości, przedstawionej na przykładzie wielodzietnej rodziny węglarza Jeromina. Pierwszy tom rodzinnej sagi Jerominów powstał w czasie wojny, drugi już po niej. Powieść inspirowana była Biblią. Czytelnik bez trudu rozpozna podobieństwo między zachowaniem niektórych postaci biblijnych a bohaterów powieści. Mieszkańcy wioski, archetypicznej wspólnoty, są nosicielami odwiecznych prawd: „Można się zaprzeć własnej krwi, ale nie słów Chrystusa", „Tak napisano i tego trzeba się trzymać". Są przeświadczeni, że trwały ład społeczny zbudować można tylko opierając się na tradycji Boskiej: „Gdzie obala się Boga, wali się wkrótce i wszystko inne". Wierzą, iż władza ma spełniać cele etyczne, krzewić cnotę i wartości moralne.

Mieszkańcy Sowirogu z tą samą nieufnością potraktowali w 1933 roku przybyłych do wioski hitlerowskich propagandystów, jak i zmierzające ku granicy z Polską niemieckie czołgi we wrześniu 1939 roku, podobnie też zareagowali, kiedy do wioski dotarły czołgi sowieckie zimą 1945 roku.

Ostatnia książka napisana przez Wiecherta, „Missa sine nomine", ukazała się w Polsce w 1958 roku jako pierwsza. Edytorem tej powieści, niestety ocenzurowanej, był Instytut Wydawniczy PAX. Pisarz podjął się próby opisania środkami literackimi, artystycznymi sytuacji w Niemczech tuż po wojnie. Jest to historia trzech braci baronów pochodzących z Prus Wschodnich, którzy osiedlili się w Niemczech Zachodnich w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Każdy z braci dźwiga inny bagaż przeżyć, doświadczeń. Dokonują rozrachunku popełnionych w czasie wojny win. Fabuła powieści nasycona jest mocno emocjami, odniesieniami do Biblii. Wartości Ewangelii pozwoliły braciom na odzyskanie sensu życia. Wiechert wierzył, że literatura ma dużą moc sprawczą w przekazaniu odwiecznych wartości.

***

Dla Ernsta Wiecherta nie było miejsca w Niemczech tuż po wojnie i nadal go nie ma – jest pisarzem niemal nieznanym, zapomnianym, istnieje jedynie w wąskim kręgu literaturoznawców. Od czasu do czasu przypomną sobie o nim środowiska ziomkowskie, ale jedynie widząc pisarza w roli „piewcy Prus Wschodnich". W Polsce, a w szczególności na Mazurach i Warmii, Wiechert przeżywał swój renesans w latach 80. i 90. ubiegłego wieku. Leśniczówka Piersławek, tak jak przed 135 laty, kiedy urodził się tutaj pisarz, nadal jest leśniczówką zamieszkaną przez rodzinę leśniczego. W 1996 roku powstała w jednym z budynków Leśna Izba Pamięci poświęcona autorowi „Lasów i ludzi" i „Dzieci Jerominów". Odwiedzając Mazury, warto tutaj zajrzeć. Warto też sięgnąć po książki Ernsta Wiecherta. ■

eprasa.pl ea01a01b09





1. Wędrowcy leśni, którzy ponad wszystko umiłowali kanadyjskie knieje; 2. Tak mógł wyglądać Logan, dawny wódz Irokezów; 3. Mały Indianin Cree ze swoją mamą; 4. Fiedler wraz z młodymi Irokezkami; 5. Fiedler opiekuje się maluchem z plemienia Cree.

Kanadę – niezgłębioną krainę skalistych wysp i cudownych jezior, napełnioną szumem jodeł i świerków, ojczyznę Irokezów i Indian Cree, przemierzaną przez kolonizatorów i poszukiwaczy złota – odkrywał jako jeden z pierwszych dla literatury polskiej Arkady Fiedler w niezapomnianym zbiorze reportaży „Kanada pachnąca żywicą" (1935).

Agnieszka Kowalczyk

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ I WOLNOŚCIĄ

eprasa.pl ea01a01b09


2


3


4


5

FOT. ARCH.

Arkady Fiedler, ten najsłynniejszy chyba globtroter II Rzeczypospolitej i niezrównany gawędziarz, po powrocie znad rozognionej słońcem Amazonki (1934) zatęsknił szybko za życiem w głuchych ostępach kniei i już w lipcu 1935 roku wyprawił się w kolejną podróż za ocean. Tym razem w głąb kanadyjskiej puszczy, która jawiła mu się jako „potęga fantastyczna, zniewalająca, nieprzebrana i niebezpieczna", działająca jak mocny narkotyk. Znalazłszy się w mateczniku odwiecznych praw natury, sam stawał się dzikusem, pił „wielkimi haustami nieskażoną pierwotność przyrody", dotykał „majestatu nieskończoności" i rozkoszował się nadzwyczajnym poczuciem swobody.

U polskiego trapera

Prawdziwą radość życia odnalazł z dala od wielkomiejskiego zgiełku Montrealu i Ottawy, z chwilą gdy owładnął nim upajający zapach żywicy, a domem stała się leśna chata nad rzeką Lièvre. Wówczas to u jego stóp legł opromieniony słońcem świat kanadyjskiej natury, przesycony wszystkimi odmianami zieloności. Z lubością wędrował wśród dębów, leszczyn, buków i jesionów, pod rozłożystymi baldachimami cienistych klonów, z których na wiosnę wytaczano garncami słodki syrop. Podziwiał krasę miodnych lip i szumiących brzóz, a nade wszystko przesyconych aromatem żywicy sosen, jodeł i świerków – znanych mu tak dobrze z europejskich kniei, ale tu jakby silniejszych, roślejszych i radośniejszych.

W tej pulsującej zielenią krainie lasów, jezior i wzniesień, nad rzeką St. Denis Creek urządził sobie swoją samotnię polski emigrant Stanisław, przybysz z okolic Środy Wielkopolskiej, który odnalazł swoje szczęście w leśnej głuszy Quebecu. Do Ameryki uciekł przed poborem do armii pruskiej i aby przeżyć na obcym lądzie chwytał się przeróżnych zajęć – był konduktorem tramwajowym, robotnikiem fabrycznym, myśliwym pośród Kaszubów w Otter Lake, aż do momentu gdy kanadyjski las nie wziął go w swe posiadanie. W istocie miał małe potrzeby – polował, zbierał jagody, łowił ryby, świetnie radził sobie w roli krawca, szewca, lekarza i stolarza. Był głęboko wierzący. Człowiek ten, z natury pogodny i dobroduszny, którego życie wypełniała „świadomość puszczy i Boga", stał się dla Fiedlera przewodnikiem na leśnym szlaku, odkrywając przed nim tajnie toczącego się wokół życia.

Często wypływali razem lekkim i śmigłym indiańskim canoe na wody rzeki Oskélanéo, która przenosiła ich w pełną osobliwości krainę rozlewisk, jezior i wodospadów. Serce tego labiryntu wód, zwanego Rezerwuarem Gouin, stanowiło jezioro Obijuan, z którego na południe wypływała rzeka St. Maurice, piętrząca się

cmas.pl e01a01b09

spienionym wodospadem Iroquois Chute. Było to królestwo kamienia i wody, ciągnące się niczym „jedna skalna tarcza" kilka tysięcy kilometrów wokół Zatoki Hudsońskiej i opromienione wierzeniami dawnych Indian, mówiącymi o odwiecznej walce Nanabosho – ducha dobra, słońca i światła z Czakenapenokiem – duchem zła, księżyca i ciemności. Indianie żywili przekonanie, że „ginąc, zły duch pękał ze złości i zamieniał się w skały, góry i kamienie".

Nie mniej od dziwów kanadyjskiej przyrody pociągało polskiego podróżnika życie pradawnych mieszkańców puszczy, którzy potrafili czytać z księgi natury. Takimi byli Indianie Cree z Obijuanu, którzy „przepowiadali pogodę z wyglądu roślin, wyczuwali głos ptaka, określali dzieje złamanego źdźbła trawy, odsłaniali tajemnicę tropu. Mądry bóbr był ich bratem [...]; silny niedźwiedź był ich kuzynem, cierpliwe drzewo ich przyjacielem [...]. Na równi z nimi byli mieszkańcami puszczy i dlatego, jak puszcza, byli czujni, uczciwi, wspaniałomyślni i pełni godności" .

Należeli do potężnego szczepu, którego domem były kanadyjskie knieje rozciągające się na południe i na zachód od Zatoki Hudsońskiej. Choć zdarzało się im ścierać ze Sjuksami i Czarnymi Stopami, nie mieli natury agresorów żądnych podboju i gotowi byli nawet odstąpić część swoich łowisk szczepowi Assiniboinowów. Jako doświadczeni myśliwi wspierali także białych. Dostarczali Anglikom i Francuzom całych stosów drogocennych skórek i służyli im za przewodników podczas wypraw na grubego zwierza i ekspedycji w poszukiwaniu minerałów. Dlatego też biali zabiegali o Indian Cree, wznosząc im szkoły, kościoły, schludne domki zaopatrzone w maszyny do szycia i tarki do prania. W ciągu dnia czerwonoskórzy korzystali wprawdzie z dobrodziejstw cywilizacji, ale na noc przenosili się obyczajem swych przodków do rozstawionych na ziemi namiotów.

A wokół panował niepodzielnie las północny i upajał majestatem splecionych ze sobą czterech żywiołów: wody, skał, wzgórz i drzew, które „stworzyły nadzwyczajny fenomen i niekończącą się serię kuszących krajobrazów". Dostojne piramidy zieloności, owe „uroczyste wieżyce, których wysmukłe czuby modliły się do nieba", przepajały wszystko odurzającym zapachem żywicy, „tak mocnym, jak gdyby ktoś rozrzutny palił w lesie furę najcenniejszego kadzidła".

▶ Irokezi – „Rzymianie puszczy"

Fiedler nie byłby sobą, gdyby nie zgłębił dziejów najbardziej wojowniczych Indian Ameryki Północnej – Irokezów, którzy weszli na wojenną ścieżkę z Francuzami, przyczyniając się do zagarnięcia przez Anglików terenów nad rzeką Św. Wawrzyńca.

Nad innymi szczepami Irokezi górowali hartem ducha, niezłomną odwagą i świetną organizacją plemienną. Swoje siedliska zakładali na południe od jeziora Ontario, ale ciągle żądni nowych ziem „byli wrogami wszystkich, którzy nie chcieli im się podporządkować, nikogo nie oszczędzali, spadali jak grom, szerząc paniczną trwogę", niesyci skalpów i sławy.

„Małomówni, opanowani, łączyli w sobie ponurą dostojność puszczy z żarem i pragnieniem spełnienia wielkich czynów – pisał o nich Fiedler – mieli twarze surowe i niepozbawione dumnej urody, ciała wspaniałych atletów, wysmukłe i silne. Ich to postać i srogie obyczaje zabarwiły romantyczną wyobraźnię Europy XVIII wieku i wytworzyły tu pojęcie o czerwonym wojowniku". Rośli w siłę dzięki jedności i solidarności plemiennej, tworząc federację najpierw pięciu, potem sześciu szczepów (Mohawków, Oneidów, Onondagów, Kajugów Seneków i Tuskarorów), składającą się na „mocny i mądry organizm państwowy".

Zupełnym zaskoczeniem dla Fiedlera był fakt, że tymi twardymi, bezlitosnymi wojownikami rządziły... kobiety. Podczas gdy mężczyźni zajęci byli walką, czuwały nad kultywowaniem pradawnych obyczajów, stały na straży domowego ogniska, zajmowały się uprawą roli i wychowaniem dzieci. Do nich należało ostatnie słowo w sprawie wojny i pokoju. To one decydowały o wyborze wodzów i losie jeńców wojennych, miały w swym posiadaniu ziemię, dom, cały dobytek, a nawet wielkie zdobyczne dobra.

Wyniszczeni wojną z Francuzami Irokezi, wykorzystani przez Anglików dla celów kolonizacyjnych, stracili swą niezależność, a ich słynące z wojowniczości plemię stało się jak lew dogorywający w klatce. Gdy Fiedler zawitał do rezerwatu Irokezów w Caughnawaga, ujrzał zamkniętych w tej sztucznej osadzie skarlałych duchem potomków dawnych „Rzymian puszczy". Pośród kilkuset drewnianych baraków snuły się nędznie odziane i jakby pozbawione życia postacie. Gdzieniegdzie stały kioski, otwierające przed turystą możliwość nabycia jakiejś kiczowatej pamiątki indiańskiej, wody Canada Drink czy fotografii z Irokezem w tradycyjnym stroju wojownika, o dumnym i groźnym wzroku. Współcześni Irokezi pozowali do tych zdjęć za parę groszy. Było to ich jedyne zajęcie, bo biały człowiek zapewnił im dach nad głową, ale zabrał wolność, honor i sens życia.

▶ Irokez, który ukochał białe dzieci

O dramacie Indian Ameryki Północnej mówi bodaj najwymowniej przytoczona przez Fiedlera opowieść o irokeskim wodzu imieniem Logan, który żył w drugiej połowie XVIII wieku, w czasach, gdy „biali ludzie byli drapieżni, nienawidzili się wzajemnie i przelewali

eprasa.pl ea01a01b09

krew, własną między sobą, i krew Indian. Indianie zaś bronili się zaciekle". Jedyną postacią jaśniejącą na tle tej znaczonej ogniem i żelazem epoki był wojownik o wielkim sercu, indiański wódz i przyjaciel białych – Logan: „Gdzie tylko mógł, wyświadczał im dobrodziejstwa, zbłąkanych wyprowadzał z kniei, niedoświadczonym osadnikom udzielał rady, wędrownych kupców brał w opiekę; niejeden biały zawdzięczał mu życie". Najbardziej jednak ukochał europejskie dzieci o jasnej skórze i złotych włosach, które uszczęśliwiał opowieściami o tajemnicach lasu.

W tym to czasie na terytorium Stanów Zjednoczonych, przy granicy z Kanadą, doszło do eskalacji konfliktu między nienawidzącymi Indian Wirgińczykami a żyjącymi w przyjaźni z czerwonoskórymi Pensylwańczykami. W końcu wybuchła pomiędzy nimi wojna i gubernator Wirginii wysłał swoje wojsko przeciw Pensylwanii. Dowodzący nim kapitan Conolly, nie chcąc dopuścić, by Indianie wsparli zbrojnie wroga, wystosował orędzie do białej ludności pogranicza, które brzmiało jednoznacznie: „Każdy Indianin jest złym Indianinem, dobrym jest tylko nieżywy Indianin". Rozpoczęła się krwawa rzeź z udziałem zarówno szumowin społecznych, jak i statecznych kolonistów. Mieszkająca w tych stronach, nad rzeką Yellowstone, rodzina Logana czuła się jednak bezpieczna, „ufna w sławę i cześć", jaką biali otaczali głowę ich rodu. Za to nadmierne zaufanie przyszło im jednak zapłacić najwyższą cenę. Niejaki awanturnik Greathause, wykorzystując moment nieobecności Logana, uwięził podstępnie jego bliskich, upił do nieprzytomności, a ich bezwładne ciała ułożył na tratwie puszczonej z prądem wody. Wraz z kilkoma innymi kolonistami urządził makabryczne igrzyska śmierci: „Z odległości kilkudziesięciu kroków osadnicy rozpoczęli do tratwy kanonadę. Kule dobrze trafiały, w krótkim czasie cała rodzina Logana poniosła śmierć – z wyjątkiem jednego chłopczyka". Wtedy też nastąpił ostatni akt dramatu – Greathause zarządził konkurs, którego zwycięzcą miał być ten, kto pierwszy zastrzeli indiańskie dziecko. Strzały oddawano kolejno, aż do skutku. W pewnym momencie dziecko zakwiliło i wpadło do wody. Na wieść o tej masakrze „lasy zatrzęsły się z oburzenia. Czerwoni wojownicy chwycili za broń i rzucili się do walki rozpaczliwej i beznadziejnej. Wiódł ich Cornstalk, wódz Szawanów. Gęste lasy nad rzeką Ohio stały się świadkami jednej z ostatnich tragedii czerwonego ludu. Był to rok 1774".

Logan zaś na widok pomordowanych, padł na ziemię i przeleżał na niej długie godziny. Jego umysł ogarnęły szaleństwo i żądza zemsty. Od tego czasu z furią rzucał się na białych, wycinał ich w pień, nie znając litości. Fiedler pisze, że „nie wyleczył się z czasem. Całymi dniami trwał w posępnym zamroczeniu. Pił chciwie wódkę, napój zapomnienia. Unikał ludzi, zdziczał, wynędzniał, opłakany strzęp dawniejszego wodza, wspaniałego Logana. [...] Zgasło do cna tak gorące ongi serce".

Bojownik o wolność Kanady

Zgłębiający dzieje Nowego Świata Fiedler odsłania przed swymi czytelnikami historie odważnych, twórczych i energicznych ludzi, którzy kształtowali nowe oblicze Kanady jako ziemi wolności i enklawy postępu. Jednym z nich był podający się za Polaka Fin Mikołaj Gustaw Szulc – legendarny bohater Polonii kanadyjskiej. Fiedler podaje, że jako młody inżynier pracował wraz z ojcem w kopalni soli w Wieliczce, a gdy wybuchło powstanie listopadowe, zaciągnął się w szeregi walczących o wolność. Po klęsce narodowego zrywu wraz z grupą kilkuset wygnańców przepłynął Atlantyk i w marcu 1834 roku dotarł do Nowego Jorku. „Po zaśniedziałej Europie, w owych czasach kontynencie despotyzmu i więzień, Ameryka wydała się Szulcowi prawdziwym rajem wolności. «Azylum ludzkości», jak już w drugiej połowie XVIII stulecia nazywał ją amerykański patriota Tom Paine, była także i dla Szulca – jak pisał Fiedler – krajem-objawieniem, w którym poglądy Lelewela i zaklęcia Mochnackiego stawały się, w mniemaniu prześladowanego wygnańca, żywym ciałem i pulsującą krwią".

Mikołaj Szulc zatrudnił się w jednej z kopalni soli i wykorzystując własne doświadczenie i pomysły, modernizował prymitywne metody wydobywcze i upowszechniał własne wynalazki, dorabiając się z czasem niemałej fortuny. Uśmiech losu nie zagłuszył jednak jego sumienia i zamożny obywatel Salinas „wyostrzonym słuchem wychwytywał skargę ludzi uciskanych na całym świecie".

W tym zaś czasie w sąsiedniej Kanadzie „panował despotyzm reakcji". Najsilniejszą pozycję zajmowali wierni Koronie Brytyjskiej przeciwnicy amerykańskiej rewolucji, którzy, jak podkreśla Fiedler, „w krótkim czasie zagarnęli wszystkie intratne urzędy i patrzyli na kraj jak na własną, prywatną domenę", co stanowiło „klarowny przykład brutalnego cynizmu klasy rządzącej, nieukrywającej swej drapieżności".

Przeciwko tym despotycznym zapędom w 1837 roku podnieśli się zarówno anglojęzyczni mieszkańcy Górnej Kanady, którym przewodził William Mackenzie, jak i francuskojęzyczni z Dolnej Kanady pod wodzą Louisa-Josepha Papineau. Domagali się wcielenia w życie zasad demokratycznych, o których nie chcieli słyszeć brytyjscy gubernatorzy i wspierający ich lojaliści. Rebelianci zmierzali zatem do obalenia kolonialnych rządów brytyjskich i stworzenia republiki na wzór ustroju politycznego Stanów Zjednoczonych. Bojownicy wolności dochodzili zbrojnie swych praw w Toronto

eprasa.pl ea01a01b09

i w okolicach Montrealu, ale siły wojska i milicji porządkowej po kilku tygodniach stłumiły rewolucyjne wrzenie. Zwyciężonych wtrącono do więzień, a przywódców powstania publicznie powieszono. Aby kontynuować działania na rzecz sprawy wolnościowej, wielu ratowało się ucieczką do Stanów Zjednoczonych, gdzie zaczęły powstawać „półtajne oddziały do walki z kanadyjską tyranią", zwane powszechnie lożami strzeleckimi. We wrześniu 1838 roku doszło do zjazdu w Cleveland, podczas którego obrońcy wolności uchwalili konstytucję republiki kanadyjskiej i przedsięwzięli plan zbrojnego opanowania kraju. Wierzono, że wraz z przekroczeniem granicy przez pierwsze oddziały ochotników powstanie cała Kanada, a despotyczne rządy zostaną obalone.

Jednym z orędowników tej wielkiej sprawy stał się właśnie Mikołaj Szulc, który zaangażował się po stronie walczących o swoje prawa. Jego dom stanął otworem dla bojowników o wolność Kanady, w tym dla głównego przywódcy ruchu – Williama Mackenziego. Wstąpił więc do ochotniczych szeregów, przeznaczył na rzecz rewolucji większą część swojego majątku, wystawił i wyposażył własnym sumptem stusiedemdziesięcioosobowy oddział i stanął na jego czele. Celem pierwszej operacji, w której uczestniczył, było opanowanie miejscowości Prescott na kanadyjskim brzegu rzeki św. Wawrzyńca. W akcji miały wziąć udział trzy oddziały, ale na miejsce dotarł tylko jeden – dowodzony właśnie przez Szulca. Gdy podpłynął on pod Prescott, miasto zostało już zaalarmowane i czekało w gotowości do obrony. Po wylądowaniu obok opuszczonego wiatraka i kilku solidnych budowli, z których uczynił redutę, nie doczekawszy się na nadpłynięcie posiłków, postanowił walczyć z garstką swych żołnierzy.

„W tej decyzji – jak pisze Fiedler – był heroizm, nie było szaleństwa. Doświadczony żołnierz trzeźwo oceniał sytuację wojskową. Był niezłomnie przekonany, że jego pojawienie się w ciemiężonym kraju stanie się hasłem do ogólnego powstania". Stało się jednak inaczej. Na polu walki pozostał sam ze swymi podkomendnymi – młodymi ideowcami, wśród których znalazło się też i kilku Polaków, m.in. Ernest Berend i Jan Okoński. Z pierwszej próby ognia wyszli zwycięsko, rażąc przeciwnika i zadając mu ciężkie straty. Kanadyjczycy nie poderwali się jednak do walki. Zbawczy okręt z pomocą, o którą prosił Szulc przez posłańca, wypłynął zbyt późno, gdy rzekę opanowały już wrogie kanonierki. Świadomy, że jego ludzi czeka pewna śmierć na szubienicy, postanowił się bić do upadłego: „Huragan z dział i karabinów otworzył ostatnią walkę. Ochotnicy bronili się z bezprzykładnym męstwem. Sypał się na nich deszcz żelaza i gruzu, lecz oni spod gruzów prażyli, zadając straty. Nie dopuszczali wroga do siebie. Wiedzieli, że to ostatni ich opór, lecz nie tracili ducha. Szulc był wszędzie; widziano go na każdym zagrożonym odcinku przyczółka. Porywał swym przykładem ludzi, dowódca czujny, żołnierz nieulękły. Mimo to trudno zrozumieć, jak ochotnicy mogli utrzymać się w tym piekle przez tyle godzin, od południa do wieczora". Ich ostateczną klęskę przypieczętował brak amunicji. Wybici zostali co do jednego przez rozjątrzoną żądzą mordu i odwetu milicję, która bezrozumnie strzelała do pojmanych i dobijała rannych. Ostatnim schwytanym był Szulc, przywódca najpoważniejszego w powstaniu kanadyjskim starcia, które przeszło do historii jako bitwa o wiatrak (the Battle of the Windmill Point – 16 XI 1838). Jego obrony podjął się John Alexander Macdonald, w przyszłości pierwszy premier Kanady. Mimo podjętych przez niego wysiłków Szulc skazany został na śmierć przez powieszenie wraz z dziewięcioma innymi uczestnikami powstania. Uznając go za polskiego oficera, egzekucję wykonano oddzielnie – w Fort Henry, 8 grudnia 1838 roku.

W rzeczywistości wraz ze swym dzielnym oddziałem Mikołaj Szulc moralnie wygrał „bitwę o wiatrak", choć sprawiedliwość oddano mu dopiero po śmierci. Kilka miesięcy po jego straceniu parlament brytyjski, zaniepokojony tym, co dzieje się w kanadyjskiej kolonii, wysłał tam dla zbadania sytuacji lorda Johna Durhama, który złożył swym zwierzchnikom odważny raport mówiący „o konieczności ukrócenia bezprawia w Kanadzie i przyznania jej samorządu". Ofiara Szulca nie była bezowocna – Kanada „w 1840 roku otrzymała zalążki rządów parlamentarnych, pierwszy krok do wywalczenia sobie statutu dominium".

▶ Kazimierz Gzowski – budowniczy Kanady

W tym samym czasie co Szulca na kanadyjską ziemię los rzucił podporucznika Kazimierza Gzowskiego, który wywodził się z polskiej szlachty kresowej. W 1830 roku miał 17 lat, był absolwentem Liceum Krzemienieckiego i saperem w carskim Korpusie Inżynierów. Gdy wybiła godzina próby, zdezerterował i wstąpił do powstańczej armii polskiej, służąc pod rozkazami Józefa Dwernickiego. Bił się pod Stoczkiem, Grochowem, wziął udział w wyprawie wołyńskiej. Po klęsce powstania został internowany i uwięziony przez Austriaków, a następnie zmuszony udać się na tułaczkę za ocean.

Szczęścia szukał najpierw w Stanach Zjednoczonych, w owym „pionierskim kraju Jankesów", gdzie został adwokatem, a potem inżynierem. Pierwszym jego odpowiedzialnym zadaniem było wytyczenie i budowa linii kolejowej biegnącej z Nowego Jorku do rejonu Wielkich Jezior. Na pograniczu kanadyjskim spotkał dawnego przyjaciela swojego ojca – gubernatora generalnego Kanady, sir Charleya Bagota, który otworzył przed nim nowe perspektywy pracy w swoim kraju wy-

eprasa.pl ea01a01b09

magającym pionierskich przedsięwzięć. I tak został kierownikiem robót publicznych w zachodnim Ontario, gdzie torował drogę nowoczesności, wprowadzając w życie najnowsze zdobycze techniki podczas budowy i konserwacji dróg, portów i latarni morskich nad jeziorami Erie i Huron. Gdy wzniósł most na rzece Thames, mieszkańcy pobliskiego London nie wierzyli, że ta żelazna konstrukcja, tak lekka i misternie spleciona, będzie w stanie utrzymać większy ciężar. Chcąc ich przekonać do swego dzieła, Gzowski namówił stacjonującego w pobliżu dowódcę pułku artylerii, by jego bateria przemaszerowała przez nowo powstały obiekt. Oficer zgodził się, choć postawił warunek – pod mostem ma stanąć jego twórca. „Bateria szczęśliwie przeszła – opowiada Fiedler – przeszedł cały pułk. Inżynier i most zdobyli zaufanie ludności, tak tutaj, jak i wszędzie". Wierząc w olbrzymi potencjał kolei żelaznej, przyswajał sobie jej techniczne tajniki, by przeprowadzić w latach 1849–1853 pierwszą w historii linię kolejową łączącą Kanadę ze Stanami Zjednoczonymi. Jednocześnie stworzył własne przedsiębiorstwo budowy żelaznych szlaków (Gzowski and Company) i zapoczątkował w Kanadzie wykorzystanie stali w konstrukcji dużych mostów. Pierwszy taki stalowy most kratowy zbudował na rzece Humber, inny jeszcze, skrzynkowy, przeprowadził przez Grand River, wznosił je także nad dolinami rzek Credit i Eramosa. Założył też pierwszą w Kanadzie wytwórnię szyn kolejowych w Toronto. Największym jednak osiągnięciem jego inżynierskiego geniuszu była budowa najdłuższego naówczas w Ameryce Północnej mostu (1100 m) przeprowadzonego przez rzekę Niagarę i łączącego Kanadę ze Stanami Zjednoczonymi – „owoc trzyletniej zaciętej walki między człowiekiem i żywiołem" (1870–1873). Most zaopatrzony w środkowe przęsło obrotowe uznany został za cud architektoniczny swoich czasów i za „jedną z najbardziej gigantycznych prac na kontynencie amerykańskim".

Gdy Kanadzie zagroziła wojna ze Stanami Zjednoczonymi, podjął się opracowania szczegółowego planu jej obrony, gotów finansować z własnej kieszeni budowę arsenałów i fabryk broni. W całym kraju zakładał ponadto związki strzeleckie, które w krótkim czasie pod jego kierownictwem przerodziły się w prężnie działającą organizację wojskowo-narodową.

Za znaczące zasługi dla Kanady angielska królowa Wiktoria mianowała go swoim honorowym adiutantem, odznaczyła Orderem Św. Michała i Św. Jerzego, przyznając mu tym samym szlachectwo brytyjskie. Całe jego życie porównał Fiedler do pełnego chwały eposu bohaterskiego „tworzonego na mapie Kanady i pisanego nie zwykłym słowem, lecz pieśnią mostów, szos, portów, latarń morskich".

Kanadyjski lirnik z polskiej wsi

Fiedlerowską galerię Polaków, którzy pozostawili po sobie niezatarty ślad w Kanadzie, dopełnia portret Jana Flisa, urodzonego pod koniec XIX wieku w chłopskiej rodzinie we wsi Gawłuszowice nad Wisłoką. Był bardzo zdolny, lecz zbyt ubogi, by uczyć się dalej w gimnazjum. „Osiemnastoletni Flis – jak kreśli jego historię Fiedler – posiadł wszystkie cztery warunki, potrzebne wówczas do wyruszenia w nowy świat: tęgie zdrowie, twórczy niepokój, kanadyjski adres znajomego rodaka i pieniądze na bilet". W 1913 roku dotarł do Hamilton, gdzie dzięki pomocy dozorcy-Polaka znalazł pracę w jednej z fabryk. Gdy wybuchła I wojna światowa, wspierał polską sprawę, angażując się w ruch wolnościowy narodowej organizacji „Sokoła", a wkrótce potem rzucił się w wir prac społecznych na rzecz rozwijającego się środowiska polonijnego w Hamilton. Był sekretarzem finansowym różnych towarzystw, kierownikiem teatru amatorskiego, dyrygentem chóru. Przede wszystkim zaś spełniał się jako nauczyciel w szkole języka polskiego, umiejąc „wszczepiać do setek młodych serc tak ogromne ukochanie polskości, iż pozostawało im ono już na całe życie". Jednocześnie uczył się angielskiego i uczęszczał na uniwersytecki kurs buchalteryjno-bankowy. I tak najpierw został bankowcem, potem głównym księgowym poważnego przedsiębiorstwa, wreszcie – inspektorem finansowym kilku fabryk.

O sławie Flisa za oceanem nie zdecydowały jednak ani kariera zawodowa, ani awans społeczny, lecz to, że odkrył i rozwinął w sobie talent posługiwania się pięknym i kojącym słowem, przemawiającym do serca, duszy i wyobraźni polskich emigrantów. Wszyscy oni, żyjący w Kandzie, znali dobrze nazwisko Flisa, nazywając go „kanadyjskim lirnikiem Polonii". Rozczytywali się w jego felietonach i uczyli się z nich miłości ojczyzny. „Dowcipne, wesołe, bystre, o życiowych perypetiach przeciętnego człeka w Kanadzie, częściej zaś na poważniejszą nutę, z łagodną zadumą, z dobrotliwym uśmiechem, o wsi rodzinnej nad Wisłoką. Polska Ameryka poznawała Gawłuszowice jak własny zaułek [...] i czytając o modrzewiowym kościółku, wiklinach nadbrzeżnych, domach pod strzechami, o ludziach, ich obyczajach, rodacy miewali łzy w oczach. W tych felietonach był cały Flis, skromny a kochający. [...] Poruszając najczulsze tęsknoty twardych ludzi, stwardniałych w obcym i srogim dla nich świecie, wyświadczały im wielką przysługę".

Tak oto w dziejach Kanady zaistnieli Polacy, wśród których znaleźli się obrońcy wolności, genialni budowniczowie, mistrzowie słowa i podróżnicy-odkrywcy nowych światów. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Piotr Lisiewicz

Tadeusz Hołówko zastrzelony został w sobotę 29 sierpnia 1931 roku w pokoju pensjonatu sióstr bazylianek w Truskawcu, gdzie wypoczywał. Ciało zostało sześciokrotnie ugodzone pociskami z broni krótkiej. Sprawcami morderstwa okazali się nacjonaliści ukraińscy Dmytro Danyłyszyn i Wasyl Biłas z OUN. Hołówko był najważniejszym orędownikiem zbliżenia z Ukraińcami w Polsce. „Istnieją jednak powody, by wątpić, czy kierownictwo OUN zamierzało zabić Hołówkę. Przywódcy emigracyjni byli zaskoczeni wieścią o jego śmierci i przypuszczali wręcz, że zamachu dokonano z inspiracji Sowietów" – pisze Timothy Snyder w książce „Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę". Jak stwierdza amerykański historyk, „Śledztwo Oddziału II zakończyło się wnioskiem, że najbardziej prawdopodobnymi sprawcami byli Sowieci. Dobrze poinformowani obserwatorzy mówili o obecności sowieckich agentów w OUN. Prometejczycy uznali zaś za pewnik, że zabójstwo Hołówki, który był przywódcą ruchu, miało uderzyć w ich przedsięwzięcie".

Dlaczego zginął Tadeusz Hołówko? Przedrukowujemy dziś fragmenty jego książki „Kwestia narodowościowa w Polsce", która ukazała się w 1922 roku, a więc w początkach niepodległej Polski. Niektóre szczegóły koncepcji Hołówki są dziś z oczywistych względów nieaktualne. Jednak główne przesłanie, którego nie udało się zrealizować w przedwojennej Polsce, wydaje się dziś nawet bardziej aktualne niż wówczas. Po przeczytaniu tych słów na pytanie, za co zginął Tadeusz Hołówko, odpowiedzieć możemy sobie następująco: za to samo, co prezydent Lech Kaczyński.

Tadeusz Hołówko

Kresy fortecą niepodległościowego ruchu ukraińskiego i białoruskiego, skierowanego przeciw Rosji

Dążmy lepiej do tego, aby tak jak szeroka i długa Ukraina, każdy wykształcony Ukrainiec władał językiem polskim, aby pełno było młodzieży ukraińskiej i białoruskiej aż z Połtawy, Witebska, Chersonia i Smoleńska na ukraińskich i białoruskich uniwersytetach w Polsce, aby jak najprędzej te uniwersytety powstały i weszły do wielkiej, zgodnej rodziny uniwersytetów polskich. Nie bądźmy zaborczy politycznie i etnograficznie, lecz kulturalnie. Niech wpływ kultury polskiej wybiega daleko poza granicy Rzeczypospolitej.

Obserwujemy obecnie ciekawe zjawisko, że reemigranci, a nawet Hallerczycy z Ameryki, którzy na ochotnika przyjechali bić się za Polskę, obecnie znowu wracają do Ameryki. Dlaczego? Bo oto Ameryka przez swój szczery demokratyczny ustrój przywiązała do siebie tych ludzi. W Ameryce każdy emigrant Polak, Niemiec, Włoch, Irlandczyk po kilku latach ma prawo przyjąć obywatelstwo amerykańskie – a wówczas otrzymuje takie same prawa jak rodowity Jankes, stoją mu otworem wszystkie stanowiska w wielkiej rzeczypospolitej – jest on obywatelem Stanów Zjednoczonych, którego, niezależnie od tego gdzieby się on nie znalazł, biorą one pod swoją potężną opiekę. Właśnie tym równouprawnieniem, jednakim traktowaniem wszystkich Ameryka dokonała tego cudu, że szybko staje się dla emigrantów drugą Ojczyzną.

eprasa.pl ea01a01b09

Niczym syjamscy bliźnięta wspólne żyć muszą

Tą samą drogą co Stany Zjednoczone winniśmy iść i my. Mniejszości narodowe można przywiązać do Polski nie przy pomocy stanów wyjątkowych i ustaw kagańcowych, nie w drodze represji, lecz przy pomocy jak najszerszych swobód i rozumnej, życzliwej tolerancji. Niech każdy Ukrainiec, Żyd, Niemiec i Białorusin dobrze się czuje w Polsce – a wówczas na pewno przywiążą się do Polski, staną się dobrymi jej obywatelami. I do tego winniśmy dążyć nie tylko w imię sprawiedliwości, nie tylko w imię utrwalenia zasad republikańskich i demokratycznych, lecz i w imię wzmocnienia samego bytu niepodległego państwa polskiego [...].

Spis ludności wykazuje, że w Polsce na 25 mil. ogółu ludności – polskiej ludności jest 17 mil., zaś innych narodowości 8 milionów, co znaczy, że 31,6 proc. ogółu ludności są to nie Polacy. Innymi słowy 1/3 ogółu ludności w państwie polskim stanowią mniejszości narodowe [...].

Ukraińcy i Polacy we Wschodniej Galicji skazani są historycznymi warunkami na wieczne współżycie ze sobą, są jakby syjamscy bliźnięta. Mogą albo toczyć wieczną wojnę, albo żyć jak przystoi braciom, zrodzonym na jednako dla każdego z nich drogiej i ukochanej ziemi. Ale wspólnie żyć muszą. Stąd wniosek nasuwa się łatwo. Stosunki we Wschodniej Galicji muszą ułożyć się tak, aby obie narodowości miały jednakowe zupełnie prawa, aby obie były współrządzącym elementem, jednako zadowolone – a jeśli kto woli, jednako niezadowolone.

Otóż taką jedyną formą rozwiązania bolączki Wschodniej Galicji jest nadanie jej szerokiej autonomii terytorialnej. Przeciwko takiemu rozwiązaniu podnoszą energiczny protest zarówno Polacy, jak i Ukraińcy we Wschodniej Galicji. To świadczy, że ten projekt odpowiada potrzebie. Rzecz naturalna bowiem, że Polacy nie chcą rozstać się ze swym obecnym stanowiskiem narodowości zwycięskiej i panującej – Ukraińcy chcą zamienić się rolami. Ale biada Polsce, jeśli interes państwowy będzie podporządkowywać się lokalnym interesom i wybujałym aspiracjom polskiej ludności w tej czy innej dzielnicy.

Interes zaś państwa polskiego, tryumf zasady sprawiedliwości i wolności demokratycznych wymaga, aby 2 i pół miliona Polaków we Wschodniej Galicji podporządkowało swe lokalne interesy interesom całego państwa, aby podzielili się władzą z braćmi – Ukraińcami.

Tak samo Ukraińcy galicyjscy winni zrozumieć, że odrywając Galicją Wschodnią od Polski uczyniliby znowu ze swego kraju piekło wyuzdanej walki bratobójczej, wykopaliby przepaść między Polską a Ukrainą [...].

Rozumiemy znaczenie ustroju autonomicznego

W imię tych przesłanek P. P. S. występuje i propaguje hasło autonomii Galicji Wschodniej, narażając się jednym i drugim. Polacy ze Wschodniej Galicji widzą w nas niemal sprzedawczyków i niszczycieli Ojczyzny, Ukraińcy szowinistów i imperialistów, chcących dalszego ujarzmiania ich kraju. Czyż jest tak w rzeczywistości? [...]

Otóż według tego projektu Galicja Wschodnia miałaby własny Sejm i własny rząd krajowy, jednocześnie jednak wybierałaby na ogólnych zasadach posłów do Sejmu i Senatu w Warszawie.

Z kompetencji Sejmu i rządu krajowego całkowicie byłyby wyjęte sprawy dotyczące wojska, polityki zagranicznej, komunikacji o ogólnopaństwowym znaczeniu, polityka celna, ponadto Galicja Wschodnia miałaby wspólny z Polską kodeks karny i cywilny, wspólną monetę; natomiast do kompetencji autonomicznych ciał należałyby sprawy dotyczące szkolnictwa, wyznań religijnych, samorządu we wszystkich jego stopniach, administracji lokalnej, rolnictwa, przemysłu i handlu, ochrony pracy, opieki społecznej i zdrowia publicznego.

Jak widzimy, trzeba mieć chorobliwą wyobraźnią aby twierdzić, iż taka autonomia zagraża jedności państwa polskiego. Rząd centralny w Warszawie zatrzymuje w swym ręku wszystkie sprawy o ogólnopaństwowym charakterze, natomiast przekazuje autonomicznym władzom sprawy o miejscowym znaczeniu. A tymczasem właśnie sprawy takie, jak szkolnictwo, samorząd, rolnictwo i przemysł, opieka społeczna, najwięcej obchodzą społeczeństwo ukraińskie, gdyż w tych dziedzinach może ono przejawić i rozwinąć swe odrębności narodowe. Autonomia Galicji Wschodniej przyczyni się nie tylko do uspokojenia tego kraju, lecz i do potężnego jego rozkwitu, gdyż w autonomicznej Galicji Wschodniej oba społeczeństwa polskie i ukraińskie będą mogły w pełni rozwinąć wszystkie zasoby swej energii narodowej, wspólnie pracować dla dobra rodzinnego kraju [...].

Nie trzeba też używać argumentu, że wprowadzenie autonomii spowoduje zamieszanie stosunków. Galicja Wschodnia miała już autonomię, zarówno Polacy jak i Ukraińcy mieli władzę w rękach, oba języki były już równouprawnione w Sejmie lwowskim, urzędach państwowych, sądach i samorządach.

eprasa.pl ea01a01b09

A że i my rozumiemy znaczenie i korzyści ustroju autonomicznego, świadczy nadana przez nas autonomia Śląskowi Górnemu, uświadamiamy bowiem sobie, iż tylko na tej drodze potrafimy miejscowy żywioł niemiecki wciągnąć do pracy gospodarczej.

Śląsk Górny i Cieszyński mają autonomię i nikt przeciwko temu nie protestuje. Dlaczego? Czyżby Ukraińcy byli większymi wrogami Polski aniżeli Niemcy. Nie dlatego, rzecz naturalna, lecz dlatego, że każdy z nas rozumie, iż tylko przy autonomii możemy spodziewać się, że Śląsk nie stanie się terenem nieskończonych, krwawych i wyczerpujących walk narodowościowych, zamiast spokojnej, twórczej współpracy gospodarczej. Nieszczęściem, że we Wsch. Galicji ta walka wylała się w formę wojny otwartej, co rozpętało wzajemne nienawiści, zaś obecnie utrudnia jakiekolwiek porozumienie się. Ale i na Śląsku były walki i powstania – pomimo to zarówno społeczeństwo polskie, jak i niemieckie na Śląsku widzą w autonomii jedyny środek, który położy kres tym walkom. Tą samą drogą musimy iść i we Wschodniej Galicji [...].

Bądźmy ambitni w wielkich rzeczach

Musimy doprowadzić do tego, aby niepolska ludność Kresów Wschodnich sama przestała ciążyć ku Rosji. Możemy to uczynić jedynie tą drogą, że dopomożemy i ułatwimy patriotom ukraińskim i białoruskim z obecnej ciemnej, przeważnie, narodowo-nieuświadomionej masy ludności prawosławnej na kresach, uczynić świadomy lud ukraiński i białoruski.

Innemi słowy nie tylko nie powinniśmy tamować, lecz przeciwnie, popierać narodowe ruchy ukraiński i białoruski na naszych Kresach Wschodnich. A wówczas ludność ta narodowo uświadomiona, mając w granicach Rzeczypospolitej Polskiej całkowitą możność swobodnego rozwoju, przestanie ciążyć ku Rosji. Nawet więcej, wówczas Kresy Wschodnie mogą stać się fortecą niepodległościowego ruchu ukraińskiego i białoruskiego, skierowanego przeciw Rosji, jarzmiącej Ukrainę i Białoruś.

Kresy Wschodnie, gdzie narodowy odrodzeńczy ruch ukraiński i białoruski będą miały całkowitą swobodę rozwoju i pielęgnowania własnej kultury, zaczną promieniować daleko poza granicy Rzeczypospolitej Polskiej, urabiając przychylny nastrój dla Polski wśród wielomilionowych rzesz narodu ukraińskiego i białoruskiego, znajdujących się obecnie pod panowaniem rosyjskim. Zapewne, mogą powiedzieć, że w razie powstania niepodległego państwa ukraińskiego lub białoruskiego nasze kresy zaczną do nich ciążyć. Możliwe, ale za to Ukraina i Białoruś jako państwa niepodległe mogą istnieć jedynie opierając się o Polskę, to znaczy zawierając z nią sojusz, a być może nawet i unię. W tych warunkach Kresy Wschodnie mogą i powinny odegrać rolę cementu spajającego bratnie narody. [...]

Wówczas gdy miejscowa ludność ukraińska i białoruska będą miały własne szkolnictwo, samorządy gminne i powiatowe w swych rękach, a więc tym samym cały zakres spraw o znaczeniu lokalnym, wreszcie samorząd cerkiewny – wówczas na pewno będą zadowoleni, będą błogosławić Polskę, która daje możność swobodnego rozwoju i tworzenia własnej kultury. Jestem przekonany, że młode pokolenie, które wyrośnie już w takich warunkach będzie przychylnie usposobione do Polski, bo z jednej strony będzie mogło żyć pełnią swobodnego życia narodowego z drugiej zaś będzie już władać językiem polskim, a więc będzie miało klucz w ręku do skarbca kultury polskiej. W tych warunkach wyrośnie pokolenie Ukraińców i Białorusinów, dla których kultura polska stanie się łącznikiem z zachodnią kulturą [...].

Możemy uczynić z Wołynia i Polesia wielką kuźnię, gdzie będzie wykuwać się kultura ukraińska i białoruska dla tych narodów jako całości. Będzie zbiegać się tam po wiedzę młodzież z całej Ukrainy i Białorusi – a wracając do domu poniesie ze sobą znajomość kultury polskiej, sympatię, wdzięczność dla narodu polskiego, który kuźnię narodową pozwolił dla nich stworzyć. Bądźmy ambitni w wielkich rzeczach. Stokrotnie lepiej będzie dla Polski, jeśli urok jej kultury będzie oddziaływać na narody białoruski, ukraiński, łotewski, estoński tak samo, jak na nas oddziaływa urok kultury francuskiej. Lepiej jest pozyskać sympatię i przyjaźń 35 mil. narodu ukraińskiego, aniżeli przy pomocy bata i rózgi spolonizować 2 miliony, ale wzbudzić nienawiść w pozostałej olbrzymiej reszcie.

Dążmy lepiej do tego, aby tak jak szeroka i długa Ukraina, każdy wykształcony Ukrainiec władał językiem polskim, aby pełno było młodzieży ukraińskiej i białoruskiej aż z Połtawy, Witebska, Chersonia i Smoleńska na ukraińskich i białoruskich uniwersytetach w Polsce, aby jak najprędzej te uniwersytety powstały i weszły do wielkiej, zgodnej rodziny uniwersytetów polskich. Nie bądźmy zaborczy politycznie i etnograficznie, lecz kulturalnie. Niech wpływ kultury polskiej wybiega daleko poza granice Rzeczypospolitej, niech kultura polska będzie tak zaborczą, jak tyrańsko-zaborczą jest kultura francuska. ■

_____

Przedruk za: „Kwestia narodowościowa w Polsce", Warszawa 1922, Nakładem Księgarni Robotniczej. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl ea01a01b09

Marek Kalinowski

Spotkania z Korą

Michał Pepol, kompozytor i wiolonczelista Royal String Quarted, dotarł do archiwalnych, niepublikowanych wcześniej nagrań Olgi Jackowskiej. Jej głos i fragmenty utworów wpisał we własne kompozycje, podejmując z twórczością Kory równoprawny muzyczny dialog. Ludowa kołysanka z Roztocza, reggae zbudowane ze śmiechu i wypowiedzi artystki – to tylko niektóre z niespodzianek, które czekają na fanów Maanamu.

Może nie powinno nas dziwić, że dopiero kilka lat po śmierci Olgi Jackowskiej ukazują się pierwsze płyty innych wykonawców z repertuarem „Maanamu". Zespół był przecież tak silnie nacechowany osobowościami i unikalnym talentem muzyków, że próba jakiejkolwiek ingerencji w ich twórczość jest przedsięwzięciem niezwykle ryzykownym. Być może trzeba było znaleźć własny klucz do utworów Kory, tak jak udało się to przed kilkoma miesiącami Ralphowi Kamińskiemu, albo zdobyć się na odwagę i podjąć z jej twórczością równoprawny, artystyczny dialog. Płyta Michała Pepola „Kora Nieskończoność" udowadnia, że jest to absolutnie możliwe.

Sama odwaga to jednak za mało, trzeba było również wyjątkowej muzycznej wrażliwości oraz doświadczenia. Szczęśliwie więc archiwalne nagrania, w tym często utwory i fragmenty występów wcześniej niepublikowanych, trafiły do rąk Michała Pepola – wiolonczelisty i kompozytora, znanego m.in. z grupy Royal String Quarted.



Michał Pepol, KORA NIESKOŃCZONOŚĆ, Agora

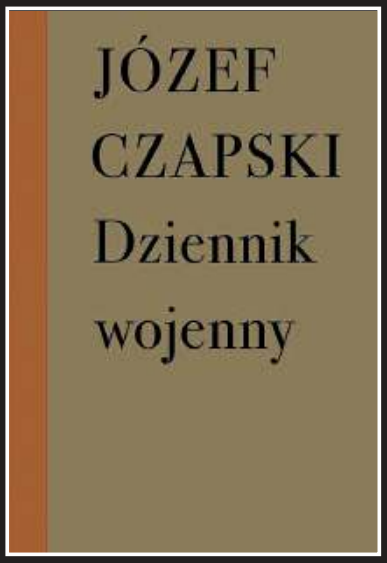
Pepol miał świetną intuicję, by połączyć wokale Kory z własnymi, autorskimi kompozycjami, a także wykorzystać jej głos jako część instrumentarium. Jak brzmi efekt jego odważnych decyzji, możemy się przekonać choćby w utworze „Reggae Kory", gdzie powtórzony śmiech artystki i wypowiedzi z telewizyjnego programu „Must be the music", w którym przez wiele lat była jurorką, wplecione zostały w linię muzyczną, współtworząc swoistą przeróbkę piosenki „Nocny Patrol".

Fani „Maanamu" znajdą na płycie Michała Pepola nagrania, które dla wielu będą sporym zaskoczeniem. Jednym z nich jest „Lalunia", ludowa kołysanka z Roztocza nagrana w początkach kariery Kory. Pieśń pochodzi z miejsca, które po wielu latach stało się jednym z domów artystki i w którym zakończyła ziemską wędrówkę. Kompozytor dokłada tu do warstwy wokalnej odgłosy przyrody, dźwięki zegara, a z własnego głosu układa chór, co wszystko razem współtworzy magiczną aurę wokół utworu.

Bywają nagrania bardzo osobiste albo utwory, które nabierają takiego charakteru dzięki kreacji Pepola, jak we fragmencie „Szał w Kadyksie", gdzie dźwięki gitary z piosenki „Szał niebieskich ciał" płyną w rytm morskich fal, zatrzymując na wspólnej wyprawie jeszcze raz niezwykły muzyczny duet Kory i Marka Jackowskiego. Są też pieśni owiane tajemnicą, gdzie jak w „Miasteczku Lalalaj" głos wokalistki dochodzi do słuchacza z daleka, tak jakby dobiegał gdzieś z drugiego pomieszczenia.

W niektórych utworach z albumu „Kora Nieskończoność" od razu rozpoznamy nawiązania do znanych piosenek Maanamu, choćby przez charakterystyczny riff gitary Jackowskiego. Inne kompozycje będą budować analogie w sposób mniej oczywisty. Tak dzieje się choćby w utworze „Leżę cicho", którego już sam tytuł powinien naprowadzić na piosenkę „Ta noc do innych jest niepodobna" z głośnego singla sprzed ponad 40 lat, a jednak przepiękne dźwięki wiolonczeli Pepola dopiero po chwili ujawniają swe źródło, tworząc jednocześnie niezwykle wzruszające pożegnanie artystki. ■

eprasa.pl ea01a01b09



Józef Czapski, „Dziennik wojenny (22 III 1942 – 31 III 1944)", Wydawnictwo Próby, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Warszawa 2022

Krzysztof Wołodźko



DZIENNIK DUSZY, KRONIKA ROSJI

Józef Czapski oglądał ludzi sowieckich, którzy jakby wyszli spod jednej miary. Powołując się na Ilję Erenburga, mówił, że podobnie „monotonii" są Niemcy pod rządami Adolfa Hitlera: „W każdym nowym zetknięciu z Rosjanami powierzchownym – miałem to samo poczucie monotonii. Trzeba było wiele cierpliwości, sympatii albo jakiejś chwili osobliwej, żeby rozmówca naraz zaczął mówić swoim głosem".

eprasa.pl ea01a01b09

W 1949 roku ukazała się jedna z fundamentalnych polskich książek poświęconych sowieckiej Rosji – „Na nieludzkiej ziemi" Józefa Czapskiego. Autor pisał we wstępie: „W miarę pisania nie słabła we mnie, ale narastała świadomość przeciwstawności Polski i Rosji, naszych koncepcji, naszych dróg historycznych. Narastało poczucie śmiertelnego zagrożenia Polski". Głosił to człowiek, który miał wielu przyjaciół wśród rosyjskich elit z przedbolszewickich czasów; człowiek, który w czasie sowieckiej niewoli i exodusu armii Andersa, umiał wciąż cenić i rosyjską kulturę, i religijność prostych ludzi. Pisałem o tym na łamach „Nowego Państwa" w recenzji książki Piotra Mitznera „Ludzie z nieludzkiej ziemi. Rosyjski krąg Józefa Czapskiego" (numer 10 (184)/2021). Warto o tym pamiętać: wbrew temu, o czym próbowano nas przekonać już w III Rzeczypospolitej, rzetelna znajomość Rosji, a nawet głęboka zażyłość z jej kulturą, nie wyklucza solidnej dawki ostrożności wobec tego państwa i narodu. Przeciwnie, prowadzi do niej tych, którzy nade wszystko ukochali sprawę polską. A tak było w przypadku Czapskiego.

„Zjeździł Rosję wzdłuż i wszerz"

To intrygujące, że w ostatnich latach ukazały się trzy ważne książki, których główną postacią jest polski malarz i obywatel, żołnierz i arystokrata – Józef Czapski. Pierwsza to erudycyjna, pięknie napisana, skupiona przede wszystkim na Czapskim jako artyście biografia pióra Erica Karpelesa. Mowa rzecz jasna o „Prawie nic". Druga książka to wspomniana praca Piotra Mitznera. Znajdziemy tam ważne świadectwo pewnego Rosjanina, Romana Gula, emigracyjnego dziennikarza i prozaika, autora powieści o Borysie Sawinkowie. Gul tak pisał o Czapskim: „Zjeździł Rosję wszerz i wzdłuż, najpierw jako więzień, jako niewolnik obozów koncentracyjnych, w których byli internowani polscy oficerowie, później jako »wolny« oficer formującej się polskiej armii generała Andersa. Rozmawiał z Rosjanami od [Aleksieja Nikołajewicza – K.W.] Tołstoja i [Anny – K.W.] Achmatowej począwszy, na bezdomnych dzieciach i enkawudzistach skończywszy. [...] Spotykał ludzi – ukrytych świętych, i innych – kanibali i morderców".

Trzecia książka to wydany właśnie „Dziennik wojenny" Czapskiego; wymagający benedyktyńskiej pracy dokument odczytał Janusz S. Nowak, opracował Mikołaj Nowak-Rogoziński. Podzielona na cztery części lektura – „Album graniczny (22 III 1942 – 20 VII 1942)", „Od Meszhedu (8 IX 1942 – 25 V 1943), „Palestyna i Egipt (27 V 1943 – 31 III 1944)" i „Zagadnienia malarskie (26 XII 1943 – 31 III 1944)" – przynosi wnikliwe, autorefleksyjne studium postaci („dziennik duszy" – powiedzmy z niewielką tylko przesadą) i szkice miejsc i czasów, gdy czytelnik cierpliwie musi dzielić uwagę zarówno między obrazy szczegółów, jak i szersze perspektywy. Dodajmy, że Czapski był zapamiętałym kronikarzem, dzienniki pisał przez całe życie. Większość tych, które ocalały z dziejowej pożogi, nie została jeszcze wydana. Znamienne jest to, że właśnie w naszych czasach, gdy Rosja znów w pełni pokazała swoje grabieżcze, cyniczne i śmiertelnie niebezpieczne dla sąsiednich narodów oblicze, ukazały się te trzy prace o Czapskim. Czy to zbieg okoliczności, czy intuicja graniczące nieledwie z wyczuciem „ducha dziejów" przez przynajmniej niektórych intelektualistów – nie zamierzam przesądzać.

W drodze wyjątku pozwolę sobie na autocytat – z ulotnej formy, czyli felietonu literackiego w radiowej Trójce. Mówiłem tam niedawno właśnie o „Dzienniku wojennym": „To z jednej strony dokument bardzo intymny, w którym Czapski opowiada o swojej duchowej niemocy, swoim katolicyzmie. Ale też bardzo aluzyjnie i dyskretnie o swojej homoseksualnej miłości. Zdumiewa, jak ciężko pracuje ten człowiek, wycieńczony pobytem w Sowietach. I jak wielkie ma poczucie, że robi za mało. Ale to nie jest pracoholizm, to żmudne przedzieranie się przez trudy tamtego życia. Z drugiej strony: to wspaniały dokument epoki, pokazanie codziennej materii życia armii Andersa od końcówki marca 1942 do końca marca 1944 roku. Wojskowa biurokracja i intrygi międzyludzkie, próby układania się z Sowietami, w coraz trudniejszych warunkach, exodus cudem ocalałej armii, która chciała opuścić nieludzką ziemię i bić się o niepodległość Polski. Wreszcie to obraz polskiego arystokraty i intelektualisty, który obficie cytuje literaturę francuską, mówi o rosyjskich filozofach. Ale nie ma w tym żadnego kompleksu ani wobec Zachodu, ani wobec Rosji, jest głęboko zakorzeniona, pewna swego miłość i tęsknota do Polski. To nie tylko żołnierski obowiązek, to głębokie przekonanie, że polska kultura, że polskość jest cennym dziedzictwem, które ocaleje nawet z najgorszej zawieruchy".

„Obronił własną pojedynczość"

Te trzy perspektywy „Dziennika" wydają się bardzo ważne. One nierzadko się łączą, w sposób, który dziś może wydawać się niepojęty, staroświecki, eg-

eprasa.pl ea01a01b09

zaltowany. W marcu 1942 roku w Jangi-Jul pod Taszkientem, gdzie znajdowała się wówczas siedziba dowództwa i sztabu armii Andersa, Czapski pisał: „Jeżeli nie wrócimy do kraju, jeżeli wróci w najlepszym razie jakaś dziesiąta część, to przecie to może oddziałać na najlepsze w Polsce jednostki. Śmierć każdego z nas więcej mówi, niż powrót człowieka z tymi samymi niewypalonymi cierpieniami, wielkimi czy drobnymi wadami postarzałego i umniejszonego. [...] A śmierć to nie jest oszukaństwo i cierpienie wielkie tej śmierci w oderwaniu, to też jest prawda i wzniosła prawda, której żadna ironia się nie ima, bo najmizerniejszy z nas – w chwili cierpienia, rozdarcia i samotnej śmierci w tajdze czy w stepie – może być wielki. [...] Wszyscy, wszyscy – od najwybitniejszych do całkiem przeciętnych – czuję jak kolce w sercu, jak ludzi, którzy dali całą swoją miarę wielkości właśnie przez cierpienie i może, i pewno śmierć swoją".

A oto Czapski bardzo osobisty, człowiek, który – wedle słów Piotra Mitznera – „obronił własną pojedynczość". Człowiek głęboko siebie świadom, duchowo i zmysłowo, doświadczający sacrum i profanum jako tajemnic własnego człowieczeństwa: „Od paru dni nic [k]omunii [świętej – K.W.], nie jestem na mszy, a przez wysiłek ku pracy i przez dnie zajęte i czynne powoli znowu dochodzę do jakiejś formy wewnętrznej i zaraz razem z oddechem wracają niebezpieczeństwa tęsknot pożądań – tej atmosfery myśli erotycznych, które jedyne poza religią dają odpoczynek – jest w tym coś z alkoholu i coś z mistyki – la mystique (la fausse mystique) des pauvres, des d'esprit [„mistyka (fałszywa mistyka) ubogich, ubogich duchem" – K. W.]. Nie poddawać się najsłabszej linii życia – to skutki tego, że przez lenistwo, przez chaos nie umiem się zdobyć na modlitwę, na k[omunię] codziennie".

Fascynujące jest to, że człowiek tak głęboko refleksyjny nad życiem, intelektualnie, psychologicznie, duchowo, równocześnie ma przytłaczające poczucie pochłaniającej, pożerającej go „bieżączki". Czapski niejednokrotnie skarży się, że życie zabiera mu bieganina, wierzga przeciw niej jak przeciw ościeniowi, a równocześnie zmaganie z nią stanowi pewnego rodzaju ćwiczenie, pomaga zachować empatię, daje impuls do regularnych zapisków, które rzucają inne światło na codzienne obowiązki, wymusza – tak modną dzisiaj – uważność. Dla opisania tej „bieżączki" artysta sięga po rosyjskie powiedzenie: „tiekuczka zajedajet". Tak je opisał po latach: „To [...] nieustanny nurt płynących, cieknących zdarzeń, wypadków, wypadeczków, drobnych, drobniutkich, ale koniecznych obowiązków, »zjadających« człowieka, miliona spraw, które trzeba załatwić zaraz [...]. I to właśnie zjada każdego, podcina poczucie hierarchii, świadomość tego, co mniej, a co bardziej ważne, skłania nawet do odwracania tej hierarchii z naciskiem na to jedynie, co najbliżej aktualne". Zwracam uwagę na te zdania, bo dziś zdają się brzmieć jako opis choroby naszych czasów, jeszcze bardziej uciążliwej niźli wówczas.

Bez złudzeń wobec Sowietów

I jest jeszcze Czapski homoseksualista, który pisząc o ukochanym mężczyźnie, używa formy żeńskiej, podobnie jak czynił Marcel Proust w „Poszukiwaniu straconego czasu". Jest w tym bardzo dyskretny, delikatny, nieszczęśliwie zakochany i smutny: „Myślę, że przede wszystkim brakuje mi pewnego człowieka, to on raz jeszcze ucieleśnia wszystko, co mnie pociąga i daje chwile wytchnienia, nie mam jednak albo niewiele mam złudzeń". Mówi przy tym o „miłości lekko wpijającej się w ciało", która chroni przed „salonowymi uciechami", znów nawiązując do Prousta. W najbardziej intymnych sprawach i pośród społecznych obowiązków często sięga po pisarzy i myślicieli, przywołuje ich słowa, parafrazuje myśli. Eric Karpeles tak o tym pisze w biografii Czapskiego: „W jego dzienniku, podobnie jak w rozmowach z nim, roiło się od cytatów. Nazywał je »złotymi gwoździami«, małymi, lśniącymi, cennymi spinaczami jego nieujarzmionych zapisków, kotwicami jego wędrownego umysłu. Te cytaty pełnią funkcję drogowskazów, scalających i budujących jego styl i głos. Skrupulatnie zapisuje w księdze własnego życia pamiętne wypowiedzi wielu swych mistrzów. Są tam oczywiście Proust i Cézanne, a także Dostojewski, Weil, Hofmannsthal, Brzozowski, Rozanow, Norwid, Camus, Beckett i Rilke. »To moja podręczna biblioteka, bez której nie wiem, jak bym żył«".

Józef Czapski w armii Andersa pełnił funkcję szefa Wydziału Propagandy i Informacji. Od kwietnia 1942 roku zajmował się również poszukiwaniem „zaginionych" katyńskich Polaków. Podróżował z misją pociągami po sowieckiej Rosji, zapiski na ten temat zawarte są w „Dzienniku". Jeździł zarówno pociągami pierwszej, drugiej, jak i trzeciej klasy, choć jak podkreślał: ich klasowy / ekonomicznie zróżnicowany charakter Sowieci budujący komunizm i „bezklasowe społeczeństwo" „wstydliwie" ukryli za żargonem: bilet „miękki z miejscówką", bilet „miękki bez miejscówki" i „bilet twardy z miejscówką i bez miejscówki". Opisywał później w retrospekcjach: „Między oficerem specjalistą od czołgów a prostym żołnierzem, między urzędnikiem odpowiedzialnym

eprasa.pl ea01a01b09

przemysłu a zwyczajnym robotnikiem kołchozu – jest przestrzeń socjalna, która wbrew całej magii, frazeologii i mówieniu sobie frazesów – jest ogromna". Oglądał ludzi sowieckich, którzy jakby wyszli spod jednej miary. Powołując się na Ilję Erenburga, mówił, że podobnie „monotonii" są Niemcy pod rządami Adolfa Hitlera. I dodawał: „W każdym nowym zetknięciu z Rosjanami powierzchownym – miałem to samo poczucie monotonii. Trzeba było wiele cierpliwości, sympatii albo jakiejś chwili osobliwej, żeby rozmówca naraz zaczął mówić swoim głosem".

Podróże pociągami po Rosji unaoczniły mu coś jeszcze – straszliwą skalę uprzedzeń wobec obcych, jaka panuje w radzieckim społeczeństwie. Nie był jednak zdumiony, po 17 września 1939 roku dobrze się na tym poznał. W gorzkich słowach pisał: „Pamiętam, jak w polskich pismach komunistycznych wydawanych we Lwowie opisywano, jak Hucuł idący szukać chleba prosił cofającego się z frontu nędznego oficera, by mu dał kawałek chleba, a ten z paru kolegami rozciął mu brzuch, wypatroszył, wsadził tak do otwartego brzucha bochenek chleba, sam zaś poszedł dalej. Te bajki były powtarzane co dzień, co dzień w prasie sowieckiej [...]". Dlatego – jak pisał – w podróżach po Sowietach trudno było przebić się przez mur nieufności: „Miałem kajety, coś pisałem, i miałem książki nierosyjskie, ale polskie, francuskie. Nawet jak pierwsze lody są przełamane, przeważnie rozmowa do niczego nie prowadzi, bo się wówczas otwierają śluzy sztanc. Zdania żywcem z gazet powtarzane, straszliwa mistyfikacja". Zdarzały się jednak inne sytuacje, zabawne wręcz w swojej prozaiczności: „Kapitan ukraiński [...] pierwszy przezwyciężył podejrzliwość, jest bardzo przyjazny, uczy mnie, jak to u nich na Ukrainie robi się zastrzyk spirytusu dojrzewającemu melonowi, jak wówczas ten spirytus tam fermentuje i jak jest smaczny tak kierowanyj melon".

▶ „Przedwcześnie stare dzieci"

W „Dzienniku" sowiecka rzeczywistość kładzie się cieniem także na codziennej wojskowej pracy. Czapski był współredaktorem „Orła Białego", pisma II korpusu armii Andersa. Cenzorem „Orła" był kapitan Sokołowski, dawny redaktor wileńskiej „Prawdy". Czapski w notatce z września 1942 roku opisuje, jak z wielkanocnego artykułu w „Orle", w którym zapisano: „Rozdzwoniły się dzwony kościołów" Poznania, Krakowa, Warszawy, Wilna i Lwowa, Sokołowski zażądał wykreślenia dwóch ostatnich miast, gdyż autor tekstu „insynuuje przyszłe granice". Cenzor pilnie ścigał nawet uwagi o sporach między dawną Rzeczpospolitą a carską Rosją („Tam, gdzie my widzieliśmy ślady zaczepki, on widział insynuacje antysowieckie"). Czapski daje wymowny obraz tego człowieka: „Polak z pochodzenia, dziadek jego był powstańcem, Polak z mowy, z samopoczucia nawet, bo się obrażał, gdyśmy do niego mówili po rosyjsku. Jednocześnie najbardziej prawowierny komunista i właściwie niezmiernie rosyjski typ w znaczeniu tego rosyjskiego półinteligenta wierzącego w komunizm jak w Koran [...]". Autor „Dziennika" dodaje przy tym, że tam, gdzie sowiecki cenzor nie widział przeszkody „pryncypialnej", z pomocą „szedł na całego", choć Polacy mieli się przed nim na baczności jako wysoce prawdopodobnym pracownikiem „czwórki" NKWD (wywiad nielegalny i dywersja na tyłach przeciwnika).

Wśród najbardziej przejmujących fragmentów „Dziennika" są te, które pokazują losy polskich dzieci w Sowietach. Spisane przez Czapskiego, wrzucone jakby mimochodem między opowieści dotyczące wielkiej polityki, bardzo ważnych spraw, prób obłaskawienia wpływowych ludzi radzieckich. Basia Dymnicka, córka przedwojennego naczelnika poczty spod Krakowa, opowiadała Czapskiemu: „Z Kotłasu [obwód archangielski – K.W.] w pociągu jechaliśmy – siostra umarła, bo miała odrę i zapalenie płuc. Ja też byłam chora, miałam 40 gorączki i nie wiedziałam, że siostra umarła. Mamusia gdzieś zginęła". On sam kreśli obraz dzieci w szpitalu w Meszhedzie: „Są na ogół smutne i jakby przedwcześnie stare, nic radości, grymaszą, niektóre inne jedzą jak z łaski, najlepszy dowód, że chore i wynędzniałe ostatecznie. Przede mną siedzi jeden malec z kokluszem po zapaleniu płuc; co za powaga i naburmuszenie. Obok drugi z nogami jak u trupka, cały w czerwonych plamach z jakiejś maści na głowie, ani razu się nie uśmiechnęli, ani jeden, ani drugi – a ci najmłodsi muszą mieć 3, 4 lata".

„Dziennik wojenny" to książka jak piołun. Pełna wspomnień tych, którzy myśleli, że wiodą ich właśnie na śmierć („wolałbym, żeby strzelali mi otwarcie w piersi") i już nikomu nie będą mogli „powiedzieć polskiego słowa". Lecz i pełna nadziei. Gdy Józef Czapski pisze o Cyprianie Kamilu Norwidzie, dlaczego warto go drukować w żołnierskiej prasie, zauważa: „Dziś płyną wszędzie czerwone strugi krwi polskiej, padają w walce Polacy [...] na to, aby ci, co na ich śmierciach żyć będą, byli [...] swobodniejsi, wyżsi i szczęśliwsi". XX wiek położył się głębokim cieniem na marzeniach tych, którzy wyszli z Rosji z armią Andersa. Tym bardziej warto dziś do nich wrócić. ■

eprasa.pl ea01a01b09



KIEDY ZAWODZI PRAWO, POZOSTAJE ARGUMENT ODPOWIEDZIALNOŚCI MORALNEJ

Reakcje społeczeństwa niemieckiego po ogłoszeniu wyniku raportu strat wojennych sprowadzały się w dużej mierze do niezrozumienia, dlaczego nagle Polacy podsumowali niemiecki dług reparacyjny na 1,3 biliona euro. A właściwą reakcją byłoby przyznanie się do tego, że doprowadziliśmy w Polsce do zniszczeń i zbrodni oszacowanych materialnie na 1,3 biliona euro. Takiej reakcji nie było. Można oczywiście uznawać za perwersyjne wyliczanie wartości każdego zabranego życia ludzkiego, ale jakoś trzeba przecież było te straty przeliczyć. Uważam kwotę końcową raportu, czyli oszacowanie polskich strat wojennych na 1,3 biliona euro, za adekwatną – mówi prof. dr Stephan Lehnstaedt, historyk, kierownik wydziału Studiów nad Holokaustem Touro College Berlin, w rozmowie z Olgą Doleśniak-Harczuk i Antonim Opalińskim (PR24).

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

▶ Kanclerz Niemiec Olaf Scholz już w kilka dni po opublikowaniu raportu strat wojennych Polski, w jednym z wywiadów prasowych, odnosząc się do kwestii reparacji, kategorycznie je odrzucił, argumentując, że „sprawa jest zamknięta". Był Pan zaskoczony tą reakcją?

Nie jestem prawnikiem, ale reakcja rządu federalnego nie była dla mnie zaskoczeniem, ponieważ Niemcy konsekwentnie od lat podkreślają, że z punktu widzenia prawa kwestia reparacji dla Polski została zamknięta. Strona polska ma swoje argumenty, również prawne, ale tak jak powiedziałem – nie mam dostatecznej wiedzy prawniczej, by wypowiedzieć się w tej sprawie, uważam zaś, że problem jest też natury politycznej i moralnej i na tych płaszczyznach powinno się dążyć do jego rozwiązania.

▶ W grudniu ubiegłego roku w Polsce ukazała się książka pod Pańską redakcją pt. „Wina bez Pokuty? Niemcy i zbrodnie wojenne w Polsce". Na wstępie pisał Pan, że w Niemczech zbyt mało się wie o zbrodniczym charakterze niemieckich działań w okupowanej Polsce. Czy wydanie raportu o stratach wojennych przyczyni się do wzrostu świadomości społeczeństwa niemieckiego na ten temat?

Dużą przewagą raportu jest to, że jego upublicznieniu towarzyszyło spore zainteresowanie mediów. Patrząc z perspektywy naukowca, w raporcie nie znalazło się nic nowego, my to wszystko wiemy, ale oczywiście czym innym jest wiedza naukowców, a czym innym społeczeństw. Już trzy lata temu dr Karl-Heinz Roth w swojej książce wydanej zarówno po niemiecku, jak i po polsku szacował straty wojenne okupowanej przez Niemcy Polski i doszedł do kwoty 1,2 biliona euro, raport polski podaje kwotę nieznacznie większą, bo 1,3 biliona euro, a zatem już na tym przykładzie widać, że pewne informacje i szacunki krążyły w przestrzeni publicznej od pewnego czasu i można było się z tymi informacjami zapoznać. Ale tego trzeba chcieć. A jeżeli nie ma się takiej woli, to pewne rzeczy nie docierają do świadomości. Reakcje w społeczeństwie niemieckim po ogłoszeniu wyniku raportu sprowadzały się w dużej mierze do niezrozumienia, dlaczego nagle Polacy podsumowali niemiecki dług reparacyjny na 1,3 biliona euro. A właściwą reakcją byłoby przyznanie się do tego, że doprowadziliśmy w Polsce do zniszczeń i zbrodni oszacowanych materialnie na 1,3 biliona euro. Takiej reakcji nie było. Można oczywiście uznawać za perwersyjne wyliczanie wartości każdego zabranego życia ludzkiego, ale jakoś trzeba przecież było te straty przeliczyć. Uważam kwotę końcową raportu, czyli oszacowanie polskich strat wojennych na 1,3 biliona euro, za adekwatną.

▶ W Niemczech wydaje się wiele publikacji dotyczących czasu wojny, głównym tematem książek czy artykułów prasowych sięgających do tamtego czasu jest albo Holocaust, albo przepracowywanie rodzinnych traum związanych z buntem trzeciej, czwartej generacji, czyli tych, którzy próbują na nowo zrozumieć rolę swoich przodków w tej wojnie. O Polsce się nie pisze, traktuje się ją marginalnie. Jak kształtuje się dziś niemiecka polityka pamięci względem Polski lat 1939–1945?

Zgadzam się z tym, że o Polsce pisze się w tym kontekście wojennym niewiele. Centralnym elementem niemieckiej kultury pamięci jest Holocaust. W ostatnich 15–20 latach dokonały się pewne zmiany, w tym sensie, że odkryto nowe grupy ofiar, o których się przypomina. Te ofiary były oczywiście ujmowane w badaniach, ale nagle zaczęły być bardziej eksponowane w debacie publicznej. Te grupy to: prześladowani przez narodowych socjalistów homoseksualiści, Sinti i Roma, jednostki uznawane przez system za aspołeczne. Przy czym sporo miejsca w kulturze pamięci zaczęli zajmować Niemcy prześladowani w czasie III Rzeszy, czyli ofiary niemieckie. Co do pamięci o ofiarach polskich, widzę pewne zmiany w świadomości, ale one następują powoli, chociaż za pewien widoczny znak tych zmian można uznać projekt budowy Pomnika Ofiar Polskich, który powstanie w Berlinie wraz, z centrum dokumentacji niemieckich zbrodni dokonanych na terenie okupowanej Polski. Postawienie pomnika nie jest jednak równoznaczne z tym, że 80 mln Niemców zda sobie sprawę ze skali niemieckich zbrodni na Polakach. Problem polega na tym, że tych niemieckich zbrodni było tak wiele, że one w pewnym sensie mieszają się ze sobą, mam na myśli świadomość zwykłych Niemców, nie historyków. W zasadzie każdy naród w Europie poniósł jakieś straty w czasie II wojny światowej, nie sposób ustalić hierarchii pamięci, zresztą jak?

Jeszcze inną kwestią są gesty polityków niemieckich, którzy przy okazji okrągłych rocznic związanych z II wojną światową składają wieńce w polskich miejscach pamięci, udają się do Muzeum Powstania Warszawskiego, to wszystko się dzieje. Ale mimo tych gestów niemiecka pamięć o wojnie funkcjonuje głównie w odniesieniu do Holocaustu, a dopiero potem są pomordowani Polacy, Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, Włosi i członkowie innych narodów – ludzie niemający miejsca w niemieckiej kulturze pamięci lub mający go bardzo niewiele.

▶ Kiedy w ubiegłym roku w Bundestagu posłowie debatowali nad zadośćuczynieniem dla Grecji za zbrodnie Wehrmachtu, po stronie Greków stanęli posłowie Zielonych. Zapytani jednak później, czy uważają, że Polsce powinny należeć się reparacje

eprasa.pl ea01a01b09

od Niemiec, odpowiedzieli, że na gruncie prawnym temat jest zamknięty i jedyne, nad czym można by się zastanowić, to jakieś gesty zadośćuczynienia. To jest w pewnym sensie dzielenie ofiar. Poza tym Niemcy mają przecież niewyrównany rachunek nie tylko względem Grecji i Polski, lecz także Namibii, i to jeszcze z czasów kolonialnych. Można uznać, że miejsce na tej niemieckiej mapie pamięci wiąże się z odpowiedzialnością za czyny, może dlatego ta debata jest tak trudna?

Cała historia sprowadza się właśnie do tego, że Niemcy mają kilka niedomkniętych rozdziałów swojej historii. Co do Polski, bywa, że w parlamencie czy na poziomie ministerstw politycy, dla których na przykład kwestia pojednania polsko-niemieckiego jest istotna, zabierają głos, próbują wprowadzić w ruch debatę. Tylko że takich polityków jest garstka. Poza tym pojawia się pytanie, czy kwestia zadośćuczynienia Polsce może być traktowana na gruncie prawa, czy może na innym. Rząd w Warszawie postawił sprawę reparacji jako coś, czego można się domagać na gruncie prawnym, przyjęto już uchwałę Sejmu w sprawie zadośćuczynienia, czyli pierwszy krok uczyniono, ale dopóki rząd Polski nie wystosuje noty dyplomatycznej do Berlina, nie wystawi oficjalnie rachunku za straty wojenne czy nie podejmie innych kroków, chociażby skarżąc Niemcy do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, temat jest w pewnym zawieszeniu. W momencie dostarczenia takiej noty rządowi federalnemu, Berlin będzie musiał do niej się odnieść. Nie sądzę, by odpowiedź różniła się od tych, które już pojawiły się w niemieckiej przestrzeni medialnej. Zapewne uzasadnienie będzie bazowało na tym, że z punktu widzenia Niemiec sprawa reparacji jest zamknięta. I wtedy trzeba się będzie sądzić. Linia obrony Niemiec może się oprzeć na dwóch aspektach, na tym, że Polska już otrzymała reparacje, oczywiście wiadomo, że została oszukana przez Związek Sowiecki, ale jak wynika ze źródeł – Polska otrzymała 12–13 proc. z tej kwoty, którą oszacowano w raporcie. Jak spojrzymy na Zachód, to tamtejsze państwa z kolei otrzymały od Niemiec około 14 proc. zadośćuczynienia, co można interpretować w ten sposób, że Polska otrzymała po wojnie zadośćuczynienie porównywalne z tym, jakie otrzymał Zachód. Ale jest jeszcze inny poziom – odszkodowania indywidualne dla ofiar II wojny światowej. I tutaj widać ogromną nierówność i dysproporcję. Polskie ofiary obozów, pracy przymusowej, deportacji i wielu innych form prześladowań otrzymały ułamek tego, co ofiary z państw Zachodu i z Izraela. Ci obywatele polscy żydowskiego pochodzenia, którzy po wojnie wyemigrowali do Izraela czy Stanów Zjednoczonych, oczywiście otrzymali odszkodowania, ale ci, którzy zostali w Polsce, nie zostali potraktowani na tych samych zasadach. Uważam, że jest to temat, który można by podjąć w rozmowach Warszawy z Berlinem, nie odwołując się nawet tyle do kwestii prawnych, ile do moralnego obowiązku zadośćuczynienia. Nie sądzę, by postawienie roszczeń reparacyjnych wyłącznie na niwie prawnej w jakikolwiek sposób przyczyniło się do ruszenia tej sprawy w rozmowach Polski z Niemcami.

▶ Wspomniał Pan o tym, że zadośćuczynienie wypłacone po wojnie Polsce i państwom Zachodu przez Niemcy można uznać za porównywalne, a asymetria wynika bardziej z nierównego traktowania ofiar indywidualnych. Tylko że Zachód miał plan Marshalla, a po wojnie też specjalnie na nowo narodzone Niemcy nie naciskano w kwestii reparacji, ponieważ celem było jak najszybsze przywrócenie Niemcom równowagi ekonomicznej. Bez planu Marshalla nie byłoby też niemieckiego cudu gospodarczego. Mamy tu więc dwa wymiary, które z trudem można ze sobą porównać.

Owszem, Niemcy Zachodnie zostały włączone w kapitalistyczny krwiobieg Zachodu, a Polska dostała się w sowiecką strefę wpływów, tracąc swoją suwerenność, stąd też ta szeroko omawiana w ostatnich tygodniach w Niemczech rezygnacja z reparacji z roku 1953 była pochodną decyzji sowieckiej o zaprzestaniu roszczeń względem NRD, Polska Republika Ludowa nie była wolnym państwem, podlegała sowieckiej Rosji. A jednak z punktu widzenia prawa międzynarodowego zawieranie umowy jest ważne, bez względu na to, czy stroną jest demokratycznie wybrany przywódca państwa, czy dyktator i rządy tego państwa są niejako związane decyzją poprzednich. Zaznaczam, że nie jestem specjalistą w dziedzinie prawa międzynarodowego, tylko historykiem, więc to, czy sprawę reparacji można teraz uregulować na gruncie prawa międzynarodowego, zostawiam ekspertom. Może rozstrzygnie o tym Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, sprawa pewnie skończy się w sądzie tak czy inaczej. Ponieważ strona niemiecka po pierwsze będzie się powoływała na 1953 rok, po drugie na fakt, że „coś już Polsce zapłacono". Ja bym się bardziej skupił na ofiarach polskich II wojny światowej, które jeszcze żyją. Wiem, że państwo polskie troszczy się o tych ludzi, ale Niemcy nie zrobili dla nich praktycznie nic, przywołam tu znowu argument asymetrii w traktowaniu ofiar wojny ze wschodu i zachodu Europy. Niemcy mają moralny obowiązek finansowego zadośćuczynienia tym osobom, tym kilkunastu do dwudziestu tysięcy, którzy jeszcze żyją. Ale Berlin sam z siebie nie zaproponuje im wsparcia, trzeba rozmawiać.

▶ Zajmował się Pan kontrastywnie polityką Niemiec wobec „kwestii polskiej" w czasie I i II wojny światowej. Czy jako badacz odkrył Pan tu jakieś paralele?

eprasa.pl ea01a01b09

W czasie I wojny światowej nie było pomysłu na likwidację narodu polskiego, wręcz przeciwnie. 5 listopada 1916 roku władze niemieckie i austro-węgierskie wydały proklamację zawierającą obietnicę powstania Królestwa Polskiego. Oczywiście patrzono na Polskę wtedy jak na wasala, przecież nie chodziło o utworzenie suwerennej Polski, ale nie było też już idei zgermanizowania tego obszaru. Germanizacja była wcześniej w Prusach, ale z ziem zaboru rosyjskiego zajętych po 1914 roku Niemcy chcieli sprowadzić ludność pochodzenia niemieckiego, ponieważ uznawali ten kraj za całkowicie polski. Ludobójstwa wtedy nie było. Polityka Cesarstwa Niemieckiego względem Polski nie była miła, to jest absolutnie jasne, ale działania niemieckie nie celowały w zrównanie państwa i jego mieszkańców z ziemią. Dlatego nie szukałbym kontynuacji, II wojna światowa z jej wszystkimi następstwami dla Polski była ewidentnym zerwaniem z polityką niemiecką względem Polski, a nie jej kontynuacją czy rozwinięciem.

▶ Mówi Pan o celowym „zrównaniu z ziemią", w Warszawie wciąż pamiętamy płonące biblioteki, książki palone na odchodnym, ponieważ okupanci już wiedzieli, że wojna się kończy, a jednak zadali sobie trud, by pozbawić Polskę jeszcze jej dóbr kultury. Jak Pan rozumie ten ostatni akt ze strony – jakkolwiek by spojrzeć – reprezentantów narodu „poetów i filozofów"?

Zniszczenia dokonane w Warszawie w 1944 roku były zaplanowane i metodyczne, a zbliżająca się przegrana w tej wojnie jeszcze mocniej podsyciła wolę zniszczenia wszystkiego, co tylko się da, i zamordowania jak największej liczby warszawiaków. Przecież ten sam mechanizm stosowano już w roku 1943 względem Żydów, dokonując masowego ludobójstwa z jeszcze większym pośpiechem. Wracając do Warszawy – decyzja o jej zrównaniu z ziemią nie była ustaleniem narodu niemieckiego, nie – naród niemiecki zadecydował o wszystkim wcześniej, wybierając w 1933 roku Hitlera, który obiecał przywrócić Niemcom chociażby Poznań, a naród uznał to za świetny pomysł. Konsekwencje znamy.

▶ Panie Profesorze, jest Pan również znawcą tematu relacji niemiecko-izraelskich, we wrześniu w Niemczech odbyły się uroczystości upamiętnienia 50. rocznicy zamachu na izraelskich sportowców, którzy brali udział w Olimpiadzie w Monachium. Do tych uroczystości o mały włos by nie doszło, ponieważ rodziny zamordowanych sportowców zagroziły bojkotem, jeżeli rząd federalny nie wypłaci im godnych odszkodowań. Rząd ugiął się pod tą presją i wypłacił ostatecznie rodzinom 28 mln euro. Morał z tej historii może być taki, że presja ma sens?

Uważam, że stało się dobrze, że po tylu latach w końcu rodziny otrzymały odszkodowania, ale to jest kolejny wątek, który potwierdza – również w odniesieniu do Polski – że dochodzenie roszczeń indywidualnie ma sens. Nie porównuję ofiar II wojny światowej i ofiar zamachu, ale widać, że państwo niemieckie w przypadku zamachu w 1972 roku, gdzie popełniono wiele błędów, przyznało się i poniosło konsekwencje finansowe.

▶ Pytamy o Monachium, ponieważ Marco Buschmann, federalny minister sprawiedliwości, w przeddzień uroczystości w Monachium powiedział: „odpowiedzialność się nie kończy, a z winy wynika obowiązek", i to zdanie może być rozumiane uniwersalnie, również w odniesieniu do niemieckiego długu względem Polski.

Prawda jest taka, że niemieccy politycy od lat powtarzają, że Niemcy są odpowiedzialne za zbrodnie II wojny światowej i ponoszą odpowiedzialność za jej konsekwencje, ale te deklaracje kończą się tam, gdzie zaczyna się temat finansów. Przynajmniej jest to temat podejmowany niechętnie. Jeszcze raz wrócę do reparacji i do odszkodowań indywidualnych, jedne można rozpatrywać prawnie, drugie to płaszczyzna moralnego obowiązku wobec konkretnych osób, którym odmówiono finansowego zadośćuczynienia na zasadzie: „tak, jest nam bardzo przykro, wiemy, co was spotkało, ale pieniędzy nie będzie". Uznaję za problematyczną sytuację, gdzie wobec ofiar z Francji ta powinność moralna idzie w parze z zadośćuczynieniem finansowym, a w przypadku ofiar z Polski – nie. Na tym polu można się porozumieć, ponieważ niemieccy politycy nie będą mogli odrzucić tej kwestii, powołując się na prawo.

▶ Owszem, ale z drugiej strony rodziny ofiar z Monachium również wyczerpały ścieżkę prawną, sądy wszystkich instancji oddaliły ich skargi, rząd federalny zaczął się sprawie poważnie przyglądać dopiero wtedy, gdy rodziny postanowiły zwrócić się do Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe. Czyli nawet jak prawnie trudno uzyskać sprawiedliwość, można ją niejako wymóc, posługując się presją moralną, w tym przypadku odmowa mogła się zakończyć skandalem i poważnymi stratami wizerunkowymi państwa niemieckiego.

I o to chodzi. Kiedy zawodzi prawo, w sensie ścieżka prawna – zawsze jeszcze pozostaje argument moralnej odpowiedzialności. A on jest bardzo silny. Tylko warunkiem każdego porozumienia jest rozmowa, jak Polska złoży oficjalną notę, będziemy się mogli zastanowić, co dalej. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Ryszard Czarnecki

GRY GEOPOLITYCZNE. CZAS PRZEŁOMU

Jesień 2022. Polityka międzynarodowa jest dynamiczna. Powód: wojna w Europie Wschodniej i geopolityczne oraz ekonomiczne konsekwencje tego stanu rzeczy. Prześledźmy sytuację głównych rozgrywających.

USA. Wydaje się, że rządzi tam raczej Pentagon niż Biały Dom. Pewnie i lepiej. Waszyngton zweryfikował swoje błędne założenia wprowadzane w życie w 2021 roku, gdy postawiono na reset z Rosją, aby oderwać ją od Chin. Operacja wzorowana na tej z 2009 roku, gdy rządził duet Obama–Biden, zakończyła się fiaskiem – na szczęście, bo była bardzo niebezpieczna dla Polski, naszego regionu Europy i całego obszaru postsowieckiego. USA stojące przed listopadowymi wyborami do obu izb Kongresu będą kontynuować politykę ograniczania wpływów Chin i Rosji. Znacznie lepiej im idzie w przypadku Moskwy niż Pekinu. Ponoszą też porażki na przykład w Afryce (nieudana wizyta sekretarza stanu Blinkena w RPA w sierpniu 2022 roku). Jednak wojna w Europie Wschodniej wzmocniła Waszyngton w wymiarze geopolitycznym, a nie tylko dlatego, że przemysł zbrojeniowy USA przeżywa dzięki temu swoisty „honeymoon" (miesiąc miodowy). W relacjach USA–Polska nastąpił powrót do czasów Trumpa, gdy to Rzeczpospolita stała się partnerem numer 1 Stanów Zjednoczonych w UE. Jest to korzystne dla obu stron.

CHINY. Jak bardzo długofalową politykę prowadzą, widać po reakcji na wojnę Rosji z Ukrainą: Pekin, wbrew oczekiwaniom wielu, nie popiera wprost Moskwy, choć też oczywiście jej nie potępia. Wykorzystuje ten czas do... uzależnienia ekonomicznego Rosji od siebie, znacząco zwiększając (o 48,8 proc.) import towarów z Federacji Rosyjskiej. Charakterystyczna jest struktura wymiany handlowej między tymi państwami: Pekin głównie bierze nieprzetworzone surowce, a sam wysyła technologie, których Rosja jest pozbawiona w wyniku sankcji Zachodu. ChRL potrafi też skarcić Moskwę, jak ostatnio, deklarując wsparcie dla terytorialnej integralności Kazachstanu – państwa między Rosją a Chinami, które stało się przedmiotem medialnej rosyjskiej agresji w kontekście przyłączenia do Federacji Rosyjskiej Kazachstanu Północnego, w którym żyje zdecydowana większość populacji rosyjskiej stanowiącej jedną czwartą mieszkańców całego państwa. Ponadto Chiny dalej prowadzą taktykę uzależniania tzw. krajów rozwijających się, zwłaszcza w Afryce.

INDIE. Drugi pod względem ludności kraj świata z angielskim jako jednym z dwóch języków oficjalnych i w trakcie poważnych reform gospodarczych forsowanych przez prezydenta Narendra Modi jest jednocześnie w TOP-3 państw wydających najwięcej na zbrojenia. Rywalizują z Chinami, namawiają Moskwę na jak najszybsze zakończenie wojny z Ukrainą (Putin obiecuje im, że oczywiście też tego pragnie...), w ostatniej dekadzie zbliżyły się bardzo do USA – nastąpiło tu odwrócenie sojuszu, bo Waszyngton przez parę dekad stawiał na Pakistan. Słowem: rola New Delhi rośnie.

NIEMCY. Gwałtowne zmniejszenie autorytetu i aktywów geopolitycznych w Europie po agresji Rosji na Ukrainę oraz utrata osiągniętego w 2021 roku, w pierwszych miesiącach prezydentury J.R. Bidena, specjalnego statusu w relacjach transatlantyckich (na rzecz Polski zresztą...) – to bilans Berlina w pierwszych dziewięciu miesiącach A.D. 2022. Stąd właśnie „ucieczka do przodu" O. Scholza w postaci propozycji quasi-reformy UE, w tym odejścia od zasady jednomyślności, co zwiększy siłę Niemiec. Stąd też blokowanie KPO dla Polski, aby obniżyć konkurencyjność kraju, który stał się dla innych punktem odniesienia

POLSKA. Z bessy roku 2021 (zbliżenia USA z Niemcami i Rosją) weszliśmy w hossę roku 2022, gdy w kontekście wojny za naszą granicą staliśmy się graczem ponadregionalnym i głównym sojusznikiem USA w Europie. Polska jest w windzie, która jedzie w górę. I dlatego nas atakują. ■

eprasa.pl ea01a01b09



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Zraniona twarz Buenos Aires

O tym, że stolica Argentyny to piękne i fascynujące miejsce, przekonywać raczej nie trzeba. Dlatego nie o tym będzie ten materiał. Raczej o tym, jakie nowe oblicze miasta pojawiło się w ciągu ostatnich kilku lat. Oblicze, którego większość porteños najchętniej nigdy nie chciałaby poznawać. Oblicze przybrane tuż po tym, gdy przez Argentynę zaczął przetaczać się walec gigantycznego kryzysu ekonomicznego. A inflacja przekroczyła 70 procent.

eprasa.pl ea01a01b09



FOT. ANDREW MILLIGAN

eprasa.pl ea01a01509



Koloryt Buenos bez wątpienia wciąż w tym mieście pozostał. Zwłaszcza ten zewnętrzny, uliczny. Gorzej z kolorytem życia samych mieszkańców.

Weszli przez okna – wzdycha głośno Norma, siedemdziesięcioletnia na oko mieszkanka dzielnicy Villa del Parque. – Wtedy nie mieliśmy jeszcze zainstalowanych krat. Dziś to obowiązkowy wręcz element każdego domu. Każdego mieszkania.

– Pamiętasz szczegóły tamtego wydarzenia? – dopytuję.

– Oczywiście. Pamiętam, co wówczas robiłam, gdzie byliśmy z mężem, ile czasu wracaliśmy do domu. Wszystkie szczegóły. Na szczęście nie było nas w domu podczas włamania...

– Na szczęście? Chyba na nieszczęście – poprawiam moją rozmówczynię. – Gdybyście byli w domu, złodzieje najprawdopodobniej by nie weszli.

– No właśnie nie. Jesteś w błędzie. Tutaj w Argentynie lepiej nie być świadkiem włamania... Bo widzisz – kontynuuje kobieta – to nie było nasze pierwsze włamanie. Mieliśmy kolejne. I na jednym z nich już w domu byliśmy... W sumie w ciągu ostatnich lat, jak tu mieszkamy, mieliśmy trzy włamania – zaczyna Norma. – Za jednym razem włamywacze weszli, gdy urządzaliśmy przyjęcie w ogrodzie.

– Zrobili wam krzywdę?

– Nie mieli odwagi. Ale wierz mi, że widok trzech uzbrojonych w broń młodych ludzi krzątających się w pośpiechu po twoim salonie zostaje z tobą na zawsze.

– Dużo wam zabrali?

– Już nie pamiętam. Jakieś kosztowności. Trochę elektroniki. Sam zresztą widzisz, że my tu nie mamy za wiele – kobieta sugestywnie rozkłada ręce. Dom rzeczywiście jest prowadzony w skromny sposób. Choć dla przeciętnego mieszkańca Buenos z całą pewnością byłoby marzeniem móc zamieszkać w takiej posiadłości.

Dom składa się z dwóch murowanych budynków. Przedzielonych zielonym ogródkiem. To tutaj toczy się większość życia rodzinnego państwa Ottone. Tutaj rozpalany jest wieczorny grill, gdy na kolacyjnym stole ląduje sławny na cały świat argentyński stek. Podawany z soczystozielonymi liśćmi sałaty. I białym winem. Taka rodzinna biesiada może potrwać nawet do pierwszej w nocy. Zwłaszcza że z racji upałów nie zaczyna się zwykle wcześniej jak o dwudziestej.

W domu rzeczywiście nie ma wielu wartościowych rzeczy. Ot, prosty wystrój z kilkoma drewnianymi meblami. I książkową biblioteczką na półpiętrze. – Nikt z nas nie spodziewał się, że taki dom może stać się obiektem pożądania dla włamywacza – dodaje smutnym głosem Maggie, córka Normy. – Ale dla Buenos Aires naprawdę nastały trudniejsze czasy. Widzimy to niemal wszędzie.

FOT. ANDREW MILLIGAN

eprasa.pl ea01a01b09



Ubrana w jaskrawe pastele rybacka dzielnica La Boca to dziś już nie tylko mekka turystów, lecz także jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w całym mieście.

FOT. HERNÁN PIÑERA

Ludzie-drzewka, czyli „arbolitos"

Prawdopodobnie nie takiego Buenos spodziewają się turyści lądujący na pobliskim lotnisku imienia Juana Pistariniego. Chociaż jeszcze jadąc z terminala przez południowe przedmieścia 15-milionowego Buenos Aires nadal mają prawo utrzymywać się w przekonaniu, że oto wylądowali w mieście naprawdę dalece odbiegającym od latynoskich standardów aglomeracji. Standardów miast, które – umówmy się – nie wypracowały południowoamerykańskiemu kontynentowi najlepszej renomy. Niebezpiecznego Caracas, przesiąkniętej przestępczością Managui czy Rio de Janeiro, w którym turystom nie zaleca się wychodzenia wieczorem na plażę. O Buenos Aires mówiło się do tej pory przybyszom, że to miasto inne od wymienionych. Że tutaj znacznie bardziej czuć europejskość. Że to miasto enklawa. Bo to rzeczywiście wszystko prawda. Niestety odnosząca się do czasów minionych.

Ostatnia dekada to dla Buenos czas bardzo dużych napięć. Zarówno społecznych, jak i przede wszystkim ekonomicznych. Kolejne bankructwa państwa, kolejne kryzysy. Pandemia jedynie dobiła stygnącą argentyńską gospodarkę. Gdy rok temu inflacja przebiła 50 proc. wielu wydawało się, że to najgorszy z możliwych ekonomicznych scenariuszy. Sierpień 2022 pokazał jednak, że ubiegłoroczne wyniki były jedynie preludium najczarniejszego scenariusza: inflacja przekroczyła właśnie 70 proc. A analitycy spodziewają się, że z końcem tego roku jej poziom może dobić do 90 proc.

Argentyńczycy masowo wymieniają peso na waluty obce. Na ulicach Buenos pojawili się tzw. arbolitos, ludzie, u których można wymienić peso na nielegalne dolary nazywane „blue". Nielegalne, gdyż rząd narzucił limit, jeśli chodzi o ilość gotówki, jaką mieszkaniec może wymienić w ciągu jednego miesiąca. W dodatku taka wymiana jest znacznie bardziej korzystna. W kantorze za jednego dolara otrzymamy około 100 pesos. Podczas gdy na czarnym rynku za tę samą sumę dostaniemy już 180 pesos. W społeczeństwie rosną obawy przed dewaluacją.

Bieda zakrada się za niemal każdy narożnik ulic miasta. Przybierając coraz nowsze formy. Na targu Villa Fiorito ludzie wymieniają swoje ubrania, by otrzymać w zamian jedzenie. Sytuacja gospodarcza staje się naprawdę skomplikowana. I widać to wyraźnie także na ulicy największego miasta Argentyny.

60 USD pensji miesięcznie

W okolicach położonego w centrum miasta Parque Centenario widać coraz więcej szwendających się bez

eprasa.pl ea01a01b09



W trudnych czasach pozostaje zwrócić się do muzyki i sportu. A także do ikon, które kojarzą się jako idole dla biedoty. Na balkonie w La Boca stoją od lat. Carlos Gardel, Evita Perón oraz Diego Maradona.

celu bezdomnych. W leżącej nieco na peryferiach dzielnicy Bosques obrazek przedstawiający pozostawiony na chodniku materac też już nikogo nie dziwi. Większość okolicznych mieszkańców potrafiłaby pewnie wskazać nawet, do kogo on należy. Wskazać człowieka, któremu najbliższej nocy będzie on służył za łóżko. Ludzie zaczynają kombinować. Rozszerza się szara strefa.

Już w ubiegłym roku wskaźnik poziomu ubóstwa przekroczył w Argentynie 42 proc. Jednym z takich czterech na dziesięciu Argentyńczyków przynależących do tej grupy jest czterdziestoletni Rodriguez. Mężczyzna, który dwa razy w tygodniu przybywa na targ w Buenos Aires, przywożąc ze sobą świeże owoce i warzywa, następnie wracając do domu, gdzie mieszka z żoną i dwójką z czwórki dzieci, jaką posiadają. W domu znajdującym się pod stolicą nie ma łazienki, bieżącej wody ani gazu do gotowania. „Zarabiam około 12 tys. pesos miesięcznie, co odpowiada około 60 dolarom" – zdradza przepytującemu go dziennikarzowi z agencji Reuters.

Podobnych Rodriguezów jest dziś w całej Argentynie coraz więcej. Samo Buenos Aires i tak jawi się jako miejsce, gdzie nie jest jeszcze najgorzej. Ale to także zarazem druga strona medalu. Kryzysy przyciągają ludzi zwykle do aglomeracji. Trudno się dziwić. Szacuje się, że 10 mln Argentyńczyków nie jest dziś w stanie spłacić czynszu. Ludzie ci przenoszą się więc na nielegalnie wznoszone osiedla na przedmieściach. Zaś do samej stolicy Argentyny cały czas przybywają kolejni imigranci wewnętrzni. Już nie tylko zarobkowi. Także tacy, którzy są po prostu głodni. I nie mają już zupełnie nic.

Kilka sekund roztargnienia

Na takich ludzi czeka coraz bardziej popularna w mieście kryminalna twarz Buenos Aires. Owszem, to prawda: ta twarz była tu obecna od zawsze. Ostatnimi laty jednak obejmuje swym zasięgiem znacznie więcej ludzi niż do tej pory. Kryminalna twarz Buenos ma wiele obliczy. Jednym z nich są tysiące przypadków kradzieży dziennie.

Takich jak choćby w popularnej kawiarni nieopodal Plaza Dorrego. Nie ma dnia, aby jakiś zrozpaczony turysta nie zwracał się do tutejszych ekspedientek z prośbą o pomoc i telefon na policję, gdyż właśnie ktoś ukradł mu portfel, plecak czy torbę z aparatem fotograficznym. Często wystarczy nawet sekunda nieuwagi. Turystów okradają profesjonaliści. Ci sami, którzy często obserwują niczego nieświadomych gringos już od samego początku ich pojawienia się na ulicy. Cierpliwie oczekując na kilka sekund nieuwagi.

Tak było choćby w przypadku Aldony, Polki, która wpadła do tutejszej kawiarni, by – zmęczona argentyńskim słońcem i rozgardiaszem ulicy – znaleźć w środku chwilę wytchnienia. W powiewie rozhulanej do maksimum klimatyzacji i z zimną frappe w dłoni odpoczy-

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl ea01a01b09



Obrazek, do jakiego mieszkańcy Buenos Aires, najbogatszego miasta Argentyny, już zdążyli przywyknąć.

wała, gdy naraz zorientowała się, że ktoś wyciągnął jej plecak spomiędzy stóp. Jej, wytrawnej globtroterce, zaznajomionej ze sztuką podróżowania, tej, której nigdy wcześniej coś podobnego się nie zdarzyło.

Turyści w Buenos robią wszystko, co w ich mocy, aby zabezpieczyć się przed podobnymi nieprzyjemnościami. W metrze niemal każdy trzyma plecak na brzuchu. Pieniądze chowają zwykle w różnych miejscach. Używając zamykanych na suwak kieszeni. A i tak mimo to...

Na przystanku

Tej dwójce amerykańskich turystów z całą pewnością nie brakuje gotówki. Stojący na przystanku autobusowym stosują się do wszelkich reguł, jakie obowiązują w podobnych sytuacjach, w podobnych miejscach. Gdy ludzie tacy jak oni są po prostu na świeczniku. On z przesuniętym na brzuch plecakiem. Zamykanym na suwak. Portfel w bocznej kieszeni spodni. Też zapiętej na suwak. Do tego czujne oczy rozglądające się dokoła. I uprzejmy, acz bezpieczny dystans względem obcych.

Choćby takich jak ta trójka Argentyńczyków, którzy od kilku już minut usiłują przekonać parę, że zamiast czekać na piętrusa obwożącego turystów po najciekawszych atrakcjach miasta, lepiej wynająć ich jako prywatnych przewodników. Wierni swoim zasadom ograniczonego zaufania Amerykanie nie dają się namówić. Grzecznie odmawiając i kontrując kolejne argumenty wystrzeliwane niczym z karabinu maszynowego przez argentyńskich rozmówców.

Naraz mężczyzna spostrzega, że boczna kieszeń spodni, w której trzyma portfel, nie jest już zamknięta. Na szczęście złodziej nie zdążył wyjąć zawartości. Portfel wciąż tu jest. Argentyńczycy kontynuują rozmowę. Jakby temat niedoszłej kradzieży zupełnie nie był z nimi związany. Przekrzykują się na argumenty, aby wybrać się z nimi na proponowaną wycieczkę. W tym momencie na przystanek wreszcie wjeżdża autobus. Amerykanie z ulgą wchodzą na jego pokład, zasiadając na górnym piętrze. Dopiero za kilka minut mężczyzna zorientuje się, że z plecaka, który aż do tej pory trzymał na piersi, zniknął aparat. Do dziś nie ma pojęcia, jak to się mogło stać. I kiedy dokładnie.

Stara wypróbowana metoda

Złodziejski sposób na „ptasie odchody". Jeszcze przed dziesięciu laty mało który z przybywających do Argentany gringos wiedział, o czym mowa. Dziś o sprytnej sztuczce rabusiów piszą już w angielskojęzycznych przewodnikach. Powszechność złodziejstwa i stosowanych w nim metod – jeszcze do niedawna uznawanych za wysublimowane i nietypowe – stała się prawdziwą plagą miasta.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl ea01a01b09

Tym razem dziwnej konsystencji biały placek ląduje na kolorowej koszuli pewnej Francuzki. Dziewczyna jest zaskoczona. Nie ma pojęcia, co takiego znalazło się na jej ubraniu. Z uwagą spogląda w niebo. Nad głową przelatuje kilka mew. Dziewczyna na chwilę się uspokaja. Za moment do turystki podchodzi na oko życzliwie wyglądająca para starszych ludzi. Wyglądają na tutejszych. Niesiona przez pana plastikowa reklamówka sugeruje, że państwo wracają właśnie z zakupów. Idą pod rękę.

– Qué pasa, señora? Problema? Oh, horrible! Espera un minuto! – przeurocza starsza pani wyjmuje prędko niewielką białą ściereczkę i zaczyna delikatnie wycierać plamkę na ubraniu dziewczyny. Nadal wyjątkowo zaskoczonej takim obrotem sprawy. Wszak wszystko dzieje się tak szybko.

– Merci... – zdezorientowana potrafi w tej chwili wyszeptać tylko tyle.

– De nada, de nada... – odpowiada kobieta, nadal koncentrując się na zmywaniu plamki. By po kilku chwilach dać znać, że po ubrudzeniu nie ma już śladu. – Se hace.

Dziewczyna ogląda się za znikającymi za rogiem starszymi ludźmi. Nie zdążyła im nawet dłużej podziękować. Dopiero po dotarciu do hotelu Francuzka zaczyna prędko przeczesywać rzucony na łóżko plecak. Niestety. Stało się to, czego się spodziewała. Pokrowca na karty pamięci już tutaj nie ma. Złodzieje najprawdopodobniej omyłkowo wzięli to za portfel. Straty z pewnością żal. Ale tego doświadczenia Francuzce nikt już nie zabierze. Jak i podobnych jej, którzy tego dnia trafią na komisariat policji przy ulicy Lisandro de la Torre. Podobnych zgłoszeń policjanci z tutejszego posterunku nr 9 mają już kilkanaście. A do wieczora zostało jeszcze kilka godzin.

Nożownicy z La Boca

Opisane wyżej przypadki to z całą pewnością trauma dla okradzionych. I słabo zaczęta przygoda z argentyńską ziemią. Dla niektórych nieprzyjemna chwila będzie się wiązała z koniecznością zakupu nowego aparatu fotograficznego. Dla innych – z wizytą w banku, by zastrzec kartę. A dla jeszcze innych ze sprawdzeniem adresu konsulatu, aby wyrobić sobie dokumenty konieczne do powrotu do domu. To wszystko jednak i tak łagodniejsze oblicze kryminalnej twarzy Buenos. Powoli odchodzące do lamusa. Coraz częściej w rodzinnych kręgach porteños słyszy się bowiem historie znacznie bardziej dramatyczne.

– Do tej dzielnicy raczej nie wjeżdżaj. A jeśli już musisz, to po prostu nie stawaj na światłach. Nawet na czerwonym – mówi Alex. – Ostatnio odkręcili koła jednemu kierowcy, gdy stał, oczekując na zielone. I uciekli.



Dla wielu mieszkańców kryzys i ogromna inflacja oznaczają konieczność szukania dodatkowych źródeł utrzymania.

W ciągu ostatnich trzech lat poziom przestępczości na ulicach Buenos Aires wzrósł o 73 proc. Niewątpliwie przyczynił się do tego kolejny kryzys gospodarczy, jaki zdławił tutejszą gospodarkę. Oraz perturbacje polityczne. Państwo tego nie udźwignęło. Ofiarami jak zwykle w tego typu sytuacjach zostali przede wszystkim najubożsi. Tych w stolicy kraju żyje już kilka milionów. Nie widząc innego sposobu na przetrwanie, wychodzą więc na ulice, by tu znaleźć zarobek.

Tej twarzy Buenos można oczywiście w ogóle nie dostrzec. Wystarczy przebywać głównie w centrum miasta. Nie zapuszczać się na turystyczną dzielnicę La Boca po zmroku (ataki nożowników zaciągających w ciemne uliczki bezradnych, spragnionych fotograficznych ujęć tańczących tango na tle zachodzącego słońca, gringos stały się kolejną historią, którą porteños opowiadają mi z wypiekami na policzkach). I stosować podstawowe środki ostrożności. Wówczas Buenos pozostanie w naszej pamięci dokładnie takie, jakie sobie wyśniliśmy przed przylotem.

Dobrze jednak wiedzieć, że jest też drugie oblicze stolicy Argentyny, zmieniającej się w coraz szybszym tempie. I to na naszych oczach. ■

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl ea01a01b09



FOT. RUSVESNA.SU

Kucharz Putina idzie na wojnę. Wagnerowcy na ukraińskim froncie

Antoni Rybczyński

Grupę Wagnera na ukraińskim froncie dotknął ten sam problem, co regularne wojsko. Weteranów specnazu i wojsk powietrznodesantowych, z zaliczonymi misjami w Syrii, Libii i innych krajach Afryki, zastępują coraz częściej ludzie z marnym doświadczeniem wojskowym, niewystarczająco przeszkoleni. Przybywa też mało zdyscyplinowanych przestępców, w tym morderców, rabusiów i gwałcicieli. Być może gdzieś na tyłach, do terroryzowania okupowanej ludności, byliby jeszcze przydatni. Ale w pierwszej linii, w bezpośrednim starciu z Ukraińcami, stają się prawdziwym mięsem armatnim.

eprasa.pl ea01a01b09

Wagnerowcy trafili na ukraiński front dopiero w drugim rzucie, pod koniec marca, już po klęsce operacji zdobycia Kijowa, w trakcie wycofywania się Rosjan z północy i północnego wschodu Ukrainy. Od razu najemnicy trafiali do baz w okupowanym Donbasie, gdzie przygotowywali się do ofensywy w tym regionie, która ruszyła już niebawem, po przegrupowaniu się Rosjan. Ale z Ukraińcami od początku inwazji wojowali inni najemnicy, głównie z grupy Reduta, ściśle podporządkowanej i wymyślonej przez wojskowych. Baza Reduty znajduje się w podmoskiewskiej Kubince, po sąsiedzku z bazą elitarnej 45. Brygady Wojsk Powietrzno-Desantowych. To właśnie byli oficerowie tej jednostki dowodzą Redutą.

Ostatnia misja Prigożina?

Dlaczego wagnerowców nie było w tej wojnie od początku? Powodem były personalne konflikty Jewgienija Prigożina z dwiema bardzo wpływowymi osobami, odgrywającymi kluczowe role w ukraińskiej „wojskowej operacji specjalnej" Władimira Putina. Z wiceszefem administracji prezydenckiej Siergiejem Kirijenką Prigożin – od początku istnienia Grupy Wagnera jej sponsor – jest na noże ze względu na osobę gubernatora petersburskiego, Aleksandra Biegłowa. Ten człowiek Kirijenki, który odpowiada za politykę regionalną na Kremlu, bardzo nie odpowiada Prigożinowi, który miasto nad Newą uważa niemal za swe udzielne księstwo. Do tego Kirijenko jest cywilnym kuratorem Kremla nad okupowanymi ziemiami ukraińskimi, to on odpowiada za proces przyszłej aneksji Donbasu, obwodów chersońskiego i zaporoskiego. Drugi personalny problem Prigożina to minister obrony Siergiej Szojgu. Choć panowie od wielu lat są skazani na współpracę (armia rosyjska zapewnia wsparcie logistyczne wagnerowcom, ci zaś często wykonują rozkazy dowództwa wojskowego – tak było choćby w Syrii i jest teraz na Ukrainie), to kilka lat temu mocno popsuły się między nimi relacje. Szojgu miał dość fatalnego cateringu, jaki spółki Prigożina zapewniają wielu wojskowym jednostkom (stąd zresztą przydomek biznesmena: kucharz Putina) i w 2018 roku resort obrony poszedł nawet z tym do sądu. Od kontraktów armia jednak się nie uwolniła, bo sądy w większości przypadków orzekły na korzyść Prigożina.

Fiasko blitzkriegu, co mocno poderwało zaufanie Putina do Szojgu, spowodowało, że armia i Grupa Wagnera musiały wrócić do współpracy. Tym bardziej, że już w marcu było widać, że duże straty w ludziach zmuszą dowództwo do szukania rezerw ludzkich. Wszak wcześniej zakładano szybką kampanię, a Szojgu zapewniał Putina, że wystarczą siły na czas pokoju, bez mobilizacji. Okazało się inaczej, więc sięgnięto między innymi po doświadczonych latami walk w Donbasie, Syrii czy Libii najemników. Początkowo wojsko próbowało werbować wagnerowców, którzy akurat przebywali na urlopie, byli w przerwie między misjami. Ale szybko okazało się, że to za mało. W kwietniu dowództwo wojskowe zmusiło Prigożina do sprowadzenia na front części swoich najemników z Afryki i Syrii. Co nie do końca uśmiechało się biznesmenowi, ponieważ wagnerowcy w różnych miejscach Afryki i Bliskiego Wschodu realizują nie tylko cele Kremla, ale też ochraniają należące do niego kopalnie i złoża. Prigożin postanowił więc wykorzystać sytuację i wojnę z Ukrainą do wzmocnienia swych wpływów, zwłaszcza że traci je Szojgu, a ostatnio – w związku z fiaskiem (póki co) „referendów" na okupowanych ziemiach – także Kirijenko. W tym celu „kucharz Putina" wyszedł z cienia i już otwarcie przyznaje się do tego, że wagnerowcy to jego firma. Do tego rozpoczął szeroko zakrojoną kampanię rekrutacji do Grupy Wagnera, aby wykazać się przed Putinem, który łaknie nowego mięsa armatniego na Ukrainie niczym kania dżdżu. Ale żeby przedstawić atrakcyjne oferty przyszłym pasażerom cynkowych trumien, należało zdobyć wojenną sławę. W efekcie wagnerowcy idą do boju w pierwszym szeregu i wszędzie tam, gdzie ich potrzebuje dowództwo. To kosztuje dużo krwi, ale w pierwszych dwóch miesiącach obecności tych najemników na wojnie przyniosło też kilka sukcesów, które teraz Prigożin propagandowo wykorzystuje.

Bitwy i zbrodnie

Pierwszym zwycięstwem, z okazji którego Grupa Wagnera zaczęła nawet przyznawać swoim żołnierzom medal, było wzięcie Popasnej. Ten ważny węzeł drogowy i kolejowy na tzw. kierunku bachmuckim, leżący tuż przy granicy obwodu ługańskiego z donieckim, w podobnej odległości od Ługańska i Siewierodoniecka, był atakowany przez Rosjan od połowy marca. Walki trwały półtora miesiąca. Dopiero wsparcie wagnerowców pozwoliło przełamać opór ukraiński i zająć miasto – na początku maja. Wielkiego znaczenia dla ofensywy to nie miało, ot, kolejny krok w ofensywie, ale dzięki relacjom korespondentów wojennych, między innymi w największej telewizji, z wagnerowców zrobiono bohaterów. Wtedy też Prigożin uznał, że może na ukraińskiej wojnie wybić się jeszcze bardziej. Oddziały Grupy Wagnera dalej nacierały na kierunku bachmuckim. Wiadomo, że wspólnie ze specnazem najemnicy zdobywali w maju Switłodarsk i Myroniwskij, posu-

eprasa.pl ea01a01b09

wając się na północny zachód wzdłuż drogi M03. Tuż obok leży elektrociepłownia w Wuhlehirsku. Ją wagnerowcy wzięli po krwawych bojach w pierwszej połowie lipca dopiero. To zresztą pokazuje zaciętość walk i opór ukraińskiej obrony – wspomniany obiekt leży zaledwie 1,5 km od zdobytych ponad miesiąc wcześniej miejscowości. Zresztą kilka dni wcześniej rosyjska armia z pomocą najemników zajęła wieś Kłynowe, leżącą kilka kilometrów od Bachmutu. Przez kolejne dwa i pół miesiąca Rosjanie na tym kierunku posunęli się może jakieś kilkaset metrów naprzód...

Wagnerowcy walczą też na innych odcinkach operacji donbaskiej. W czerwcu wspierali regularne wojsko w walkach o Łysyczańsk, który padł 3 lipca. W lipcu wspólnie z żołnierzami 22. brygady specnazu najemnicy Wagnera działali w Wołodmyrywce, byciu pierwszych wagnerowców. 27 maja 2022 na kanale Telegram, który jest powiązany z Rusiczem, opublikowano niedatowane zdjęcie, na którym widać Milczakowa i jego zastępcę, stojących przed na wpół zniszczonym pojazdem opancerzonym. „Milczakow (...) wrócił do akcji" – napisano w poście. „Teraz jest gdzieś na bezkresnej Ukrainie, aktywnie zaangażowany w denazyfikację i demilitaryzację".

Wagnerowcy na Ukrainie nie tylko walczą w pierwszym szeregu, lecz także pełnią inne funkcje, choćby strażnicze. To ich ludzie torturują wziętych do niewoli Ukraińców. Podobnie jak w Syrii czy w Afryce, wagnerowców na Ukrainie również obciążają zbrodnie. Przede wszystkim chodzi o rzeź ukraińskich jeńców w tzw. obozie filtracyjnym w Ołeniwce. W nocy z 28 na 29 lipca w tym prowizorycznym obozie jenieckim na terytorium tzw. Donieckiej

Fiasko blitzkriegu, co mocno poderwało zaufanie Putina do Szojgu, spowodowało, że armia i Grupa Wagnera musiały wrócić do współpracy.

na południowy zachód od Doniecka. Oddziały Grupy Wagnera działające w składzie sił rosyjskich walczących na Ukrainie zazwyczaj na polu walki współdziałają ze specnazem. W odróżnieniu od innych prywatnych rosyjskich firm wojskowych, które również działają na Ukrainie, takich jak Redut czy Patriot, Grupa Wagnera posiada własne czołgi, ciężką artylerię, obronę powietrzną, systemy rakietowe a nawet kilka samolotów bojowych. Z wagnerowcami współdziałają oddziały ochotników z Rosji walczących z powodów ideologicznych. Najbardziej znani są neonaziści z organizacji o nazwie Rusicz (założona w 2014 roku w Sankt Petersburgu). To zresztą kontynuacja współpracy z lat 2014–2015 w wojnie w Donbasie. Wtedy, we wrześniu 2014 roku, dwie grupy batalionu Ajdar w pobliżu wsi Szczastje w obwodzie ługańskim wpadły w zasadzkę Rusicza. Lider organizacji, Aleksiej Milczakow, robił sobie potem zdjęcia z ciałami zabitych ukraińskich żołnierzy. Przy tej okazji rosyjskie media przypomniały, że wcześniej ten psychopata chwalił się w Internecie obcięciem głowy szczeniakowi. Milczakow walczył u boku wagnerowców także w Syrii. Zdjęcia i filmy zamieszczone w mediach społecznościowych w latach 2020–2021 wskazywały na to, że członkowie Rusicza przebywali w tym kraju. Na Ukrainę wrócili nie później, niż na początku kwietnia, a więc zaraz po przy-

Republiki Ludowej doszło do wybuchu. W wyniku eksplozji zginęło 53 ukraińskich żołnierzy więzionych przez Rosjan, a 130 zostało rannych. Większość z nich należała do Pułku Azow, zostali wzięci do niewoli po kapitulacji zakładów Azowstal w Mariupolu. Rosja oskarżyła natychmiast o ten atak Ukrainę, twierdząc, że użyto do tego uzyskanych od USA systemów HIMARS. Opublikowane przez media nagrania wideo z miejsca zdarzenia oraz zdjęcia satelitarne wykluczają jednak taką możliwość. Analiza zdjęć satelitarnych wykazała, że zniszczenia zostały spowodowane przez „wybuch termobaryczny od wewnątrz". Według wstępnych danych międzynarodowych ekspertów, ukraińscy jeńcy wojenni w Ołeniwce zostali zabici bronią termobaryczną – poinformował też prokurator generalny Ukrainy Andrij Kostin. Ukraiński wywiad wojskowy twierdzi, że atak został przeprowadzony przez Grupę Wagnera na zlecenie Jewgienija Prigożina. Jak poinformowano w komunikacie HUR, ten „akt terroryzmu" nie został uzgodniony z rosyjskim ministerstwem obrony. „Głównym celem było ukrycie procederu rozkradania pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie ukraińskich jeńców. Wiadomo, że 1 sierpnia do tego obiektu miała przybyć inspekcja z Moskwy, aby sprawdzić wydatkowanie przyznanych środków oraz warunki przetrzymy-

eprasa.pl ea01a01b09

wania osadzonych. Ponieważ faktyczny stan budynku i warunki życia więźniów nie odpowiadały wymogom rosyjskiego kierownictwa, problem rozwiązano poprzez zniszczenie pomieszczenia wraz ze znajdującymi się tam Ukraińcami" – czytamy w raporcie ukraińskiego wywiadu wojskowego.

HIMARS, postrach Wagnera

Rosyjskie dowództwo na Ukrainie od początku wykorzystywało żołnierzy Grupy Wagnera jako siłę uderzeniową idącą w pierwszej linii, „wynajmując" najemników jednostkom regularnym planującym natarcie. Różnie się to kończyło. W co najmniej jednym przypadku – jak ustalił portal Meduza, dowódca oddziału wagnerowców rozkazał swoim ludziom rozpocząć atak bez osłony artyleryjskiej lub powietrznej. Trzy źródła potwierdziły Meduzie, że tenże dowódca oddziału wkrótce potem pożegnał się z życiem. Duże straty wagnerowców w walkach w Donbasie wynikały też z niewystarczającego uzbrojenia – na przykład pod Popasną szli do natarcia ze zbyt małą ilością amunicji.

Po stronie wagnerowców, już i tak mocno wykrwawionych walkami o Popasną i Łysyczańsk, strat zaczęło przybywać jeszcze bardziej, gdy ukraińska armia dostała większe ilości zachodniej artylerii. Dziewiątego czerwca w ogniu stanął stadion w Kadijewce/Stachanowie (obwód ługański), gdzie znajdowała się baza wagnerowców. Z precyzyjnego uderzenia ukraińskiego HIMARS-a cało wyszedł podobno tylko najemnik. 19 września w tym samym mieście Ukraińcy zafundowali wagnerowcom powtórkę z rozrywki, uderzając z HIMARSA w budynek zamieniony w koszary najemników. Ale najcięższym ciosem było to, co stało się 14 sierpnia, gdy ostrzał z HIMARSÓW zdziesiątkował wagnerowców w Popasnej. „Nie ma już kwatery głównej Wagnera w Popasnej" – napisał na Facebooku deputowany Ołeksij Honczarenko. Pierwsze doniesienia o tym, że właśnie w tym mieście najemnicy zainstalowali swoją główną bazę w Donbasie, pojawiły się 8 sierpnia, gdy rosyjski korespondent wojenny Siergiej Sreda pojawił się tam i zamieścił w mediach społecznościowych selfie z Prigożinem. Ukraińcy zidentyfikowali miejsce. W ataku zginąć miało nawet ponad stu wagnerowców. Kolejne ciężkie straty w ludziach, przy jednoczesnej presji dowództwa wojskowego i Kremla na szukanie mięsa armatniego na ukraińską wyprawę, gdzie się da i jak się da, spowodowało, że właśnie Grupa Wagnera, a chyba nawet bardziej Prigożin, wzięli na siebie nowe poważne zadanie. Rozpoczęli szeroko zakrojoną kampanię werbunku ludzi do swej formacji, jak Rosja długa i szeroka. Co więcej, nowych sołdatów zaczęli produkować w swym ośrodku szkoleniowym Mołkino (Kraj Krasnodarski) z wyciąganych zza drutów kolonii karnych skazańców. Jewgienij Prigożin osobiście zaczął rekrutować więźniów do walk w wojnie na Ukrainie.

Wagnerowcy na Ukrainie nie tylko walczą w pierwszym szeregu, lecz także pełnią inne funkcje, choćby strażnicze. To ich ludzie torturują wziętych do niewoli Ukraińców.

„Bataliony karne"

Tak było choćby w kolonii karnej w Batajsku (obwód rostowski), gdzie oligarcha i Dmitrij Utkin przylecieli prywatnym śmigłowcem. Na centralny plac spędzono wszystkich więźniów, a administracja kolonii wyłączyła na ten czas monitoring. Do zebranych przemówił sam Prigożin. Obiecał, że kto pójdzie na wojnę, gdzie będzie „mógł robić z Ukraińcami cokolwiek zechce", na co najmniej półroczny kontrakt, zostanie przedterminowo zwolniony. W IK-15 ofertę wagnerowców przyjęło około 700 ludzi, a więc połowa więźniów. W innej kolonii karnej w tym samym obwodzie zwerbowano około 300 kryminalistów. Wcześniej pojawiły się doniesienia, że Prigożin zwerbował blisko 350 więźniów z trzech kolonii karnych w obwodzie iwanowskim. Na nagraniu, udostępnionym w połowie września przez współpracowników Aleksieja Nawalnego, widać Prigożina, który przedstawia więźniom jednej z kolonii karnych w republice Mari El warunki współpracy. Mówi m.in., że zabroniona jest dezercja, szabrownictwo, narkotyki i alkohol oraz oddanie się do niewoli. Za zobowiązanie się do walki przez pół roku obiecuje ułaskawienie. Ostrzega jednak, że jeśli ktoś

eprasa.pl ea01a01b09

zrezygnuje z walki, zostanie uznany za dezertera i rozstrzelany.

Olga Romanowa, działaczka niezależnej organizacji pozarządowej Ruś Siedząca, mówiła w połowie września o zwerbowaniu do tej pory 7–10 tys. więźniów. Wśród nich są ludzie skazani za wszelkiego rodzaju przestępstwa, ale najczęściej za zabójstwa, rabunki i rozboje. „Biorą też tych, którzy trafili do więzienia za ciężkie pobicia. Teraz zaczęli brać ludzi skazanych za gwałty, ale do oddzielnego oddziału" – mówiła Romanowa. To pokazuje stopień desperacji w poszukiwaniu ludzi, bo początkowo skazanych za gwałt nie brano pod uwagę. Werbownicy odwiedzają regiony głównie europejskiej części Federacji Rosyjskiej: od Smoleńska i Pskowa na zachodzie, po Tatarstan na wschodzie, od Komi na północy po kaukaską Adygeję na południu. Najwięcej więźniów zwerbowanych zostało w obwodzie jarosławskim; łącznie około 680 więźniów z trzech kolonii karnych tego regionu zdecydowało się jechać na wojnę. Propozycję przyjęło też około 400 więźniów z dwóch kolonii karnych obwodu riazańskiego. W kolonii karnej w obwodzie tulskim zwerbowano około 270 więźniów; z obwodu archangielskiego pojechało na wojnę około 250 osadzonych. W republice Komi zgłosiło się 130 więźniów, w obwodzie pskowskim co najmniej 72, w Petersburgu co najmniej 40. Takich wagnerowców będzie przybywać, bo werbownicy pojawiają się w koloniach karnych regularnie, co kilka tygodni.

Prigożin i jego podwładni objeżdżają zresztą nie tylko kolonie karne, lecz również areszty śledcze w okolicach Moskwy, w których trzymani są podejrzani i oskarżeni, których sprawy karne – w przypadku zwerbowania – są tymczasowo zawieszane – powiedziała Romanowa. – Wypuszczeni z więzienia kryminaliści, którzy nie mają krewnych, a którzy zginą na Ukrainie, mogą nie wrócić nawet w cynkowych trumnach. Nie będą nawet uwzględnieni w statystykach, a ich ciała nie zostaną pochowane. Wiemy o ciałach, które znajdują się w strefie działań wojennych i nikt nie ma zamiaru ich stamtąd zabierać. Jak dotąd nie mamy informacji, by sprowadzono choćby jedno ciało – podkreśla szefowa pozarządowej organizacji śledzącej sytuację w rosyjskim systemie penitencjarnym.

Werbownicy Prigożina

Skazańcy to rzecz jasna niejedyna droga, którą Prigożin łata braki kadrowe w swojej „armii" przetrzebionej w Donbasie. Przede wszystkim szuka się ludzi wolnych i spełniających określone kryteria. „Washington Post" zrobił zestawienie, z którego wynika, że do sierpnia Grupa Wagnera zwerbowała ludzi w co najmniej 27 regionach Rosji. Na ulicach wiszą banery zachęcające do wstąpienia w szeregi Orkiestry, jak sami siebie określają wagnerowcy (nawiązanie do nazwy grupy pochodzącej z kolei od przydomku jej dowódcy, weterana specnazu ppłk. Dmitrija Utkina). Pełno ogłoszeń jest też w mediach społecznościowych. Według ukraińskiego wywiadu, oficjalne biura werbunkowe Grupy Wagnera otwarto w co najmniej 26 dużych miastach. Kogo wagnerowcy werbują? Mężczyzn w wieku 22–50 lat, obywateli dowolnego kraju „z wyjątkiem UE, NATO i Ukrainy", bez chorób takich jak żółtaczka czy AIDS. Wymogiem dla mężczyzn powyżej 35. roku życia jest jedynie to, żeby byli w stanie przebiec jeden kilometr w 4 minuty i 20 sekund, a jedynymi warunkami medycznymi wykluczającymi służbę są HIV i żółtaczka. Odstąpiono od wymogu zdrowego uzębienia, a wyrok karny nie stanowi już problemu. O możliwości wstąpienia do Grupy Wagnera osób z przeszłością kryminalną „decyduje się indywidualnie, na podstawie wyników wywiadu osobistego". Miesięczna pensja to 4–6 tys. dolarów. Plus premie. I nagroda za każdego zabitego żołnierza ukraińskiego. Co ważne, zarówno pensja, jak i dodatkowe wynagrodzenie są przekazywane w gotówce i nie dochodzi do żadnych formalnych transakcji bankowych. Kilkutygodniowe szkolenie odbywa się oczywiście w Mołkino.

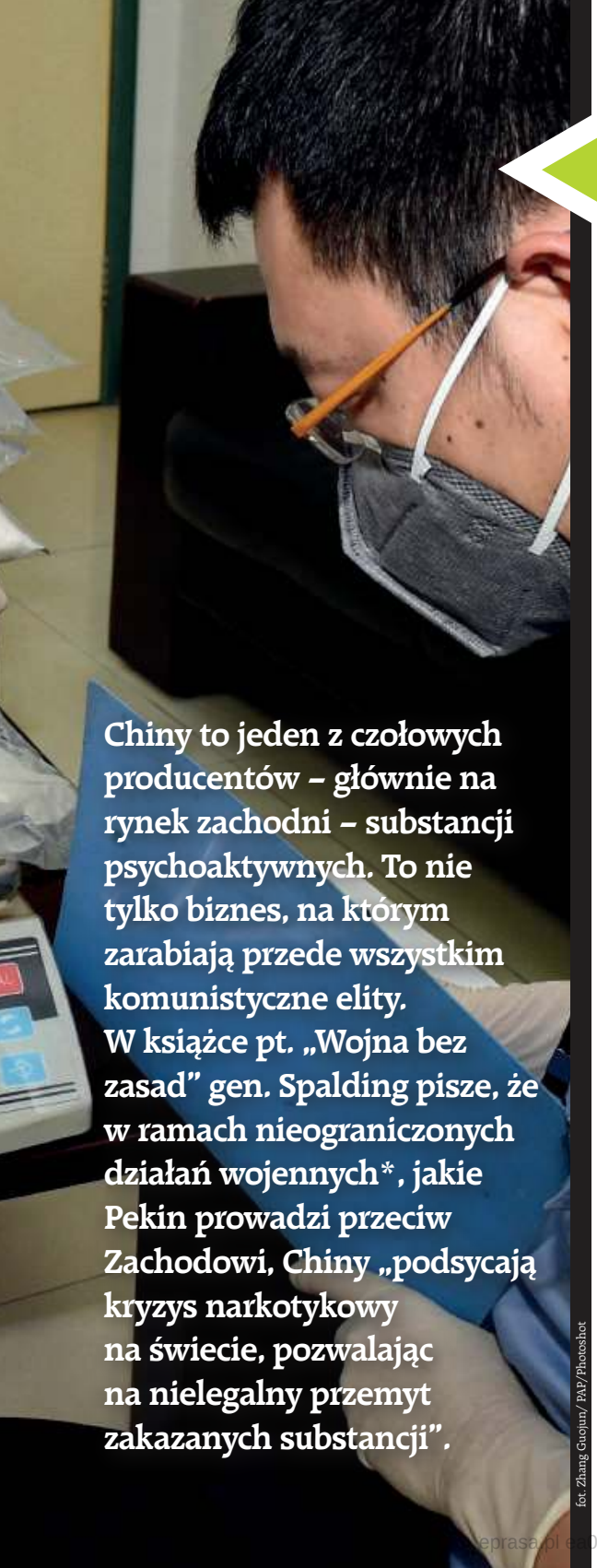
Grupę Wagnera na ukraińskim froncie dotknął ten sam problem, co regularne wojsko. W pierwszych fazach wojny formacja poniosła ciężkie straty, i to nawet nie o liczbę zabitych i rannych chodzi, ale o to, że to byli najbardziej doświadczeni żołnierze. Weterani specnazu i wojsk powietrznodesantowych, z zaliczonymi misjami w Syrii, Libii i innych krajach Afryki. Zastępują ich coraz częściej ludzie z marnym doświadczeniem wojskowym, niewystarczająco przeszkoleni. Przybywa też mało zdyscyplinowanych przestępców, w tym morderców, rabusiów i gwałcicieli. Być może gdzieś na tyłach, do terroryzowania okupowanej ludności, byliby jeszcze przydatni. Ale w pierwszej linii, w bezpośrednim starciu z Ukraińcami, stają się prawdziwym mięsem armatnim. Ten spadek jakości sił Grupy Wagnera, podobnie zresztą jak regularnego wojska czy tzw. milicji z Donbasu, obniża zdolność bojową całego rosyjskiego zgrupowania walczącego z Ukrainą. Jednak z wyników kampanii Putin rozliczać będzie generałów i Szojgu, a nie Prigożina. Ten o tym doskonale wie, więc skupia się na wypełnianiu liczbowych limitów. Nieważna jest jakość tych świeżo upieczonych żołnierzy, nieważne, że będą coraz szybciej i łatwiej zabijani przez Ukraińców. ■

eprasa.pl ea01a01b09



Hanna Shen

Chińska wojna narkotykowa



Chiny to jeden z czołowych producentów – głównie na rynek zachodni – substancji psychoaktywnych. To nie tylko biznes, na którym zarabiają przede wszystkim komunistyczne elity. W książce pt. „Wojna bez zasad" gen. Spalding pisze, że w ramach nieograniczonych działań wojennych*, jakie Pekin prowadzi przeciw Zachodowi, Chiny „podsycają kryzys narkotykowy na świecie, pozwalając na nielegalny przemyt zakazanych substancji".

fot. Zhang Guojun/ PAP/Photoshot

W połowie września 32-letni Aaron Broussard ze stanu Minnesota w USA został skazany na dożywocie za współudział w sprzedaży substancji kontrolowanych, w tym fentanylu. W wyniku jego działalności w 2016 roku zginęło 11 osób, a cztery inne ofiary przeżyły przedawkowanie, ale doznały poważnych obrażeń ciała, na przykład straciły wzrok. W marcu 2016 roku Broussard zamówił w Chinach 100 gramów 4-FA, substancji podobnej do adderallu, środka farmaceutycznego stosowanego jako lek pomocniczy w leczeniu nadpobudliwości psychoruchowej i zaburzeń uwagi. Chińczycy wysłali jednak 99 proc. czystego fentanylu. Broussard, twierdził, że nie był świadomy tej zamiany, kiedy dalej sprzedawał „lek" swoim klientom w USA. Kupujący od Broussarda nigdy nie brali opioidów i stąd dla wielu z nich fentanyl okazał się zabójczy.

Epidemia narkotykowa

Niestety opisany powyżej przypadek to nie wyjątek w Stanach Zjednoczonych. Według amerykańskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (Centers for Disease Control and Prevention /CDC), fentanyl, silny lek zatwierdzony do leczenia bólu, zabił ponad 64 tys. Amerykanów w okresie od kwietnia 2020 do kwietnia 2021 roku. Niedawne badanie Komisji Stanford-Lancet** ostrzegało, że liczba zgonów w USA z powodu przedawkowania opioidów może wzrosnąć do 1,2 mln do 2029 roku. W Stanach Zjednoczonych mówi się już o epidemii narkotykowej, za którą stoją komunistyczne Chiny.

W książce pt. „Wojna bez zasad" („War Without Rules")** były doradca Donalda Trumpa do spraw Chin, emerytowany generał Robert Spalding, pisze, że w ramach nieograniczonych działań wojennych,

* W 1999 roku dwaj pułkownicy Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej – Qiao Liang i Wang Xiangsui – napisali podręcznik pt. „Nieograniczone działania wojenne", który stał się podstawą kształcenia kadr dowódczych i politycznych w Chinach. Za pomocą nieograniczonych, czyli prowadzonych na każdym polu, działań wojennych Chiny chcą zdominować Zachód.

**Komisja Stanford-Lancet została utworzona w odpowiedzi na gwałtownie rosnącą zachorowalność i śmiertelność związaną z opioidami w USA i Kanadzie. Jej zadaniem jest analiza stanu kryzysu opioidowego i przygotowanie rozwiązań, które powstrzymają jego rozprzestrzenianie się w USA i na arenie międzynarodowej.

*** Książka ukaże się w Polsce w październiku.

eprasa.pl e01a01b09

jakie Pekin prowadzi przeciwko USA, i w ogóle przeciw Zachodowi, Chiny „podsycają kryzys narkotykowy" na świecie, „pozwalając na nielegalny przemyt zakazanych substancji, takich jak śmiercionośny fentanyl". Spalding zauważa także, że duża część amerykańskiego establishmentu przez długi czas wydawała się zupełnie nie rozumieć, jaką rolę odgrywają Chiny w rozprzestrzenianiu się w USA epidemii narkotykowej.

„Kiedy pracowałem w Białym Domu dla Rady Bezpieczeństwa Narodowego, zapytałem pełniącego obowiązki dyrektora Biura Narodowej Polityki Kontroli Narkotyków, co robi w sprawie dziesiątków tysięcy Amerykanów umierających z powodu przedawkowania fentanylu, często przemycanego z Chin. Odpowiedział: »Współpracujemy z chińskim rządem, aby wymierzyć sprawiedliwość producentom narkotyków«. Powiedziałem mu, że KPCh tak naprawdę nie współpracuje z nim, bez względu na to, co mu powiedziała. W rzeczywistości stoi albo bezpośrednio, albo pośrednio za przemytem narkotyków. Reakcją z jego strony było całkowite niedowierzanie, bo jak twierdził, chińskie organy ścigania niedawno aresztowały niektórych producentów fentanylu. Powiedziałem mu, że ci producenci wkrótce wyjdą z więzienia i wrócą do biznesu. Dopóki sprzedają tylko do Stanów Zjednoczonych, KPCh nie przejmuje się nielegalną sprzedażą narkotyków ani przedawkowaniem w Ameryce. Powiedziałem mu również, że chińskie fabryki farmaceutyczne, które legalnie produkują leki dla głównych amerykańskich marek, z pewnością są w to zaangażowane. Nadal w to nie wierzył" – pisze Spalding w „Wojnie bez zasad".

Spalding zwraca uwagę na bardzo typowe zachowanie komunistycznych elit w Chinach – obiecują Zachodowi rozwiązanie jakiegoś problemu, wiedząc z góry, że nigdy z tych obietnic się nie wywiążą. Mogą nawet wprowadzić u siebie prawa, które rzekomo mają likwidować problem. Tylko że zaraz też opracowują metody, jak obchodzić własne prawo.

Prezydent Trump w rozmowach z prezydentem Chin Xi Jinpingiem pod koniec 2018 roku poruszył kwestię narkotyków „made in China" zalewających USA. Xi obiecał, że podejmie działania mające zastopować sprzedaż chińskiego fentanylu. W sierpniu 2019 roku sam Trump przyznał, że strona chińska nie wywiązała się ze swoich obietnic. I znów były rozmowy i chińskie obietnice.

„W 2019 roku, po latach próśb USA o reakcję, Chiny oznajmiły, że rozprawią się z produkcją fentanylu, wytwarzanego laboratoryjnie opioidu, który jest 50 razy silniejszy od heroiny. Tamtego roku 37 tys. ludzi zmarło po przedawkowaniu fentanylu. Rok po ogłoszeniu przez Chiny »walki« z fentanylem odnotowano 57 tys. zgonów spowodowanych przedawkowaniem. W raporcie Brookings Institution z lipca 2020 roku napisano: »Od 2013 roku Chiny są głównym dostarczycielem fentanylu, który zalewa rynek nielegalnych narkotyków w USA – lub dostarczycielem prekursorów chemicznych, z których fentanyl jest produkowany, często w Meksyku – przez co wznieciły najbardziej zabójczą epidemię narkotykową w historii Stanów Zjednoczonych«. Brookings opisał także model chińskiego działania przez lata, według którego Chińczycy najpierw zaprzeczali, że problem w ogóle istnieje, a potem mówili, że będą działać, ale że mają trudności z zebraniem środków potrzebnych organom ścigania. A wtedy Stany Zjednoczone naciskały, by Pekin bardziej się starał. Serio? Znając reguły nieograniczonych działań wojennych i potężną władzę policji w chińskim państwie policyjnym, czy naprawdę wierzymy, że oni nie mogą zlikwidować przemysłu, który eksportuje jeden destrukcyjny produkt, siejąc w ten sposób spustoszenie w Stanach Zjednoczonych?" – czytamy w „Wojnie bez zasad" Spaldinga.

Chiny nie zaprzestały szkodliwej działalności, ale zamiast wysyłać opioidy bezpośrednio z Chin, zaczęły w większym stopniu wysyłać do Meksyku prekursory chemiczne, z których dalej te opioidy są produkowane.

„Wiemy, że jest on [prekursor chemiczny] wysyłany do Meksyku, robią to chińscy pośrednicy, którzy sprzedają go bezpośrednio meksykańskim kartelom, gdzie jest on przekształcany w fentanyl, który jest następnie mieszany z innymi narkotykami, takimi jak podrobione pigułki [w tym] Oxycontin, Xanax, Valium [i] Adderall. [To] przybywa do Stanów Zjednoczonych w formie setek milionów pigułek, a cały łańcuch zaczyna się w Chinach" – mówił członek Izby Reprezentantów David Trone, jeden z przewodniczących Komisji ds. Zwalczania Handlu Syntetycznymi Opioidami w amerykańskim Kongresie.

Według konserwatywnego think tanku Heritage Foundation, administracja Joe Bidena nie podejmuje działań, które wstrzymałyby wojnę narkotykową, jaką Chiny wypowiedziały USA. Co prawda 15 grudnia 2021 roku Biden oświadczył, że przemyt fentanylu i innych syntetycznych opioidów do Stanów Zjednoczonych stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, ale w swojej deklaracji nie wspomniał ani słowem o Chinach. Ale na deklaracje, jak twierdzi Hertigae Foundation, jest już za późno, bo trzeba „podjąć agresywne wysiłki w celu powstrzymania przemytu fentanylu z Meksyku do Stanów Zjednoczonych". Według republikańskiego senatora Roba Portmana, to pod rządami administracji Bidena „meksykańskie międzynarodowe organizacje prze-

eprasa.pl ea01a01b09

stępcze nasiliły współpracę z gangami przestępczymi w Chinach, aby importować do Meksyku składniki używane do produkcji fentanylu... niszczycielskie dla naszych rodzin". Portman mówi, że Biden musi bardziej naciskać na Chiny w kwestii walki z przemytem narkotyków.

Jak na razie Pekin ogłosił, że po wizycie przewodniczącej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi na Tajwanie*** w sierpniu bieżącego roku zawieszają dialog z Waszyngtonem w kilku obszarach, m.in. w kwestii handlu narkotykami.

Europa też na celowniku Chin

Ale chińska wojna narkotykowa nie dotyczy tylko USA. Raport na temat rynku narkotykowego w Estonii przygotowany przez Europejskie Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii (EMCDDA) z 2019 roku stwierdzał, że „podczas gdy fentanyl wchodzi do kraju z Rosji, to nowe pochodne fentanylu pochodzą głównie z Chin". W 2020 roku estońska policja powiedziała agencji AP, że zebrała kilka tropów dochodzeniowych dotyczących chińskich źródeł, ale ma trudności z ostatecznym prześledzeniem łańcuchów dostaw. Estońskie służby celne poinformowały, że każdego roku przejmują paczki z narkotykami syntetycznymi wysyłanymi bezpośrednio z Chin, ale że dużo więcej takich wysyłek trafia do większych krajów europejskich.

Mimo opinii ekspertów, że Chiny nie odpuściły w prowadzeniu wojny narkotykowej przeciw Zachodowi, opublikowany w tym roku raport EMCDDA bije na alarm. W dokumencie czytamy, że: „Większość dużych ilości syntetycznych katynonów skonfiskowanych w 2020 roku pochodziła z Indii, gdzie produkcja na dużą skalę tych substancji wydaje się stosunkowo nowym zjawiskiem. Przed 2020 rokiem źródłem porównywalnych przesyłek były Chiny, o ile zostały one ustalone. Jednakże w ostatnich latach Chiny wprowadziły prawne kontrole różnych substancji, w tym 3-MMC i 3-CMC. Jako że Chiny były dawniej głównym źródłem nowych substancji psychoaktywnych wykrywanych w Europie, najnowsze dane mogą wskazywać na bardziej ogólne przesunięcie w stronę większego zaangażowania innych państw posiadających zdolności produkcyjne w branży chemicznej lub farmaceutycznej w dostawy do Europy nowych substancji psychoaktywnych i potencjalnie prekursorów".

Doświadczenie USA mówi, że Chiny bardzo sprytnie obchodzą nawet własne kontrole prawne i gdy zmniejszają bezpośrednie przesyłki opioidów, to jednocześnie wysyłają prekursory chemiczne do kraju trzeciego i tam produkowany jest narkotyk trafiający na Zachód. Warto też pamiętać, że 2020 i 2021 to lata, w których świat zmagał się z wirusem i były ograniczenia w transporcie.

Według raportu ani w 2020 ani w 2021 roku w Europie nie wykryto nowych pochodnych fentanylu, ale „w latach 2020–2021 wykryto jednak w Europie 15 nowych syntetycznych opioidów, które nie są objęte kontrolą pod kątem fentanylu. Należy do nich 9 silnych opioidów benzimidazolu. Ponadto w 2021 roku w Europie wykryto cztery nowe syntetyczne kannabinoidy »OXINID«, które wydają się być substancjami zastępczymi zgodnie z powszechnym w Chinach zakazem dotyczącym syntetycznych kannabinoidów". EMCDDA przyznaje więc, że Państwo Środka może pracować nad nowymi substancjami psychoaktywnymi, które już zaczynają trafiać na rynek UE.

Kryzys narkotykowy jako element wojny propagandowej

W „Wojnie bez zasad" Spalding słusznie zauważa, że kryzys narkotykowy, jaki w tej chwili dotyka USA, jest też wykorzystywany przez komunistyczne władze Chin jako element wojny propagandowej. „Plaga śmierci z powodu przedawkowania narkotyków to dobry temat propagandowy o rozkładającym się społeczeństwie".

Od początku swoich rządów Xi Jinping za jedno z największych zagrożeń dla rządów KPCh uważał zachodnie wpływy i wartości. Ujawniony w kwietniu 2014 roku przez chińską dziennikarkę Gao Yu, opracowany na wewnętrzne potrzeby Komunistycznej Partii Chin (KPCh) tzw. Dokument nr 9, wymienił te zagrożenia: zachodnia demokracja konstytucyjna, uniwersalne prawa człowieka, społeczeństwo obywatelskie, niezależność mediów i chrześcijaństwo. Xi postawił sobie za cel walkę z tymi wartościami i sprawienie, by jego rodacy, i obywatele innych państw, uwierzyli w to, że Zachód upada, że demokracja i wolności doprowadzają tylko do chaosu i problemów społecznych. Na ten „rozkład zachodniego społeczeństwa" chińska propaganda potrzebuje dowody. A czy jest coś lepszego niż informacje o rozwijającej się w USA epidemii narkotykowej... oczywiście bez wzmianki, że za jej wywołanie odpowiedzialna jest KPCh? ■

*** Wizyta Pelosi na Tajwanie wywołała poważne napięcia na linii Waszyngton–Pekin. Pelosi jest najwyższym rangą urzędnikiem USA, który odwiedził wyspę od 25 lat.

eprasa.pl ea01a01b09



Olga Doleśniak-Harczuk

Pogoda w sercu

Przystanek tramwajowy gdzieś na warszawskim Grochowie. – Bo wie pani, my mieszkaliśmy na Zaciszu, w takim domu z dwiema komórkami, jedną na węgiel, drugą na opał, ludzie nie mieli pieniędzy, ale trzymali się razem. W niedzielę cały dom, wszyscy sąsiedzi szli do kościoła, tylko zostawiało się ziemniaki w garnku na kuchence, żeby już tylko wstawić po powrocie. – Ja też mieszkałam na Zaciszu, po kościele zawsze był rosół. A w szkole cały czas na scenie, wie pani, ja tańczyłam, malowałam, bawiłam się w aktorstwo. – Ja też! A jaki ma pani znak zodiaku? Strzelec. Aha. Ja jestem baran. Barany to takie narwane są. To byśmy wtedy razem na tej scenie, droga pani, szalały.

eprasa.pl ea01a01b09

Obie panie w okolicach osiemdziesiątki. Znajome z ławki na przystanku. Wsiadają do tramwaju numer 9 i jadą jeszcze kawałek, przerzucając się opowieściami z czasów szkolnych. „Pani baran" ma siwe, starannie ułożone włosy do ramion i makijaż niczym z Hollywood lat 50., „Pani strzelec" jasnobeżowy płaszczyk i wygodne buty. Każda na swój autorski sposób postanowiła nie dać się zastraszyć pędzącemu światu, jedna do dziś lubi rysować, druga wciąż tańczy. Tramwaj mija Park Skaryszewski, ale wcześniej przystaje na Grenadierów, rajskie ptaki z ławeczki nie wiedzą, że tu, w tej okolicy, bywa ich zapewne rówieśniczka, miejscowa karmicielka ptaków. Typ introwertyczny, nie śpiewa i nie tańczy, do nikogo się nie odzywa, jej biologiczny zegar tyka w takt pór roku – jesienią zaczyna nosić potężne torby z karmą dla ptactwa skupionego pod jednym z powstańczych pomników, zimą torby są jeszcze bardziej pękate, wiosna to czas wytchnienia, latem tęsknota za jesienią przybiera na sile i wtedy ta matka grochowskich ptaków przesiaduje na ławce przy pomniku, czasem kładzie się na trawie. Wsłuchana w puls ziemi i szum jezdni leży ze wzrokiem utkwionym w korony drzew. Miejska buntowniczka. Czasem ktoś się zatrzyma, zapyta, czy czegoś jej nie trzeba, zdumiona odpowiada, że nie, że po prostu lubi patrzeć w niebo.

Kocie jeże i pies na kurtce

I jest jeszcze Marta, opiekunka okolicznych kotów, dziś o kulach, ale jeszcze dwa lata temu zupełnie sprawna. Zawsze dziarska, rozmowna, obowiązkowa. Dzień w dzień wymienia plastikowe miski w kocich budkach, zmienia wodę, wsypuje „suche koraliki", kotom nadaje imiona, żaden nie jest anonimowy. Marta chcąc nie chcąc trzyma też pieczę nad niemałym stadkiem jeży, które wiosną i jesienią anektują kocie budki i miski. Nie pasuje do pogardliwego wyobrażenia o „kociarze". Zielona parka, sportowe buty i hart ducha. Żadnego rozczulania się. Zima czy lato, obchód po budkach musi być. Jest jeszcze Marianna. Lat 87. Kapelusz, drewniana laska, brezentowa torba na kółkach. Zawsze uśmiechnięta, jak nie zdąży do fryzjera i spod kapelusza wystają proste kosmyki zamiast ulubionej trwałej, prosi o wyrozumiałość. Estetka, wielbicielka porcelanowych figurek, korali i reńskiego wina, w rozsądnych ilościach oczywiście. Wszędzie ma znajomych, w banku, w aptece, na bazarku. Podobnie jak jej 65-letni syn, który urodził się zdrowy, a potem przyszło zapalenie opon mózgowych i już nigdy nie wrócił do pełni sił. Marianna podobno „tak świetnie się trzyma", bo nie ma wyjścia. Bez niej syn by sobie nie poradził. Ma dla kogo chodzić na ten bazarek, doglądać spraw w banku i kupować bajaderki. Lubi być wśród ludzi, na Szembeka czuje się jak w drugim domu, może do woli przebierać w śliwkach, gruszkach i jabłkach, z tym porozmawia, z tamtym ponarzeka na ból nadgarstka. Za kotami nie przepada, więc pewnie z Martą by się nie dogadała, ale potrafi docenić wierność psa. Kiedy była panienką, jej ojciec wyszedł w pole z psem. Słońce prażyło, ojciec słabo się poczuł, rzucił kurtkę na polu i polecił psu, by jej pilnował, że on zaraz wróci, tylko się czegoś napije. Nie wrócił. Na progu domu dostał zawału. Psa znaleziono po pewnym czasie. Martwego, zwiniętego w kłębek na kurtce swojego pana. Takie wspomnienia są z człowiekiem do końca. Emocje zamiast z czasem blaknąć, wyostrzają się. Marianna idzie znów na bazarek, pobyć wśród ludzi.

Skaut Freddie

To było w połowie lat 90. Obóz skautowy w Wielkiej Brytanii. Freddie był niemiłosiernie szczupły, miał rozwiane siwe włosy i taki wyraz twarzy, jakby zawsze się cieszył. I w środku Freddiego też była ta pogoda. Opiekował się skautami, robił kanapki, szykował prowiant na rajd, a potem dopingował młodzież w jej pierwszym surwiwalu, kiedy zmęczona i ubłocona na kolację dostała królika. I to takiego w futerku. Większość polskich uczestników tej wyprawy poszła tej nocy spać bez kolacji, nie chcieli oprawić zwierzaka. Freddie rozumiał te rozterki. Był już wtedy sporo po siedemdziesiątce, ale względem nastolatków zachowywał się jak jeden z nich, bez mentorskich zapędów. Wszyscy mówili sobie po imieniu, wiek nie stanowił bariery, Freddie był po prostu starszym skautem. Gdyby ktoś wtedy zaczął go tytułować „seniorem", pewnie by się zdziwił. Nie mniej niż grochowska karmicielka ptaków, zapytana, dlaczego wpatruje się w niebo, leżąc pod drzewem, albo Marianna na pytanie, po co jej w tym wieku jakieś wycieczki na Szembeka, skoro gruszki ma w markecie pod domem. O roztańczonej „pani Baran" nie wspominając, ona za „seniorkę" zabiłaby wzrokiem lub trzewikiem do stepu.

Berlińska księżniczka o białych, długich włosach też by się pewnie nie odnalazła w senioralnej terminologii. To było jakieś dwie dekady temu. Wyłoniła się zza jednego z uniwersyteckich budynków niczym zjawa, poprosiła o ramię, na którym mogłaby się wesprzeć. Była niewidoma. Eteryczna, białowłosa kobieta. Celem była stacja Friedrichstrasse. Przez całą drogę recytowała tekst Heinricha von Kleista „Die Marquise von O...". Do dziś nie wiem, kim była. Pożegnałyśmy się przy stacji. To był jeden z najbardziej osobliwych wykładów z literatury, jaki można sobie wyobrazić. Ale przy okazji lekcja pokory i szacunku do siwych włosów, pod którymi potrafią drzemać młodzieńcze marzenia, poświęcenie dla innych, a czasem i całe tomy niesłusznie zapomnianych dzieł literackich. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Ukraina–Tajwan

Poparcie, jakiego Chiny udzielają Rosji, zwłaszcza politycznie i propagandowo, powoduje, że na Ukrainie coraz częściej pojawiają się głosy, iż Kijów powinien zacieśniać współpracę z Tajwanem. Najpierw w czerwcu przemawiając na forum ds. bezpieczeństwa Dialog Shangri-La prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski powiedział, że społeczność międzynarodowa powinna pomóc Tajwanowi w odparciu chińskiej agresji, zanim Pekin zaatakuje wyspę. A teraz, jak pisze Josh Rogin, publicysta „Washington Post": „czołowy ukraiński deputowany publicznie domaga się pogłębienia relacji z Tajwanem, argumentując, że leży to w interesie obu demokracji". Chodzi o Ołeksandra Mereżko, przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Rady Najwyższej Ukrainy, który twierdzi, że Chiny nie są neutralne, i przypomina, że Xi i Putin zobowiązali się do partnerstwa „bez ograniczeń", kiedy spotkali się w lutym bieżącego roku tuż przed rosyjskim atakiem na Ukrainę. Według Mereżko należy postrzegać Państwo Środka jako sojusznika Moskwy, bo chociaż Pekin nie dostarcza bezpośrednio broni do Rosji, to na wiele sposobów wspiera jej wysiłki wojenne – m.in. pomaga unikać sankcji, zakupuje rosyjską żywność, energię i złoto oraz promuje rosyjską dezinformację o Ukrainie poprzez swoją państwową machinę propagandową.

Poparcie Moskwy dla Pekinu słychać także w wypowiedziach wielu chińskich polityków. Li Zhanshu, przewodniczący Stałego Komitetu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych (chińskiego parlamentu), czyli trzecia osoba w państwie, we wrześniu br. podczas spotkania w rosyjskiej Dumie powiedział: „Widzimy, że Stany Zjednoczone i ich sojusznicy z NATO rozszerzają swoją obecność w pobliżu rosyjskich granic, poważnie zagrażając bezpieczeństwu narodowemu i życiu obywateli Rosji. W pełni rozumiemy konieczność wszelkich działań podejmowanych przez Rosję w celu ochrony jej kluczowych interesów, służymy wsparciem poprzez skoordynowane działania [...]. W kwestii ukraińskiej widzimy, jak postawiono Rosję w sytuacji bez wyjścia. I w tym przypadku Rosja dokonała ważnego wyboru i stanowczo odpowiedziała".

Ołeksandr Mereżko wyjawił też, że Pekin próbował nie dopuścić do utworzenia grupy przyjaźni ukraińsko-tajwańskiej w Radzie Najwyższej Ukrainy. W wypowiedzi dla tajwańskiego portalu Focus Taiwan ukraiński polityk powiedział, że komunistyczne Chiny zastosowały metody „sowieckie", aby udaremnić tę inicjatywę.

Kiedy informacja o powstaniu grupy została opublikowana na Twitterze przez innego deputowanego, Mereżko został zaproszony przez chińską ambasadę na Ukrainie na rozmowy z chińskim ambasadorem Fan Xianrongiem. Deputowany oświadczył, że odmówił spotkania z dyplomatą ChRL z kilku przyczyn, m.in. dlatego, że chińskie żądanie takiej rozmowy nie zostało wystosowane według zasad protokołu dyplomatycznego. Dodatkowo w marcu bieżącego roku, wkrótce po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, przedstawiciel władz chińskich nie chciał się spotkać z delegacją parlamentu Ukrainy, która zamierzała prosić prezydenta Xi Jinpinga o pomoc w otwarciu korytarzy humanitarnych dla ludzi uciekających przed rosyjskimi bombardowaniami.

Podczas gdy Pekin pomaga Moskwie, Tajwan od początku wojny wspiera Ukrainę. Nałożył sankcje na Rosję, w rezultacie których m.in. wstrzymał eksport półprzewodników do Moskwy i zapewnił Ukrainie pieniądze, żywność i środki medyczne. Tajpej wysłał także na Ukrainę swoje drony.

Niektórzy ukraińscy politycy obawiają się, że Chiny mogą zacząć zbroić Rosję, jeśli Kijów zbliży się do Tajwanu, ale Mereżko twierdzi, że te obawy są przesadzone, bo Pekin boi się amerykańskich sankcji.

eprasa.pl ea01a01b09

We wrześniu Ołeksandr Mereżko udał się do Stanów Zjednoczonych na szczyt Międzyparlamentarnego Sojuszu ws. Chin, grupy skupiającej parlamentarzystów z wielu krajów. Chcą oni stworzyć skoordynowaną politykę państw demokratycznych wobec Chin w kwestiach światowego handlu, bezpieczeństwa i praw człowieka. Przewodniczący senackiej Komisji Spraw Zagranicznych Robert Menendez i senator Marco Rubio są jednymi z czołowymi przedstawicieli tej grupy. Polskę w grupie reprezentuje europosłanka Anna Fotyga.

Na szczycie IPAC Mereżko powtórzył, że „Chiny faktycznie finansują machinę wojenną Rosji i udzielają Rosji pomocy dyplomatycznej w ONZ, głosując przeciwko rezolucjom wspierającym integralność terytorialną Ukrainy".

W wypowiedzi dla „Washington Post" ukraiński polityk stwierdził, że „III wojna światowa już się rozpoczęła; po prostu przybrała formy hybrydowe". „Mamy już globalną wojnę między demokracjami a autorytarnymi reżimami". Przeprowadzający wywiad Josh Rogin dodał: „Ponieważ autorytarny blok organizuje się przeciwko Zachodowi, strona demokratyczna nie może sobie pozwolić, by stać okrakiem między Chinami a Tajwanem. Ukraina powoli, ale pewnie zmierza do uznania i traktowania Tajwanu jako sojusznika. Wszystkie inne demokracje powinny pójść w jej ślady".

Chiny–Rosja

Moskwa i Pekin chcą budować nowy porządek świata. „Strona chińska jest chętna do współpracy ze stroną rosyjską, aby stale realizować współpracę strategiczną na wysokim szczeblu między naszymi krajami, chronić wspólne interesy i promować rozwój ładu międzynarodowego w bardziej sprawiedliwym i rozsądnym kierunku" – stwierdził szef Komisji Spraw Zagranicznych Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin Yang Jiechi. Yang jest powszechnie uważany za jednego z czołowych współczesnych architektów polityki zagranicznej Chin.

Jego wypowiedź padła kilka dni przed rozmowami Xi Jinpinga z Putinem w Samarkandzie przy okazji szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SzOW). Podczas tego spotkania chiński przywódca powiedział, że „Chiny są gotowe, by współpracować z Rosją i wziąć na siebie odpowiedzialność światowego mocarstwa oraz by odegrać pierwszoplanową rolę, tak by wnieść stabilność i pozytywną energię w świat, w którym pojawia się chaos". Putin zaś pochwalił Xi za stanowisko w sprawie wojny na Ukrainie. „Wysoko cenimy zrównoważone stanowisko naszych chińskich przyjaciół w kwestii ukraińskiego kryzysu" – powiedział. Putin poparł też stanowisko Chin w sprawie Tajwanu.

Od momentu rosyjskiego ataku na Ukrainę współpraca chińsko-rosyjska bardzo się zacieśniła. Jak podał Bloomberg, około 81 proc. rosyjskiego importu samochodów w drugim kwartale br. pochodziło z Chin, podczas gdy chińska marka telefonów Xiaomi stała się najpopularniejszą w Rosji w tym samym okresie. Chiny są również niezawodnym konsumentem rosyjskiego paliwa, kupując od Rosji skroplony gaz ziemny (LNG) z dużą zniżką. Współpraca obu państw przynosi im korzyści – Rosja ma nabywcę na swoje zasoby energetyczne, a Chiny wykorzystują to, by sprzedać źródła energii z odpowiednim narzutem gospodarkom europejskim, którym brakuje zasobów w związku z sankcjami wobec Rosji.

„Rosja i Chiny budują ogromny rurociąg o wartości 55 mld dolarów, zwany »Siła Syberii«, mający dostarczać gaz z Syberii do Szanghaju" – powiedziała Fox News Rebekah Koffler, była oficer wywiadu Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony (DIA) i autorka książki „Strategia Putina: Tajny plan Rosji na pokonanie Ameryki". „To wydarzenie o dużym znaczeniu strategicznym, ponieważ Putin w wielkim stylu przenosi się do Azji. Kreml doszedł do wniosku, że stosunki rosyjsko-amerykańskie są nieodwracalne i że sankcje USA i Zachodu pozostaną na czas nieokreślony" – dodała Koffler.

Według CNN, „rosnące więzi między Chinami a Rosją wynikają przede wszystkim z napięć obu państw z Zachodem, ale są one również częściowo napędzane bliskimi osobistymi relacjami między Xi a Putinem. W ciągu dekady sprawowania władzy Xi spotkał się z Putinem 38 razy – ponad dwa razy więcej niż z jakimkolwiek innym światowym przywódcą".

Fakt, że do pierwszego spotkania Xi i Putina po wybuchu wojny doszło w czasie szczytu SzOW, też nie jest przypadkowy. To jedna z platform, na której Pekin i Moskwa chcą budować sojusz wymierzony w Zachód.

Eksperci podkreślają, że do realizacji planu Rosji i Chin dotyczącego nowego porządku świata potrzebne jest zwycięstwo Putina na Ukrainie. Zajęcie Ukrainy byłoby bolesnym ciosem dla NATO, rozszerzyłoby strefę wpływów Moskwy i zmieniłoby układ sił w Europie na korzyść Rosji. Chiny potraktowałyby to także jako zachętę do zajęcia Tajwanu siłą. Pod rządami Xi Pekin już zintensyfikował działalność wojskową wokół wyspy. Łatwe zwycięstwo Putina jeszcze bardziej pogłębiłoby przekonanie Xi, że Zachód podupada i że nie będzie w stanie odeprzeć chińskiego ataku na Tajwan.

Według Briana Harta z think tanku Center for Strategic and International Studies (CSIS) problemy Putina na Ukrainie niepokoją Pekin. „Myślę, że jest to coś, o co martwi się Pekin – że Rosja nadwyręży swoje siły i osłabi wspólne wysiłki Pekinu i Moskwy na rzecz kształtowania porządku światowego". ■

eprasa.pl ea01a01b09

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Okres połowicznego rozpadu

Nikołaj Pietrow o tym, jak wojna na Ukrainie i sankcje mogą doprowadzić do dezintegracji Rosji

Wojna z Ukrainą i bezprecedensowe sankcje gospodarcze nałożone na Rosję stały się poważnym wyzwaniem dla podstaw polityki regionalnej Kremla. Podczas gdy centrum federalne stara się utrzymać status quo, nie zmieniając zasadniczo niczego w istniejącym modelu zarządzania peryferiami, w podmiotach Federacji Rosyjskiej kumulują się problemy, które mogą naruszyć tradycyjny układ sił i stać się prologiem do dezintegracji kraju. Rosyjski politolog Nikołaj Pietrow wyjaśnia, które regiony są najbardziej dotknięte sankcjami, i z czego wynika ryzyko separatyzmu. Artykuł został opublikowany na portalu Insider 9 września 2022 roku.

Sankcje nałożone na Rosję z powodu wojny już poważnie dotknęły wiele branż. Obserwujemy spore kryzysy w przemyśle naftowym i gazowym oraz w metalurgii, więc regiony bezpośrednio z nimi związane są dotknięte w pierwszej kolejności. Z kolei regiony związane z produkcją rolną, z pracą na rynek krajowy, z turystyką krajową, mogą w krótkim okresie być nawet beneficjentami tego, co się dzieje – chyba że są to regiony sąsiadujące z teatrem działań wojennych. Jeśli mówimy o typologii lub makroregionach, które ucierpiały, to jest to zarówno handel detaliczny i wszystko, co z nim związane – duże ośrodki, jak i są to relacje zewnętrzne. Kaliningrad cierpi nie tylko dlatego, że Litwa chce zamknąć strumienie transportu, lecz także dlatego, że jest zorientowany na Zachód – w przeciwieństwie do Władywostoku, który, przeciwnie, może nawet skorzystać na tym, co się dzieje. Kaliningrad staje się zakładnikiem drastycznego ograniczenia handlu zagranicznego.

Pozorne ruchy i brak strategicznego planu

Regiony bezpośrednio związane z przemysłem naftowym, gazowym i metalurgicznym mają problemy w pierwszej kolejności. Jeszcze jeden ważny aspekt – to ropa i gaz oraz węglowodory, to węgiel i Kuzbas, który jest dzisiaj w dużych opałach i drastycznie zmniejsza dostawy na Zachód, a nie może tego zrekompensować na Wschodzie, ponieważ Kolej Transsyberyjska nie pozwala na zwiększenie przepływu towarów w kierunku Azji, nawet gdyby szybko znaleźli się tam konsumenci. Gaz jest jednym z przedmiotów wojny i dźwignią, którą Kreml próbuje wykorzystać, by z jednej strony wpłynąć na Zachód, a z drugiej drastycznie ograniczyć jego zakupy. Ale ten strategiczny kurs nie ma na razie tak dużego wpływu jak gra, którą prowadzi Kreml, ograniczając dostawy gazu na Zachód. Niemniej poważnie uderza w te regiony zachodniej Syberii, które wcześniej mogły prosperować dzięki coraz większemu wzrostowi cen rosyjskich węglowodorów i gazu.

Metalurgia, zwłaszcza metalurgia żelaza, jest w kryzysie na całym świecie, ale w naszej sytuacji jest on spotęgowany przez poważne sankcje. Budowa maszyn, która przez pewien czas mogła utrzymać się na powierzchni dzięki zapasom komponentów, dziś również jest w opłakanym stanie. Nasz przemysł samochodowy się skończył, a przedsiębiorstwa, które znajdowały się w Kałudze, w obwodzie leningradzkim, w Samarze, w Togliatti – wymierają. Wszystko, co jest deklarowane jako przejście do innych modeli, nie może oczywiście zrekompensować strat, które Rosja już poniosła. Istnieją całe sektory,

eprasa.pl ea01a01b09

które poniosły poważną i nieodwracalną porażkę, jak na przykład przemysł lotniczy, i nic nie można z tym zrobić. Są jeszcze kontrsankcje i zmiany niezwiązane bezpośrednio z sankcjami. W rzeczywistości zakończenie projektu umowy o podziale produkcji na Sachalinie zadało poważny cios sektorowi finansowemu. Nad Sachalinem, stosunkowo niedawno, pochylono się w Moskwie, zmniejszając część dochodów, które otrzymywał ten właśnie region i redystrybuując je do innych regionów Dalekiego Wschodu.

Jeśli chodzi o regiony, to jest to obraz malowany grubą kreską – jest ogromna liczba miejscowości i miast, takich jak Togliatti, które są monomiastami, mocno uzależnionymi od jednej konkretnej branży. Zastąpienie tego rodzaju szkieletu, na którym opiera się duże miasto, jest absolutnie niemożliwe w krótkim czasie. Będziemy musieli zmierzyć się z faktem, że będą zamykane przedsiębiorstwa. Reakcja na kryzys ze strony Kremla sprowadza się do maksymalnej presji na biznes, tak prywatny, jak i państwowy, aby uniknąć radykalnych przejawów tego kryzysu i socjalnych wybuchów. Dlatego są zmniejszane wypłaty i liczba dniówek, ale formalnie ludzie wciąż mają pracę, nie są rejestrowani jako bezrobotni. To taka reakcja strusia – schować głowę w piasek, dogadać się, żeby ta statystyka, którą się podaje, była maksymalnie wygodna i korzystna dla władzy. Jednakże ta taktyka mogłaby zadziałać, jeśli trzeba by było przeczekać krótki okres. Tymczasem obecnie nie przewiduje się osłabienia sankcji, za to może nastąpić ich zaostrzenie.

Główny problem polega na tym, że rząd zajmuje się odblokowywaniem wąskich gardeł, aby zapobiec dalszemu pogarszaniu się sytuacji, ale nie ma żadnego strategicznego planu podtrzymania gospodarki w obliczu ogromnego i długiego kryzysu systemowego. Imponujące dane dotyczące bezrobocia, o których ciągle mówi prezydent, nie odzwierciedlają powagi skutków, które zobaczymy z bliska jesienią. Na razie kryzys został odłożony w czasie, ale wciąż kumuluje się i będzie katastrofalny.

Nieuchronna prymitywizacja rosyjskiej gospodarki

Regiony znajdujące się w depresji, które żyły i żyją z dotacji otrzymywanych z centrum federalnego, cierpią mniej. Według oficjalnych statystyk takie regiony otrzymując ogromne subwencje z federalnego centrum, wyglądają całkiem dobrze, ale dostały instrukcje, jak te pieniądze wydać. To nie jest budżet, który można wydawać według swego widzimisię. Pytanie, czy centrum będzie miało środki na utrzymanie takiego poziomu wsparcia, jak na przykład dla Czeczenii, w takiej wielkości jak wcześniej. Widzieliśmy, że o wsparciu finansowym ze strony centrum decydowały w dużej mierze względy geopolityczne. Czy będzie możliwe, że tak powiem, dofinansowanie etnicznego Kaukazu Północnego w takim stopniu, aby zachować kontrolę nad elitami regionalnymi? To jest poważne pytanie.

Zmienia się polityczno-ekonomiczny model, który leżał u podstaw całego putinowskiego reżimu politycznego, więc pieriestrojka tego reżimu jest nieunikniona, w tym również na płaszczyźnie wzajemnych relacji Moskwy i regionów. Rola marchewki bezpowrotnie będzie maleć, za to rola kija powinna się zwiększać. Czy to może się powieść – to poważne pytanie, dlatego że kij to także pieniądze, ale w postaci inwestycji w struktury siłowe i organy ścigania, na których też trzeba będzie częściowo oszczędzać.

Moim zdaniem z sankcjami nałożonymi obecnie na Rosję nie pociągnie się długo. Mówienie, że w ciągu kilku lat uda się do nich dostosować, to oszukiwanie się. Nie mówimy tylko o stratach ilościowych, w tym o spadku poziomu życia, lecz także o ogromnych zmianach jakościowych. To, co rząd czy bank centralny nazywają „restrukturyzacją gospodarki", to archaizacja, prymitywizacja i demodernizacja. Kiedy mówimy o sankcjach, musimy zrozumieć, że to nie tylko zamknięcie Zachodu i Europy jako głównego rynku zbytu dla bardzo wielu surowców gospodarki rosyjskiej, lecz także zamknięcie Rosji jako konsumenta technologii, jako konsumenta produktów, bez których nie jest możliwy rozwój gospodarczy.

Dlaczego mówimy dziś o nieuchronnej prymitywizacji rosyjskiej gospodarki? Weźmy na przykład przemysł motoryzacyjny: kiedy najpierw usuwane są wymogi środowiskowe, a następnie wymogi technologiczne związane z poduszkami powietrznymi, wspomaganiem kierownicy i tak dalej – wracamy do poziomu technologii z lat 70. Tego nie da się zrobić, nie mamy ani czasu, ani środków, w tym wykwalifikowanej siły roboczej, aby przywrócić produkcję do poziomu z czasów sowieckich, kiedy kraj był autarkiczny i sam się utrzymywał. Produkcja samolotów jest bardzo dobrym wskaźnikiem. To ten przemysł pokazuje, że straciliśmy wszystko, co mieliśmy w czasach sowieckich, jeśli chodzi o produkcję, a teraz tracimy zachodnie samoloty i nie jesteśmy w stanie zrekompensować tych strat własną produkcją. Z powodu sankcji wracamy do poziomu technologicznego z lat 70.

Ważne, żeby zrozumieć jedno – lepiej już nie będzie. Gdzieś będzie gorzej w większym stopniu i gdzieś będzie gorzej w mniejszym stopniu. Ze względu na politykę kadrową, która została wdrożona w ciągu ostatnich kilku lat, liderzy regionalni

eprasa.pl ea01a01b09

i ich zespoły to w większości przypadków wyłącznie zewnętrzni menedżerowie, którzy nie są po prostu zdolni do samodzielności i inicjatywy ze względu na ograniczenia finansowe, ale którzy zostali wybrani w celu wykonywania instrukcji z centrum federalnego w sposób jasny i zdyscyplinowany. To centrum kategorycznie nie chce i prawdopodobnie nie jest w stanie oddać inicjatywy regionom zarówno pod względem personalnym, jak i koncepcyjnym. Praktycznie wykluczona jest opcja, że niektóre regiony na własne ryzyko dostosują się do zmieniającej się sytuacji lepiej niż inne. Pojawi się wariant wyrównania na tych najbardziej depresyjnych, najbardziej pasywnych i uzależnionych od pieniędzy płynących z centrum, a ich ilość będzie nieuchronnie maleć – zarówno dlatego, że eksport przyniesie mniej pieniędzy, jak i dlatego, że straty będą rekompensowane nie przez kompleks militarno-przemysłowy, ale przez wszystko inne.

To, co się stało, to nie tylko załamanie projektów życiowych ogromnej liczby osób. To lekcja dla ogromnej liczby osób, które rozumieją, że w naszych warunkach nieracjonalne jest stawianie na samodzielne projekty, które powinny przynieść efekty za 3–5–10 lat. Nie chodzi o to, że nie mamy ludzi zdolnych do realizacji takich projektów, ale o to, że w sytuacji niepewności, niezrównoważenia i ewidentnego braku strategii nie ma przyszłości dla przedsięwzięć. Kiedy i jak będzie lepiej? Nigdy, tak mi się wydaje. Najpierw wszystko się zawali, a potem trzeba będzie długo, boleśnie, krok po kroku budować coś na tych ruinach. Nie ma nadziei, że wraz z odejściem Putina sytuacja radykalnie się zmieni. Pytanie tylko, jak długo potrwa ta agonia, która nie jest tak oczywista na powierzchni, ale która oznacza ruch w kierunku impasu. Początkowe przewidywania, że w ciągu 2–3 miesięcy wszystko zacznie się sypać i ludzie to odczują, nie zmaterializowały się, a Putin z dumą może powiedzieć, że nasze wyniki są lepsze niż wielu krajów po drugiej stronie. Myślę, że wiele z nich to efekt samozadowolenia, bo tego tak naprawdę nie ma. Inna sprawa, że margines bezpieczeństwa systemu jest dość duży, więc uważam, że trzeba myśleć w kategoriach lat, a nie miesięcy. Nie widzę możliwości utrzymania stabilności bez radykalnych zmian w perspektywie 3–4 lat.

▶ Gdy centrum federalne przykręci finansowy kurek...

Tuwa, Buriacja, Kałmucja, Dagestan, Osetia Północna i Inguszetia – wszystkie te narodowe republiki należą do Czwartej Rosji według typologii Natalii Zubarewicz. Są to republiki narodowe, a ich zachowanie nie pasuje do ogólnych wzorców, które funkcjonują w większości innych regionów Rosji. Przez wiele lat były one rządzone przez elity etniczne, ale teraz sytuacja się zmienia lub zmieniła, jak w Dagestanie, gdzie Moskwa z marnym skutkiem zastępuje miejscowe elity korzenne ludźmi z zewnątrz.

Jeśli chodzi o ich reakcję na sankcje i kryzys, to o dziwo, mogą one czuć się w tej dynamice lepiej, to znaczy w mniejszym stopniu odczuwać negatywny efekt sankcji niż wiele innych bardziej rozwiniętych regionów, niż Moskwa i Sankt Petersburg, niż duże regiony przemysłowe, po prostu dlatego, że są w dużej mierze dotowane. Jest to czysto budżetowa sfera. Chociaż wiadomo, że ostatecznie negatywny efekt prędzej czy później odbije się także na wsparciu finansowym i gospodarczym, jakie te republiki otrzymują od centrum federalnego.

Na przestrzeni wielu lat wraz z moimi współpracownikami układaliśmy ranking dobrobytu społeczno-gospodarczego i politycznego regionów w latach 2015–2020 w oparciu o szereg wskaźników: statystyki gospodarcze, dynamikę polityczną, protesty. W ujęciu społeczno-ekonomicznym ocenialiśmy dwie kategorie ryzyk: krótkoterminowe związane z dynamiką dochodów gospodarstw domowych, dochodów budżetów regionalnych i dynamiką produkcji oraz średnioterminowe związane z dynamiką obrotów handlowych, zadłużeniem budżetowym i dynamiką inwestycji, czyli tym, co może prowadzić do narastania napięć w krótkim okresie i co może do tego prowadzić również w średnim okresie. Oceniliśmy przy tym sytuację społeczno-gospodarczą zarówno z perspektywy gospodarstw domowych – dochodów i obrotów handlowych – jak i z perspektywy regionów i budżetów regionalnych.

Ryzyko ekonomiczne gospodarstw domowych zawsze było wysokie na Północnym Kaukazie, a Dagestan we wszystkich latach pomiaru należał do regionów o podwyższonym ryzyku, ponieważ ryzyko polityczne łączyło się tam z aktywnym ruchem protestów.

Jeśli spojrzymy na regiony Rosji pod względem wynagrodzeń, powiedzmy w ubiegłym roku, to zobaczymy, że Kałmucja, Dagestan, Inguszetia i Osetia Północna są na dole tego rankingu, przy czym Kałmucja jest najbiedniejszym regionem pod względem wynagrodzeń. Ma 20 proc. mieszkańców z pensjami poniżej 15 tys. rubli miesięcznie. Następny jest Dagestan, który ma mniej więcej takie same wskaźniki jak Inguszetia i Kałmucja. Nieco lepiej jest w Osetii Północnej, jeszcze lepiej w Tuwie i Buriacji, ale to zależy od tego, na co patrzymy – w bezwzględnej wartości płac Tuwa i Buriacja wyglądają znacznie przyzwoiciej niż regiony Kaukazu Północnego. Ale problem polega na tym, że są to regiony z północnymi premiami, a koszyk dóbr konsumpcyjnych jest

eprasa.pl ea01a01b09

tam znacznie droższy, więc gdy ekonomiści patrzą na stosunek dochodów do kosztów koszyka dóbr i usług oraz na odsetek ludności poniżej granicy ubóstwa, Tuwa jest absolutnym liderem, a Kałmucja i Inguszetia są bardzo blisko za nią. Jednocześnie Tuwa jest jedynym regionem, w którym stosunek dochodów do kosztów koszyka jest mniejszy niż jeden, czyli przeciętny poziom dochodów nie wystarcza na zapewnienie minimalnego zestawu dóbr i usług. Jedna trzecia ludności żyje poniżej granicy ubóstwa. Nieco lepszą sytuację mają Osetia Północna i Dagestan, ale wszystkie są poniżej średniej rosyjskiej.

W republikach narodowych wyraźnie widać, że dane statystyk gospodarczych są bardzo niedokładne, zwłaszcza dane dotyczące Kaukazu Północnego. Owszem, rozwarstwienie jest tam duże, poziom życia jest generalnie bardzo niski, ale nawet przed kryzysem i przed sankcjami te regiony nie prosperowały. Dla nich wpływ kryzysu jest obecnie mniej zauważalny i odczuwalny niż dla takich regionów jak Tatarstan, które były w czołówce, ale dziś wiele tracą z powodu sankcji i ich konsekwencji.

Wszystkie regiony, o których mówimy, są regionami dotowanymi przez centrum federalne i jako takie czują się dziś prawie tak samo jak wczoraj czy przedwczoraj. Ich straty będą wynikały z pogarszającej się sytuacji społeczno-gospodarczej w całym kraju, a cięcia budżetowe dotyczą przede wszystkim dotacji dla regionów i pomocy dla budżetów regionalnych, choć Kaukaz Północny był i jest priorytetem dla Kremla.

Niezwykle trudne utrzymanie równowagi

Ważne jest, aby zrozumieć, że mówimy o małych regionach i ludności, która jest w dużej mierze wiejska, a nie miejska, co oznacza, że istnieje tam pewien poziom stabilności ze względu na fakt, że ludzie są znacznie mniej zależni od pracy przedsiębiorstw przemysłowych i pieniędzy, które obywatele mogą otrzymać za tę pracę, ale w dużej mierze od siebie i swoich działek. Chociaż te regiony narodowe wchodzą w skład Czwartej Rosji, to typologicznie sąsiadują z Trzecią, którą tworzy wiejskie zaplecze, uzależnione od emerytur, które z kolei będą nadal indeksowane, ale nie ma zależności od dochodów przedsiębiorstw przemysłowych ani od ich wydajności, ani od samego faktu istnienia dużych zakładów przemysłowych. W każdej z tych republik, nawet w najmniejszej Inguszetii, istnieją różne klany, których interesy równoważą się w taki czy inny sposób. Na przykład w Dagestanie przedstawiciele głównych grup etnicznych kontrolują główne sfery gospodarki i gdy tylko równowaga zacznie się zmieniać, będzie to miało bezpośredni wpływ na interesy klanów etnicznych, a poprzez nie na interesy grup etnicznych. A w Dagestanie, gdzie grupy etniczne zamieszkują zwarte obszary, nabiera to wymiaru terytorialnego i może spowodować wybuch społeczny, taki jak ten, który widzieliśmy w Dagestanie w przeszłości. Utrzymanie równowagi będzie bardzo trudne, a każde tarcie i zmiana równowagi, każde przesunięcie interesów różnych klanów etnicznych będzie czynnikiem destabilizującym w taki czy inny sposób.

ZMIENIA SIĘ POLITYCZNO-EKONOMICZNY MODEL, KTÓRY LEŻAŁ U PODSTAW CAŁEGO PUTINOWSKIEGO REŻIMU POLITYCZNEGO, WIĘC PIERIESTROJKA TEGO REŻIMU JEST NIEUNIKNIONA.

Jeśli chodzi o sytuację z rozpadem Federacji Rosyjskiej, to nie jest to jednorazowe wydarzenie, to łańcuch działań i ich konsekwencji. Głównego problemu, moim zdaniem, nie należy upatrywać w tym, że niektóre klany etniczne chcą się oddzielić od Rosji. Problem w tym, że w warunkach supercentralizacji to właśnie Moskwa może prowokować konflikty, które ostatecznie doprowadzą do perspektywy podziału kraju. Ale nie dlatego, że ktokolwiek dziś chce i jest w stanie głosić hasła secesji od Rosji, lecz dlatego, że Kreml, próbując zarządzać centralnie zmieniającą się sytuacją, rozdzielając pieniądze i zachowując równowagę interesów grup etnicznych lub ignorując tę równowagę, doprowadzi do destabilizacji. Wtedy pojawia się łańcuch – naruszane są interesy klanów etnicznych, może to prowadzić do poważnych protestów przy różnych okazjach, a jeśli odpowiedź na te protesty nie jest wystarczająco wyważona i skalibrowana, może to prowadzić do wzrostu, a nie spadku poziomu konfliktu. Niestety Kreml nie może reagować szybko i precyzyjnie, bo z Moskwy sytuacja jest znacznie mniej widoczna niż z wnętrza regionu. ■

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl ea01a01b09



Marcin Wolski

ŁAPAJ ZŁODZIEJA!

Znana metoda, która towarzyszy rzezimieszkom wszech czasów, opiera się na trzech podstawowych elementach: sztuczny tłok, precyzyjna kradzież, a następnie skierowanie pościgu w niewłaściwą stronę poprzez okrzyk: „Łapaj złodzieja!". Sposób przeważnie skutkuje, chociaż przeniesiony do polityki już nie zawsze. Oczywiście najprostszą metodą odwrócenia uwagi od własnych grzechów i łajdactw są oskarżenia w rodzaju: „Oni też kradną", tyle że wystarczy porównać jakieś groszowe sprawki, za które natychmiast pociągnięto do odpowiedzialności, z miliardowymi aferami VAT-u, przekrętem Amber Gold czy działalnością Sławomira Nowaka.

Opozycja musi być naprawdę zdesperowana, skoro ucieka się do działań czysto bandyckich w rodzaju „rewelacji generała Pytla". A może po prostu na Kremlu ktoś stracił cierpliwość i szarpnął smyczami, na których uwiązani są agenci wpływu w Polsce, i zakomenderował: do ataku! Sprawy dla wrogów Polski idą w zła stronę – Rosja przegrywa na Ukrainie, Niemcy się kompromitują, a pomysł z reperacjami (nazywam go „gambitem Kaczyńskiego") postawił opozycję pod ścianą i zmusił do poparcia. Nie da się zanegować sukcesu przekopu Mierzei, lada moment popłynie gaz z Norwegii, a dzięki dywersyfikacji jest nadzieja, że zimą siedząc za ciepłym piecem, będziemy bawić się we współczucie dla marznących Niemców. Czy zbyt zapachniało trzecią kadencją?

„Zróbcie coś z tym, towarzysze" – popłynęło wezwanie. I zerwały się rozmaite kundle z generalskimi wężykami ujadać, łgać i opluskwiać najuczciwszych z uczciwych. A co może rozgrzać opinię publiczną w Polsce lepiej niż oskarżenie o zdradę? Można zarzucić „dobrej zmianie" różne rzeczy, ale oskarżyć ją o prorosyjskość, kiedy wszystkie podejmowane przez PiS działania nakierowane były na bezpieczeństwo Polski i szkodziły Rosji? To tak jakby nazwać Zełenskiego agentem Putina. Ale widocznie atakujący nie mają nic do stracenia – a nóż uda się jeszcze raz odgrzać emocje związane z tragedią smoleńską. Tyle że przypomina to strzał samobójczy. Oczywiście sprawa pozostaje poszlakowa, ale sprawca jest tak oczywisty – motyw, możliwość, korzyści i zachowanie po zbrodni, toteż każda ława przysięgłych nie miałaby wątpliwości, by skazać winowajcę. Inna sprawa, że śmierć 96 Polaków przy ogromie zbrodni dokonywanych obecnie to jedynie drobny fragment aktu oskarżenia Władimira Władymirowicza.

Najbardziej zagadkowe w działaniach rodzimych naganiaczy jest coś innego – podtrzymywanie przez lata kłamstwa smoleńskiego można było tłumaczyć strachem władzy, a następnie opozycji przed Rosją. Dziś wiadomo, że bestii nie ma co się bać, tylko trzeba po ukraińsku lać ją w pysk, dlatego najlepiej byłoby przemilczeć swoją dawniejszą współpracę z Moskalem. Tak robi dziś Tusk, prezentując się jako płomienny rusofob, od zawsze, licząc, że Polacy mają więcej do roboty niż rozdrapywać rany, toteż zapomną mu i „reset", i oddanie śledztwa Moskalom, i systematyczne osłabianie Polski. Skąd więc to budzenie demonów? Najwyraźniej strach jest większy od logiki i należy przypuszczać, że ci, którzy się boją, wiedzą więcej o swych wstępach niż ich niekonsekwentni przeciwnicy. W normalnym świecie ludzie pokroju Pytla powinni być dawno zdegradowani, Tusk powinien stać przed Trybunałem Stanu (albo zgoła siedzieć), a uczestnicy nagonek medialnych powinni pracować na poczcie lub w sklepie, otoczeni ostracyzmem środowiska i wzgardą narodu.

> W normalny świecie ludzie pokroju Pytla powinni być dawno zdegradowani, Tusk powinien stać przed Trybunałem Stanu. I kiedyś tak będzie.

I kiedyś tak będzie. Jestem tego tak pewien jak czasów, kiedy ulice Kaczyńskich pojawią się w każdej gminie, a pomniki Antoniego Macierewicza staną w większości miast wojewódzkich. Historia późno bo późno przyznaje w końcu rację prawdzie. Dlatego nie mają dziś monumentów targowiczanie, kolaboranci czy PRL-owscy nominaci Moskwy.

Z aktualnymi agentami wpływu będzie tak samo. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Tomasz Sakiewicz

Dlaczego operacja specjalna

Dla krajów Zachodu decyzja Władimira Putina o napadzie na Ukrainę pod szyldem operacji specjalnej wydaje się groteską i chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie w to uwierzyć. Mało tego, przyjęcie tego szyldu miało ogromne konsekwencje w samych przygotowaniach do wojny i wygląda na to, że było przyczyną początkowych klęsk drugiej armii świata.

Gdyby Rosja przygotowywała wojnę wedle zwykłych kanonów wykładanych na uczelniach ich oficerom, musiałaby zgromadzić co najmniej trzykrotnie większe siły niż te, których użyła 24 lutego. Na samym odcinku kijowskim powinny one być co najmniej czterokrotnie większe. Tymczasem już w dniu rozpoczęcia wojny Putin dysponował wokół Ukrainy mniej więcej dwukrotnie mniejszymi liczebnie oddziałami niż napadnięty kraj. W dodatku Ukraina błyskawicznie powiększyła swoje siły, ogłaszając mobilizację, a tymczasem w wyniku fatalnie przeprowadzonego ataku jednostki rosyjskie topniały z dnia na dzień. Planów Putina nie można do końca wytłumaczyć wiarą w lepsze uzbrojenie czy wyszkolenie swojej armii. Oczywiście pewnie dowódcy na Kremlu byli przekonani o wyższości swoich sił, ale nie mogli nie wiedzieć o dozbrajaniu Ukrainy i szkoleniu przez kilka zachodnich państw. Była to głównie broń defensywna, jeżeli można tak nazwać ręczne wyrzutnie pocisków przeciwpancernych i przeciwlotniczych, ale w pierwszym etapie wojny najbardziej skuteczna.

Moskwa popełniła oczywiście gigantyczne błędy w rozpoznaniu i planowaniu całej operacji, tylko że to nie tłumaczy skali katastrofy. Problem jest dużo bardziej strukturalny. W całej narracji Kremla wobec Ukrainy przekonywano, że nie jest ona osobnym państwem, lecz czymś w rodzaju zbuntowanego regionu. To ułatwiało przekonanie Rosjan do użycia siły i zmniejszało strach przed wielką wojną. Operacja specjalna wszak nie miała być wojną, lecz czymś w rodzaju akcji policyjnej. Pogarda wielkorusów dla aspiracji i historii Ukrainy odebrała im możliwość realnego osądzenia stanu faktycznego. Stąd drastyczna różnica w przygotowaniach militarnych. Ukraina szykowała się do obrony przed wielkim mocarstwem, a Rosja do pacyfikacji zbuntowanej republiki. Nastawienie obu stron przesądziło o pierwszych miesiącach wojny. Moskwa wchodząc nieprzygotowana, wytraciła najbardziej profesjonalne oddziały, a Ukraina mimo strat w ludności cywilnej zadała Rosji potężne ciosy, które zmusiły ją do ogłoszenia mobilizacji, czyli otwartej wojny. Oczywiście Putin nie mógł się przyznać do tego, że przegrywa z Kijowem, i oświadczył, że jego kraj jest bity przez NATO. To jednak bardzo pogorszyło jego sytuację, bo zelektryzowało cały Zachód. Nieformalne wypowiedzenie wielkiej wojny może mieć równie wielkie konsekwencje jak nieprzygotowana operacja 24 lutego.

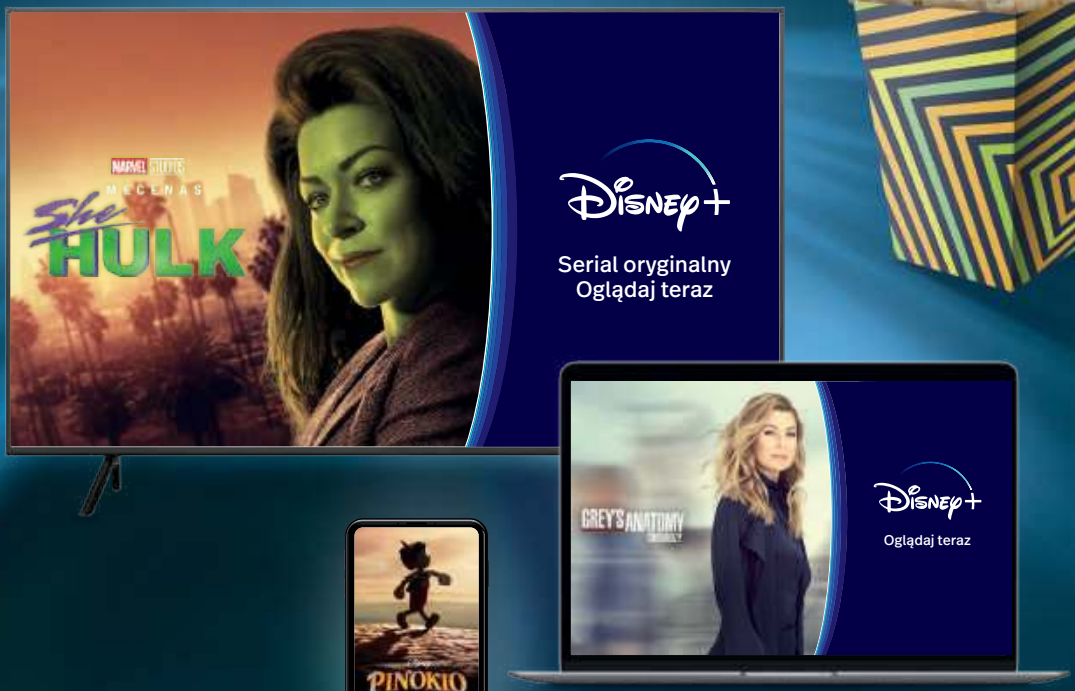
> Ukraina szykowała się do obrony przed wielkim mocarstwem, a Rosja do pacyfikacji zbuntowanej republiki. Nastawienie obu stron przesądziło o pierwszych miesiącach wojny.

Ideologiczne zaślepienie przywódców na Kremlu odebrało im zdolność do właściwego zaplanowania ataku i przygotowania swojego kraju na wojnę w takim wymiarze, jaki naprawdę obserwujemy. „Dawkowanie" informacji o rzeczywistej sytuacji powoduje jedynie coraz mniej kontrolowaną eskalację. Ten scenariusz doprowadził już nie tylko do największego konfliktu militarnego po 1945 roku, lecz także zagraża całemu światu nuklearnym starciem. Przyczyna tej sytuacji tkwi w sposobie myślenia rosyjskich elit niezdolnych do uznania podmiotowości ościennych narodów. ■

eprasa.pl ea01a01b09

Disney+
Rozrywka dla całej rodziny

Z telewizją już od 35 zł/mies. przez 24 miesiące



Pobierz ulotkę

polsat box

Wybierz swoje wszystko

© 2022 Disney i podmioty powiązane.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S z Disney+, z zobowiązaniem od 35 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 miesiące. Od 25. miesiąca z zobowiązaniem od 45 zł/mies. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 20.09.2022 r.

eprasa.pl ea01a01b09